

*Aleksander Dumas*

*Neron*

## Część pierwsza

### I

Dobiegał końca 57 rok po narodzeniu Chrystusa, a 810 od założenia Rzymu. Był siódmy dzień maja, miesiąca nazywanego przez Greków thargelionem, kiedy młoda dziewczyna, mieszkanka Koryntu, wybiegła z miasta przez zachodnią bramę, kierując się ku nadmorskiej równinie. Miała nie więcej niż piętnaście, szesnaście lat, była wysoka i zgrabna.

Na niewielkiej łące, z jednej strony ocienionej oliwnym gajem, z drugiej otoczonej strumieniem wijącym się wśród różowego lauru i drzew pomarańczy, przystanęła i zaczęła zbierać kwiaty. Jej uwagę zwróciły fiołki, wykwitłe w cieniu drzew, a zwłaszcza narcyzy i grzybienie, zarastające brzegi i unoszące się na powierzchni wody. Pobiegła ku nim. Zbliżyła się do brzegu, uklękła nad wodą, przejrzała w niej i uśmiechnęła do własnego odbicia.

Jej młode ciało, jakby wyrzeźbione w marmurze, a przy tym giętkie i zwinne w ruchach, przypominało posąg Fidiasza ożywiony przez Prometeusza. Nawet zbyt małe stopy nie zakłócały harmonii całości. Była tak piękna, że nimfa Pyrena, użyczająca swoich łez jako zwierciadła, nie zamąciła tego obrazu. Czarne oczy dziewczyny błyszczały, policzki zaróżowiły się, a długie włosy rozsypały w biegu i opadły na ramiona. Splotła więc dwa warkocze nad skroniami, połączyła je wiankiem, który uwiła z kwiatów, zostawiając z tyłu luźno puszczone pukle. Znowu nachyliła się ku strudze, by ugasić pragnienie.

Po chwili podniosła się i spojrzała w kierunku morza. Teraz dopiero zobaczyła wytworną galerę o dwóch rzędach wiosł, złożonych burtach i purpurowych żaglach, która płynęła do portu pędzona wiatrem od Delos. Mimo, że oddalona jeszcze sporo od lądu, było już słychać głosy majtków śpiewających pieśń do Neptuna. Poznała hymn religijny, ale zdziwiło ją, że nie był to zwykły śpiew kalidońskich czy cefalońskich żeglarzy. Dobiegające tony,

choć nie dość wyraźne z powodu wiatru i odległości, tak były harmonijne, jakby słuchała chóru kapłanek Apollina. Urzeczona tą melodią ułamała kilka kwitnących gałązek i splatając wieniec, by złożyć go w świątyni Flory, z zaciekawieniem zbliżyła się do brzegu morza.

Tymczasem birema<sup>1</sup> podpłynęła już na tyle, że nie tylko można było rozpoznać dokładnie melodię, ale także zobaczyć twarze śpiewających. Jeden z nich intonował pieśń, reszta powtarzała zwroty chórem, zgodnie i miarowo, jakby w rytm unoszonych i opadających wiosł, wybijając ten takt rękami. Główny śpiewak, który wyglądał na pana statku, stał oparty o maszt i wtórował sobie na lirze. U jego nóg leżał niewolnik ubrany w długą szatę.

Dwa wieki wcześniej taki widok nie zadziwiłby nawet dziecka szukającego muszli w nadmorskim piasku. Teraz jednak zdumiał dziewczynę. Korynt nie był już bowiem taki jak dawniej. Kiedyś, jeszcze za czasów Sylii, był równorzędny Atenom. Potem konsul Mummiusz, w 608 roku, zdobył go szturmem, wyciął w pień wszystkich mężczyzn, kobiety i dzieci zaprzedał w niewolę, spalił domy, a mury zamienił w ruinę. Posągi wysłał do Rzymu, zaś obrazy niezwykle cenne, jeden z nich chciał kupić Atalusz za milion sestercji, poszły pod nogi rzymskich żołnierzy, których Polibiusz widział grających w kości na gruzach. Osiemdziesiąt lat później Juliusz Cezar odbudował i podwyższył mury, osadził w nich rzymską kolonię i przywrócił miastu życie, ale nie odzyskało już ono tamtej świetności. Obecnie prokonsul rzymski, chcąc nawiązać do jego dawnego znaczenia, ogłosił na dziesiąty maja i następne dni igrzyska nemejskie, istmickie i florejskie, na których miał nagrodzić najsilniejszego atletę, najzręczniejszego woźnicę i najlepszego śpiewaka. Od kilku dni tłumy cudzoziemców zjeżdżały ze wszystkich stron do Koryntu, nęczone zarówno ciekawością, jak chęcią zdobycia nagród. Napełniło to miasto, jeszcze biedne i słabe, zgiełkiem minionych lat. Jedni przybywali na wozach, inni konno, jeszcze inni przyplęwali na statkach, które wynajmowali lub specjalnie na tę okazję budowali. Nikt jednak nie

---

<sup>1</sup> Birema - statek o dwóch rzędach wiosł.

zawinął do portu na tak wspaniałym okręcie jak ten, który właśnie przybijał do brzegów.

Gdy birenę wyciągnięto na piasek, majtkowie przystawili do pokładu stopnie z cytrynowego drzewa, inkrustowanego srebrem i miedzią. Po nich, wsparty na niewolniku, z lirą zarzuconą na plecy, szedł piękny, jasnowłosy i niebieskooki młody mężczyzna. Jego twarz okalała złota broda. Miał na sobie purpurową tunikę, niebieską chlamidę wyszywaną złotymi gwiazdami, a na szyi przewiazaną szarfę, której długie końce spływały do pasa. Wyglądał na dwadzieścia siedem lub osiem lat. Towarzyszący mu niewolnik był młodszy o jakieś dziesięć lat. Zaledwie zbliżał się do wieku męskiego. Jego ruchy były powolne, a na pięknej, gładkiej twarzy było widać cierpienie i smutek. Jednak takiej urody nie powstydziałaby się niejedna z pięknych panien. Jego białe i delikatne dłonie były raczej stworzone do igły i wrzeciona niż miecza lub włóczni. Nosił białą szatę do kolan, obrzuconą złotymi palmami, jego gęste włosy opadały na odkryte ramiona, a na piersiach miał zawieszony na złotym łańcuchu małe zwierciadło w oprawie z pereł.

Miał właśnie stanąć na ziemi, gdy idący obok mężczyzna powstrzymał go.

- Czego chcesz, panie? - spytał chłopiec łagodnym głosem.

- Chciałeś stanąć na brzegu lewą nogą. Mogłeś narazić wszystkie moje plany na niepowodzenie.

- Masz rację, panie - odparł tamten, stawiając na ziemi prawą stopę, podobnie jak to zrobił jego towarzysz.

- Cudzoziemcze - odezwała się dziewczyna do starszego z przybyszów, słysząc język grecki. - Ziemia grecka jest przychylna każdemu, kto na niej staje w przyjaznych zamiarach, niezależnie od tego, którą stopą dotknie jej najpierw. Jest to kraina miłości, poezji i walki, a wieńcami obdarza zarówno wojowników, jak kochanków czy poetów. Kimkolwiek więc jesteś, przyjmij ten, zanim zdobędziesz inny.

- Bogowie są nam przychylni! - zawołał młody człowiek wkładając

ofiarowany mu wianek na głowę. - Drzewo pomarańczowe to jabłoń Hesperidów, której złote owoce dały zwycięstwo Hippomenowi, wstrzymując bieg Atalanty, a różowy laur to ulubione drzewo Apollina. Jak się nazywasz, wróżko szczęścia?

- Nazywam się Akte.

- Akte! - zawołał starszy z przybyszów. - Słyszysz, Sporusie? Nowa wróżba: Akte znaczy brzeg. Tak więc ziemia Koryntu czekała na mnie ze swym wieńcem.

- Co w tym dziwnego? Czy nie jesteś ulubieńcem bogów, Lucjuszu?

- Jeśli się nie mylę - zapytała dziewczyna - przybywasz, by ubiegać się o jedną z nagród obiecanych zwycięzcom przez prokonsula rzymskiego?

- Łączysz talent odgadywania z darem piękności - odparł Lucjusz.

- Masz pewnie krewnych w Koryncie?

- Cała moja rodzina jest w Rzymie.

- Może przyjaciela?

- Jedynym moim przyjacielem jest ten, którego widzisz, obcy w Koryncie jak i ja.

- Może więc jakichś znajomych?

- Żadnych.

- Nasz dom jest obszerny, a mój ojciec gościnnie. Czy zechcesz zatrzymać się u nas? Zaniesiemy modły do Kastora i Polluksa, aby byli ci przychylni...

- Czy nie jesteś czasem ich siostrą, młoda panno? - przerwał Lucjusz uśmiechając się. - Mówią, że Helena lubiła kąpać się w źródle, które musi być niedaleko stąd. Miało ono dar przedłużania życia i uwieczniania piękności. Tę tajemnicę objawiła Parysowi Wenus, a on pewnie powierzył ją tobie. Jeśli to prawda, prowadź mnie tam, piękna Akte, bowiem odkąd cię ujrzałem, chciałbym żyć wiecznie, by móc cię zawsze oglądać.

- Niestety, nie jestem boginią - odpowiedziała Akte - a źródło Heleny nie ma tych cudownych właściwości. Nie mylisz się jednak przynajmniej co do jego

położenia. Zaledwie o kilka kroków stąd spada ono do morza ze szczytu skały.

- A więc gmach, który wznosi się przy nim, to świątynia Neptuna?

- Tak. A ulica ocieniona sosnami wiedzie do stadium. Mówią, że dawniej przed każdym drzewem stał posąg, ale zabrał je Mummiusz i na zawsze opuściły moją ojczyznę dla twojej. Czy chcesz pójść tą ulicą, Lucjusz? Doprowadzi nas ona do domu mojego ojca.

- Co myślisz o tym zaproszeniu, Sporusie? - młody człowiek zapytał po łacinie swojego towarzysza.

- Myślę, że Fortuna nie daje ci powodu, byś wątpił o jej stałości.

- Dobrze, zawierzmy jej i tym razem. Jeszcze nigdy nie przedstawiła mi się pod tak pociągającą i czarowną postacią.

- Zatem prowadź nas - zwrócił się do Akte, powracając do języka greckiego.

- Jesteśmy gotowi towarzyszyć ci. Sporusie, powiedz Libikusowi, by dobrze pilnował Febe.

Akte ruszyła naprzód, niewolnik zaś, wypełniając rozkaz swego pana, wrócił na statek.

Przy stadium Akte zatrzymała się.

- Patrz, oto gimnazjon. Jest już przygotowany i posypany świeżym piaskiem. Pojutrze pierwszy dzień igrzysk, które rozpoczynają się zapasami. Na prawo, z drugiej strony strumienia, przy końcu tej sosnowej alei, jest hippodrom. Drugi dzień, jak ci wiadomo, zostanie poświęcony wyścigom zaprzęgów. A w połowie drogi do tego pagórka, w kierunku cytadeli, widzisz teatr. Tam najlepszy śpiewak ma otrzymać palmę pierwszeństwa. O którą z nagród chcesz się ubiegać?

- O wszystkie trzy.

- Jesteś zarozumiały.

- Liczba trzy podoba się bogom - powiedział Sporus, który tymczasem dopędził swego pana.

Gdy zbliżyli się do miasta, Lucjusz przystanął.

- Co to za wodotrysk z uszkodzonymi płaskorzeźbami? - zapytał. - To chyba pozostałość najpiękniejszych czasów Grecji?

- To wodotrysk Pyreny - wyjaśniła Akte. - W tym właśnie miejscu Diana zabiła jej córkę. Widząc potem boleść matki oplakującej swe dziecko, zamieniła ją w źródło. Płaskorzeźby są dziełem Lizypa, ucznia Fidiasza.

- Patrz, Sporusie - zawołał młodzieniec z lirą - jakie uczucie! Jaki wyraz! To potyczka Ulissesa z kochankami Penelopy. Czy widzisz dramatyzm śmierci tego ranionego człowieka? Pocisk ugodził go niżej serca; nieco powyżej, a nie byłoby konania. Bieglym mistrzem był ów rzeźbiarz i dobrze znał swą sztukę. Rozkażę przenieść ten marmur do Rzymu lub Neapolu. Chcę go mieć w swoim atrium. Jeszcze nigdy nie widziałem rzeźby umierającego człowieka, która tak prawdziwie ukazywałaby ból.

- Jest to jeden z ostatnich pomników naszej dawnej świetności. Miasto pyszni się nimi i jest do nich przywiązane zupełnie jak matka, która po stracie najpiękniejszych swych dzieci tym silniej kocha pozostałe. Wątpię, czy jesteś tak bogaty, by móc zakupić te szczątki.

- Zakupić! - zawołał Lucjusz z wyrazem niewysłowionej pogardy. - Nie potrzebuję kupować, gdy mogę wziąć. Jeśli zapragnę tego marmuru, będę go mieć, choćby cały Korynt był temu przeciwny.

W tym momencie Sporus ścisnął nieznacznie rękę swego pana.

- Jeśli tylko ty - zmitygował się po chwili Lucjusz - nie zapragniesz, aby ten pomnik pozostał w twojej ojczyźnie.

- Nie rozumiem, co mogłoby tu zależeć ode mnie, ale dziękuję za to, co powiedziałeś. Zostaw nam nasze szczątki, Rzymianinie, i nie dopełniaj dzieła swych ojców. Oni przybyli jako zwycięzcy - ty jako przyjaciel. Co z ich strony było barbarzyństwem, z twojej byłoby świętokradztwem.

- Uspokój się - odparł Lucjusz. - Zaczynam już dostrzegać, że Korynt posiada stokroć cenniejsze rzeczy niż płaskorzeźba Lizypa, która zawsze pozostanie tylko kamieniem. Gdy Parys przybył do Sparty, nie wywiózł stamtąd

posagu Minerwy ani Diany, ale Helenę, najpiękniejszą z jej mieszkanek.

Akte spuściła oczy pod jego spojrzeniem i dalszą drogę do miasta przebyli w milczeniu.

Korynt był w tych dniach ożywiony bardziej niż zwykle. Ogłoszenie igrzysk przyciągnęło wielu ludzi nie tylko z wszystkich części Grecji, ale nawet z Sycylii, Egiptu i Azji. W każdym domu przyjmowano już gości i nasi przybysze mieliby nie lada kłopoty ze znalezieniem schronienia, gdyby Merkury, bożek podróży, nie wysłał im na spotkanie gościnniej dziewczyny. W jej towarzystwie przeszli przez główny targ, na którym kupcy wystawili już swoje towary. Były tu papirusy i len z Egiptu, kość słoniowa z Libii, kobierce z Kartaginy, daktyle z Fenicji, purpurowe tkaniny z Tyru, skóry z Cyreny, kadzidło i mirra z Syrii, frygijscy niewolnicy, konie z Selimentu, miecze Celtów i korale z Galii. Minęli targowisko i weszli na plac, na którym kiedyś wznosił się posąg Minerwy, arcydzieło Fidiasza. Potem skierowali się ku jednej z odchodzących ulic i kilka kroków dalej zatrzymali przed starcem, stojącym na progu domu.

- Ojczy, Zeus przysłał ci gości. Spotkałam go, gdy wysiadał ze statku i zaproponowałam twoją gościnę - powiedziała Akte.

- Witam cię uprzejmie, złotobrody młodzieńcze - odezwał się Amikles, podając Lucjuszowi rękę na powitanie i otwierając szeroko drzwi.

## II

Następnego dnia młody Rzymianin, Akte i jej ojciec spotkali się w triclinium wokół zastawionego stołu. Gospodarz chciał uhonorować cudzoziemca zaszczytnym tytułem króla biesiady, lecz ten - czy z powodu przesądu, czy przez wzgląd na zwyczaje - nie przyjął ofiarowanej sobie korony. Przyniesiono więc kostki i podano kubek starcowi. Rzut przyniósł mu los Herkulesa. Następna rzucała Akte. Przypadł jej los Wozu. Podała kubek gościowi. Ten wziął go wyraźnie zaniepokojony, długo nim potrząsał, drżącymi rękami

wysypał kostki na stół i aż krzyknął z radości widząc wynik. Był to los Wenery, zwyciężający pozostałe.

- Patrz, Sporusie - zawołał po łacinie - patrz, jak wyraźnie sprzyjają nam bogowie. Jowisz nie zapomina, że jest ojcem mojego plemienia. Los Herkulesa, Wozu i Wenery. Czy może być szczęśliwsza wróżba dla tego, kto przybywa walczyć o pierwszeństwo w zapasach, gonitwach i śpiewie? A ten ostatni, czy nie zapowiada mi podwójnego triumfu?

- Urodziłeś się w szczęśliwym dniu, panie - odpowiedział niewolnik - i słońce dotknęło cię wpierw, nim sam dotknąłeś ziemi. Dlatego i tym razem, jak zawsze, pokonasz wszystkich współzawodników.

- Niestety, minęły czasy - włączył się do rozmowy starzec, który na równi z cudzoziemcem władał łaciną - kiedy Grecja wystawiała przeciwników godnych walki z tobą. Ale i my kiedyś zwyciężaliśmy. Milon Krotończyk był sześć razy wieńczony laurem na igrzyskach pytyjskich, a Ateńczyk Alcybiades posłał na igrzyska olimpijskie siedem wozów i zdobył cztery nagrody. Grecja straciła już swą sztukę i siłę. Od czasów Cycerona Rzym przysyła tu swoich najlepszych i najzdolniejszych zawodników, i odbiera nam wszystkie palmy pierwszeństwa. Niech więc Jowisz, potomkiem którego się głosisz, ciebie wspiera, młodzieńcze! Bowiem po chlubie zwycięstwa jednego z moich współziomków, poczytałbym za największą przyjemność, gdyby los sprzyjał mojemu gościowi. Tymczasem moja córka przyniesie ci wieniec z kwiatów, nim będziesz miał prawo ozdobić skronie laurem.

Akte wyszła, a gdy wróciła, niosła wieniec z mirtu i szafranu dla Lucjusza, z bluszczu dla swojego ojca, a z róż i lilii dla siebie. Tymczasem niewolnik przyniósł większe girlandy, które biesiadnicy włożyli na szyje. Dziewczyna usiadła na sofie po prawej stronie, Lucjusz położył się na miejscu centralnym, a starzec, stojąc między córką i gościem, złożył najpierw bogom ofiarę z kropli wina i odmówił modlitwę, po czym położył się także i powiedział do młodego Rzymianina:

- Widzisz, mój synu, nawet przy posiłku spełniamy razem pewien warunek. Liczba biesiadników, jeśli wierzyć jednemu z naszych poetów, powinna być nie mniejsza niż liczba gracji i nie większa niż liczba muz.

Przyniesiono zastawioną tacę, a służby stanęli gotowi na każde skinienie. Sporus położył się u nóg swego pana, ofiarowując mu swoje długie włosy do ocierania rąk i scissor<sup>2</sup> przystąpił do krojenia mięs.

Przy drugim daniu, gdy już wszyscy zaspokoili pierwszy głód, starzec odwrócił się do swojego gościa i wpatrując się w jego piękną twarz, której blond włosy i złotawa broda nadawały szczególnego wyrazu, zapytał:

- Przybywasz z Rzymu?

- Tak, mój ojciec - odpowiedział Lucjusz.

- Prosto ze stolicy?

- Wsiadłem na okręt w Ostii.

- Czy bogowie zawsze czuwają nad boskim cezarem i jego matką?

- Zawsze.

- A czy cesarz przygotowuje jakąś wojenną wyprawę?

- W tej chwili są mu uległe wszystkie plemiona. Cezar, pan świata, obdarzył nas spokojem, podczas którego rozkwita sztuka. Zamknął więc świątynię Janusa i wziął lirę, by podziękować za to bogom.

- I nie obawia się panowania innych, gdy sam zajęty jest śpiewaniem?

- Co! - rzekł porywczo Lucjusz, marszcząc brwi - Więc w Grecji myślą, że cesarz jest dzieckiem?

- Nie, ale obawiają się, by nie za późno został mężem.

- Przecież przywdział męską szatę na pogrzebie Brytannika.

- Brytannik już dawno był skazany na śmierć przez Agrypinę.

- Tak, ale to cesarz go zabił. Ja ci to mówię, ja... Prawda, Sporusie?

Chłopiec podniósł głowę i uśmiechnął się.

- Zamordował brata! - zawołała Akte.

---

<sup>2</sup> Scissor - krajacz.

- Odplacił się synowi za to, co jego matka przygotowała dla niego samego. Jeżeli tego nie wiesz, dziewczyno, spytaj ojca, który zdaje się być świadom tych rzeczy. On ci powie, że Messalina posłała żołnierza, aby ten zabił Nerona w kolebce. Żołnierz już miał uderzyć, gdy dwa węże wypadły z kołyski dziecka i odeгнаły centuriona... Nie, nie, uspokój się, mój ojczu. Neron nie jest ani tak niedołężny jak Klaudiusz, ani tak szalony jak Kaligula, ani tak nikczemny jak Tyberiusz. Nie jest też histerykiem, jak August.

- Mój synu - starzec był wyraźnie zaniepokojony - czy zastanowiłeś się nad tym, że twe słowa są bluźnierstwem przeciw bogom?

- Na Herkula! Zabawni to bogowie - zawołał Lucjusz. - Zabawny bóg Oktawiusz, który obawiał się ciepła, zimna i piorunów. Przybył z Apollonii i ukazał się starym legiom cezara kulejąc jak Wulkan. Zabawny bóg. Jego ręka była tak słaba, że nie mógł unieść pióra. Przez cały czas swego panowania ani razu nie okazał się władcą, a w chwili śmierci pytał, czy dobrze grał swoją rolę! Zabawny bóg Tyberiusz, ze swym Olimpem na Capri, gdzie siedział ukryty jak morski pirat na okręcie uwięzionym na kotwicy, mając przy sobie Trazyllusa, przewodnika duszy, i Charyklesa, dozorcę ciała. Podbił świat i mógł jak orzeł rozpostrzeć nad nim swe skrzydła, a ukrył się w szczelinie skały jak sowa! Zabawny to bóg Kaligula, który dostał pomieszania zmysłów. Przyrównywał siebie do wielkiego Kserksesa, bo zbudował most z Puteoli do Bai, i do potężnego Jowisza, ponieważ naśladował huk grzmotu, nakazując toczyć spiżowy wóz po miedzianym moście. Mienił się narzeczonym księżycy, a Chereasz i Sabinus dwudziestoma razami miecza posłali go, by zawarł to małżeństwo w niebie. Zabawny jest bóg Klaudiusz, którego znaleziono pod łóżkiem, gdy go szukano, by ogłosić władcą. Był niewolnikiem i igraszką swoich czterech żon. Podpisał akt małżeństwa jednej z nich, Messaliny, z Syliuszem, swym wyzwolencem. Zaiste, zabawny to bóg, któremu drgały kolana, piana występowała na usta, język plątał się, a głowa trzęsła mimowolnie. Zabawny bóg. Przez całe życie pogardzany, nie umiał stać się

postrachem, a umarł po zjedzeniu grzybów zbieranych przez Halotusa, obranych przez Agrypinę i przyrządzonych przez Lokustę. Doprawdy! Jakże zabawni są ci bogowie i jak szlachetnie muszą wyglądać na Olimpie obok Herkulesa, pana maczugi, Kastora woźnicy i Apollina, boga liry!

Długie milczenie zapadło po tej nierozważnej i świętokradczej wypowiedzi. Amikles i Akte zaskoczeni przypatrywali się swemu gościowi, gdy wszedł niewolnik i oznajmił przybycie posłańca od Knejusa Lentula. Starzec zapytał, czy posłaniec przyszedł do niego, czy do gościa, którego podejmuje w domu, ale niewolnik nie umiał odpowiedzieć na to pytanie. Wprowadzono więc liktora.

Przybywał on do cudzoziemca. Prokonsul dowiedział się, że do portu zawinął jakiś statek, a jego właściciel zamierza uczestniczyć w igrzyskach. Rozkazał zatem, aby stawił się w pałacu prokonsularnym i tam podał swoje nazwisko oraz konkurencję, w której chce wystąpić. Amikles i Akte wysłuchali tych rozkazów na stojąco, ale ich gość nie podniósł się z miejsca.

Gdy liktor skończył, Lucjusz wyjął tabliczki z kości słoniowej powleczone woskiem, napisał na jednej z nich kilka wierszy, odcisnął pierścieniem pieczęć i oddał odpowiedź, rozkazując zanieść ją prokonsulowi. Zdziwiony liktor wahał się, ale Rzymianin dał mu rozkazujący znak i żołnierz wyszedł z ukłonem. Tymczasem Lucjusz klasnął na niewolnika, podał mu swą czarę, a ten napełnił ją winem. Gość upił z niej połowę za pomyślność gospodarza i jego córki, resztę zaś oddał Sporusowi.

- Młodzieńcze - powiedział starzec, przerywając milczenie. - Mówisz, że jesteś Rzymianinem. Trudno mi w to uwierzyć. Jeśli żyłeś w mieście cesarów, powinienes mieć większy szacunek dla przedstawicieli władcy Rzymu i świata. Prokonsul jest tu panem tak samowładnym i szanowanym, jak sam Klaudiusz Neron w Rzymie.

- Zapomniałeś już, że bogowie zrównali mnie z cesarami, obierając królem biesiady? Czy widziano kiedykolwiek, by król schodził z tronu na rozkazy prokonsula?

- Odmówiłeś posłuszeństwa prokonsulowi? - spytała z lękiem Akte.
- Nie, ale napisałem do Lentula, że jeśli chce wiedzieć jak się nazywam i po co przybyłem do Koryntu, powinien przyjść sam, by mnie o to spytać.
- I sądzisz, że on przyjdzie? - zapytał starzec.
- Bez wątpienia.
- Tu, do mego domu?
- Słuchaj tylko - powiedział Lucjusz.
- Co takiego?
- To on stuka do drzwi. Poznają brzęk różeg liktorów. Każ otworzyć, mój ojczcie, i zostaw nas samych.

Starzec i jego córka wstali zdziwieni i sami udali się do drzwi; Lucjusz nadal leżał.

Nie mylił się. To rzeczywiście był Lentulus. Jego spocone czoło świadczyło, jak skwapliwie biegł na wezwanie cudzoziemca. Zdyszany i niespokojnym głosem zapytał o szlachetnego Lucjusza i gdy tylko wskazano mu miejsce, zrzucił togę i wszedł do triclinium. Drzwi się za nim zamknęły, a towarzyszący mu żołnierze natychmiast stanęli w szyku na straży.

Nikt nie wiedział, co zaszło podczas tego spotkania. Po niedługim czasie prokonsul wyszedł, a Lucjusz, spokojny i uśmiechnięty, udał się do ogrodu, gdzie Amikles spacerował z córką.

- Mój ojczcie - rzekł. - Wieczór jest taki piękny, czy zechcesz towarzyszyć mi do cytadeli, skąd jest ponoć wspaniały widok? Chciałbym się też przekonać, czy wypełniono rozkazy cezara, który na wiadomość o tym, że w Koryncie organizowane są igrzyska, odesłał starożytny posąg Wenery, pragnąc, by bogini sprzyjała Rzymianom ubiegającym się o nagrody.

- Niestety, mój synu. Jestem już zbyt stary, by móc służyć w górach za przewodnika. Niech pójdzie z tobą Akte, ona lekkością dorównuje nimfie.

- Dziękuję ci, ojczcie. Nie prosiłem o tę łaskę z obawy, by zazdrosna Wenus nie chciała mścić się na mnie za piękność twej córki. Ale skoro ty mi ją

ofiarowujesz, nabieram odwagi.

Akte uśmiechnęła się zmieszana, po czym posłuszna skinieniu ojca wyszła i wróciła po chwili ze swej komnaty owinięta skromnie cienkim szalem.

- Czy moja siostra uczyniła jakiś ślub - spytał Lucjusz - albo jest kapłanką Minerwy, Diany lub Westy?

- Nie, mój synu - starzec wziął Rzymianina za rękę i odprowadził na stronę. - Ale Korynt jest miastem kobiet hołdujących miłości. Przez pamięć na to, że ich pośrednictwo ocaliło niegdyś ten gród od najazdu Kserksesa, kazaliśmy je malować, jak Ateńczycy wizerunki swych wodzów po bitwie maratońskiej. Tak się obawiamy, by nie zabrakło tych kobiet w mieście, że sprowadzamy je z Bizancjum, wysp archipelagu, a nawet Sycylii... Odznaczają się one odkrytą twarzą i łonem. Uspokój się, Akte nie jest niczyją kapłanką. Nie chce być jednak wzięta za czcicielkę Wenery.

A głośno dodał:

- Idźcie, moje dzieci, a ty, córko, pokaż naszemu gościowi wszystkie stare pamiątki.

Lucjusz i Akte udali się w drogę. Wkrótce minęli północną bramę i weszli na ścieżkę prowadzącą do cytadeli. Dwa razy Akte zatrzymywała się w drodze. Najpierw pokazała Lucjuszowi grób dzieci Medei. Potem wskazała miejsce, gdzie Bellerofon okiełznał Pegaza za pomocą złotego wędzidla, zesłanego mu przez Minerwę. W końcu doszli do cytadeli. Przed wejściem do przylegającej do niej świątyni Lucjusz zobaczył posąg Wenery, okryty wspaniałą zbroją. Po jej prawej stronie stał pomnik Miłości, a po lewej Słońca, pierwszego z bóstw, które czczono w Koryncie. Tu upadł na twarz i modlił się.

Po dopełnieniu tego obowiązku młodzi udali się ścieżką przecinającą święty gaj i biegnącą na wierzchołek wzgórza.

Wieczór był pogodny, niebo czyste, a morze spokojne. Dziewczyna szła przodem, podobna do Wenery wiodącej Eneasza drogą do Kartaginy. Lucjusz, idący za nią, rozkoszował się jej urodą. Kiedy wyszli z miasta, Akte zsunęła szal

na ramiona, tak więc teraz, za każdym razem gdy się do niego odwróciła, mężczyzna wprost pożerał wzrokiem jej śliczną, zaróżowioną od spaceru twarz. W miarę jak wchodzili na górę, widnokrąg coraz bardziej się rozszerzał. Na szczycie Akte przystanąła pod morwą, aby odetchnąć.

- Jesteśmy na miejscu. Co powiesz o tym widoku? Czy nie dorównuje on okolicom Neapolu?

Rzymianin zbliżył się do niej w milczeniu, oparł rękę na gałęzi drzewa i zamiast podziwiać widoki, wpatrywał się w dziewczynę wzrokiem tak pełnym uczucia, że ta, czując jak się rumieni, zaczęła pośpiesznie mówić, by ukryć swoje zmieszanie:

- Spójrz na wschód. Mimo zapadającego zmroku widać jeszcze twierdzę ateńską, podobną do białego punktu i wzniesienie Sunion, odbijające się w wodzie jak ostrze włóczni. Bliżej, pośród Zatoki Saronickiej, widzisz wyspę o kształcie końskiej podkowy. To Salamina, pod którą walczył Aischylos i gdzie został pobity Kserkses. Na południe od niej, w kierunku Koryntu, w niewielkiej odległości od nas, widać Nemeę i święty gaj. To tam Herkules zabił lwa, którego skórę nosił zawsze na znak zwycięstwa. Nieco dalej, u stóp łańcucha gór ograniczającego widnokrąg, leży Epidauros, ulubione miejsce Eskulapa, a za nim Argos, ojczyzna króla królów. Na zachód, w złotych promieniach zachodzącego słońca, u krańca bogatych równin Syciony, za linią wody, widać Samos i Itakę. A teraz odwróć się od Koryntu i patrz na północ. Na prawo leżą Teby, gdzie oślepił się Edyp. Na lewo Leuktry, gdzie Epaminondas pobił Lacedemończyków, a przed nami Plateje słynne z tego, że Arystides i Pauzaniusz pobili tu Persów. Dalej, pośrodku, to pasmo gór między Attyką i Etoią, porośnięte sosnami, to Helikon i Parnas, z dwoma śnieżnymi szczytami. Między nimi bije źródło Kastalskie, które dzięki muzom ma tę właściwość, że każdego, kto się z niego napije wody, obdarza poetyckim natchnieniem.

- Tak - odezwał się Lucjusz - twoja ojczyzna jest ziemią wielkich pamiątek. Niestety, nie wszyscy przechowują je z równą czcią. Ale pociesz się. Choć

Grecja nie jest już potężna, zawsze jednak będzie piękna, a piękno ma często większą moc niż siła.

Akte chciała okryć się szalem, ale Lucjusz powstrzymał ją. Dziewczyna zmieszana się, lecz nie odważyła sprzeciwić się jego śmiałości. Wszystko zawirowało jej przed oczami, kolana zaczęły się pod nią uginać. Oparła się o pień drzewa.

Była właśnie ta szczególna pora, kiedy dzień przechodzi powoli w noc. Zmrok zapanował już nad całą wschodnią częścią widnokregu, skrywając archipelag i Attykę. Po przeciwnej stronie wody morza Jońskiego lśniły w gasnących promieniach, a na niebie różowiły się obłoki. Rozżarzona tarcza słoneczna znikła powoli za linią horyzontu, jakby chowała się w wodzie. Odgłosy miasta, w którym za dnia roiło się jak w ulu, cichły z wolna. Tylko czasem od strony równiny dolatywał przenikliwy śpiew pasterza, a wiatr od strony morza i zatoki niósł krzyk rybaka, wyciągającego na brzeg swą łódkę. W trawie zaczynały brzęczeć cykady, a świetliki, małe fosforyzujące chrabąszcze, rozsypane tysiącami w ciepłym powietrzu wieczoru, jaśniały jak iskry niewidocznego ogniska. Wydawało się, że natura, strudzona dzienną pracą, usypia i wszystko wokół umilknie wkrótce, szanując jej spoczynek.

Także młodzi ulegli nastrojowi i stali w milczeniu. Nagle od strony portu dobiegł ryk tak przerażający, że Akte aż zadrżała. Jej towarzysz szybko odwrócił głowę i spojrzał w kierunku swojej biremy, której ciemny kształt rysował się wyraźnie na tle połyskującej wody zatoki, przypominającej kształtem złocistą muszlę. Przestraszona dziewczyna skierowała się szybko ku drodze do miasta, ale mężczyzna zatrzymał ją. Przystanąła w milczeniu i znowu wsparła o drzewo, a raczej o rękę, która ją objęła. Odchyliła do tyłu głowę i patrzyła w niebo na wpół otwartymi oczami. Czuła na sobie palący wzrok mężczyzny, nie miała jednak dość siły, by oprzeć się urokowi chwili. Powtórny ryk, bliższy i straszniejszy, przerwał ciszę i wyrwał dziewczynę z rozmarzenia.

- Uciekajmy - zawołała przestraszona - uciekajmy! Jakieś dzikie zwierzę

błąka się w górach... Przejdźmy tylko przez święty gaj, a schronimy się w świątyni Wenery albo w cytadeli. Chodź, Lucjusz, chodź!

Lucjusz uśmiechnął się.

- Czy będąc przy mnie możesz się czegoś obawiać? - zapytał. - Co do mnie, czuję, że w twojej obronie nie wahałbym się uderzyć na wszystkie potwory, które zwyciężył Tezeusz, Herkules i Kadmus.

- Ale czy wiesz, co znaczą te ryki?

- Wiem - odparł spokojnie - to tygrys.

- Jowiszu! - zawołała Akte, rzucając się w objęcia Lucjusza. - Jowiszu, ratuj nas!

Ponowny ryk, jeszcze bliższy i groźniejszy od pierwszych, rozległ się w ciszy. Lucjusz odpowiedział nań krzykiem prawie podobnym. Nagle z zarośli wyskoczyła tygrysica. Zatrzymała się i wspięła na tylne łapy, jakby rozglądając się w poszukiwaniu czegoś. Lucjusz gwizdnał przenikliwie. Zwierzę ogromnym susem przeskoczyło krzewy i pognało ku niemu z oznakami radości. W tym momencie mężczyzna poczuł na swym ręku cały ciężar młodej dziewczyny. Akte zemdliała.

Gdy oprzytomniała, nadal w objęciach towarzysza, tygrysica leżała u jego nóg, wspierając pieszczotliwie na kolanach swego pana straszny łeb z płonącymi jak rozżarzone węgle ślepiami. Widząc to Akte ukryła twarz na piersi mężczyzny. Była przestraszona i zawstydzona. Bała się poruszyć, ale gdy zobaczyła leżącą na ziemi swoją przepaskę, nieśmiało usiłowała ją podnieść. Lucjusz spostrzegł to, odpiął opasującą szyję zwierzęcia obręcz z czystego złota, przy której wisiało jeszcze ogniwo zerwanego łańcucha i przepasał nią talię dziewczyny. Potem podniósł przepaskę ze wstążki, którą sam najpierw ukradkiem rozwiązał, oplótł jednym jej końcem szyję tygrysicy, a drugi podał pannie. W milczeniu ruszyli z powrotem. Akte szła wsparta na ramieniu Lucjusza, prowadząc uległą tygrysicę, której jeszcze przed chwilą tak bardzo się bała.

Przed bramą miasta spotkali nubijskiego niewolnika, który miał pilnować Febe. Biegł za nią przez pola i stracił z oczu w chwili, gdy tygrysica, wytropiwszy swego pana, pognąła w kierunku cytadeli. Na widok Lucjusza Nubijczyk ukląkł i spuścił głowę, oczekując kary, na którą zasłużył. Ale Lucjusz był zbyt szczęśliwy, by móc okazać się okrutnym; zresztą Akte patrzyła na niego tak błagalnie.

- Wstań, Libikusie - rzekł - tym razem ci przebaczam. Na przyszłość jednak lepiej pilnuj Febe. Z twojego powodu ta piękna nimfa śmiertelnie się przestraszyła. Oddaj, moja Ariadno, tygrysicę stróżowi. Każę zaprząć parę tych wspaniałych zwierząt do wozu z kości słoniowej i złota i wozić cię wśród ludu, który będzie cię czcił jak boginię... Dosyć Febe, dosyć. Idź sobie...

Ale tygrysica nie chciała odejść. Stała przed nim, wspięła się, oparła przednie łapy na jego ramionach i lizała swym ostrym językiem, mrużąc z zadowolenia.

- Dobrze, dobrze - rzekł cicho Lucjusz - jesteś szlachetnym zwierzęciem. Jak tylko wrócimy do Rzymu, dam ci do pożarcia piękną chrześcijankę z dwojgiem dzieci. Idź, Febe, idź!

Tygrysica posłusznie, jakby rozumiejąc tę krwawą obietnicę, poszła za Libikusem, choć czyniła to z wyraźną niechęcią i nieustannie odwracała łeb ku swemu panu. Gdy jednak ten, w towarzystwie bladej i drżącej Akte, zniknął za bramą miasta, bez oporu pośpieszyła do złoconej klatki, którą zajmowała na statku.

W przedsionku domu czekał na Lucjusza niewolnik, by wskazać mu sypialnię. Młody Rzymianin uścisnął rękę Akte na pożegnanie i poszedł za nim. Tymczasem dziewczyna udała się do swego ojca, by, zgodnie ze zwyczajem, ucałować jego czoło. Gdy weszła, starzec spostrzegł, że jest blada i bardzo wzruszona.

Córka opowiedziała mu, jak przeraziła ją Febe i jak to okropne zwierzę było posłuszne każdemu skinieniu Lucjusza.

Amikles zadumał się. Z trwogą rozmyślał, kim jest człowiek, który igra z tygrysami, rozkazuje prokonsulom i bluźni bogom.

Akte zaledwie musnęła chłodnymi i bladymi wargami czoło ojca i pobiegła do swojej sypialni. Była wciąż jeszcze rozmarzona i wcale nie miała pewności, czy to co zaszło, to sen, czy jawa. Naraz dotknęła złotej obręczy, która zastąpiła jej panięską przepaskę. Zbliżyła ją do lampy i odczytała wyryte na niej słowa, tak dobrze odpowiadające jej myślom:

„Należę do Lucjusza”.

### III

Przez całą noc palono ofiary. Świątynie przystrojono jak na największą uroczystość. Po zakończeniu obrzędów, chociaż jeszcze nie zaczęło świtać, tłum rzucił się do gimnazjonu, tak był spragniony igrzysk, przypominających piękne dni starej Grecji.

Amikles był jednym z ośmiu wybranych sędziów. Jego miejsce znajdowało się naprzeciw siedzenia prokonsula rzymskiego. Nie śpieszył się jednak. Wszedł dopiero wtedy, gdy dawano znak do rozpoczęcia uroczystości. Przy wejściu spotkał Sporusa. Strażnicy zabraniali mu wstępu. Widząc jego dziewczęcą urodę, białą cerę, delikatne ręce i wdzięczną sylwetkę podejrzewali, że jest przebraną kobietą. Starożytne prawo, przywołane obecnie, skazywało na zepchnięcie ze skały każdą kobietę, która ośmieliłaby się zakraść do gimnazjonu podczas zapasów nagich atletów. Starzec zaręczył za Sporusa i chłopca wpuszczono.

Gimnazjon przypominał ul. Cała przestrzeń wypełniona była widzami. Mur głów zamykał szczelnie wszystkie wejścia. Mężczyźni, stłoczeni w zwartych rzędach, wspierali się nawzajem i kurczowo chwyтали jedynej podpory, jaką były złożone słupy, rozstawione co dziesięć stóp i podtrzymujące rozciągnięty na nich płócienny dach. A mimo to z zewnątrz dolatywały niezadowolone głosy

tych, którzy nie dostali się do środka. W tej ciżbie nie można było nikogo rozpoznać. Ani mieszkańców Koryntu, ani przedstawicieli wszystkich prowincji imperium, którzy z urzędu przybyli na te igrzyska.

Z chwilą pojawienia się Amiklesa liczba sędziów była kompletna. Prokonsul wstał i ogłosił w imieniu cesarza Nerona, władcy Rzymu i pana świata, że igrzyska wnet się rozpoczną. Odpowiedziały mu głośnie okrzyki i oklaski, a wszystkie oczy zwróciły się ku portykowi, w którym oczekiwali zawodnicy. Na arenę weszło siedmiu młodych ludzi. Skierowali się ku trybunie prokonsula. Tylko dwaj zapaśnicy byli z Koryntu. Wśród pozostałych był Tebańczyk, Syrakuzanin, Sybaryta i dwaj Rzymianie.

Koryntianie byli bliźniakami. Wystąpili do przodu trzymając się pod rękę. Ubrani w jednakowe tuniki, tak byli do siebie podobni z postawy i twarzy, że wszyscy aż klasnęli w ręce na widok tych dwóch Menechmów. Tebańczyk był młodym pasterzem. Kiedyś, gdy pasł swe trzody na stoku góry Cyteron, spostrzegł niedźwiedzia. Rzucił się na niego bez żadnej broni, rozpoczął śmiało zapasy z tym groźnym przeciwnikiem i udusił go swymi żylastymi rękami. Na pamiątkę tego wydarzenia wystąpił okryty skórą zaduszonego zwierza, którego łeb służył mu za hełm. Wystające z niego białe kły opasywały ogorzałą twarz zawodnika. Równie niezwykle dowody swej siły złożył Syrakuzanin. Zdarzyło się bowiem pewnego dnia, gdy jego współziomkowie składali ofiary Jowiszowi, że źle ugodzony przez ofiarnika byk rzucił się w tłum. Stratował już wielu ludzi zanim znalazł się młody śmiałek, który chwycił go mocno za rogi, przewrócił na bok i trzymał pod sobą, przyciskając ciężarem własnego ciała jak obalonego atletę tak długo, aż jeden z żołnierzy nie dobił zwierzęcia ciosem miecza. Młody Sybaryta przez długi czas nie znał swej siły. Pomógł mu przypadek. Podczas jednej z uczt, gdy razem z przyjaciółmi leżał na wyściełanej ławie przy suto zastawionym stole, usłyszał głośny krzyk. Zobaczył wóz, uniesiony przez dwa spłoszone konie, a w nim swoją kochankę. Niewiele brakowało, a wóz roztrzaskałby się o narożnik pobliskiego domu. Widząc to młody człowiek

zerwał się z miejsca i chwycił mocno tylne koła. Szarpnięte konie zatrzymały się i aż wspięły, jeden z nich padł na ziemię, a młodzieniec porwał w objęcia zemdloną kochankę, zdrową i całą. Jeden z Rzymian był specjalnie szkolonym zapaśnikiem, znanym z wielu zwycięstw. Drugim był Lucjusz.

Sędziowie włożyli do urny siedem kostek. Dwie z nich oznaczone literą A, dwie literą B, dwie literą C, ostatnią zaś literą D. Tak więc los miał dobrać trzy pary i wyznaczyć siódmego zawodnika do walki ze zwycięzcami. Prokonsul sam zmieszał kostki. Ochotnicy zbliżyli się, każdy z nich wziął po jednej i oddał naczelnikowi igrzysk. Przypadek zrządził, że obaj Koryntianie wylosowali literę A, Tebańczyk i Syrakuzanin kostki z literą B, Sybaryta i rzymski zapaśnik C, a Lucjusz D.

Zawodnicy, nie znając jeszcze wyników losowania ani kolejności swych walk, rozebrali się. Tylko Lucjusz, który miał wystąpić jako ostatni, pozostał w swym płaszczu. Prokonsul wezwał zawodników z literami A. Dwaj bracia wybiegli z portyku i znaleźli się naprzeciw siebie. Obaj wydali okrzyk zdziwienia, któremu odpowiedział szmer zgromadzonych tłumów. Przez chwilę stali nieruchomo, niepewni, co mają uczynić, ale trwało to krótko, bo zaraz padli sobie w objęcia. Cała widownia burzliwymi oklaskami jednomyślnie oddała hołd tej braterskiej miłości, a dwaj piękni młodzieńcy, podobni do Kastora i Polluksa, opuścili plac, z aktorów stając się widzami.

Przyszła kolej na następną dwójkę. Na plac weszli Tebańczyk i Syrakuzanin. Zmierzyli się wzrokiem i rzucili na siebie. Dwa ciała splotły się silnie, że wyglądały jak bezkształtna bryła. Chwilę trwały w bezruchu, po czym zwały się nagle na ziemię, jakby rażone piorunem. Zakotłowało się tak, iż początkowo było widać tylko tuman kurzu. Siły zawodników były sobie równe, obaj niezwykle szybko i zwinnie próbowali zdobyć przewagę, raz jeden, raz drugi był pod spodem. Wreszcie Tebańczyk zdołał utrzymać kolano na piersiach przeciwnika, a obejmując jego szyję rękami jak żelaznym pierścieniem ścisnął z taką mocą, że tamten zmuszony był podnieść rękę na znak, iż uznaje się za

pokonanego. Gromkie brawa, jakimi przyjęto zwycięstwo w pierwszym pojedynku, dowodziły z jak wielkim zapalem Grecy przyglądali się temu widowisku. Żegnany oklaskami zwycięzca usiadł pod lożą prokonsula, a upokorzony przeciwnik wrócił pod portyk, skąd natychmiast wyszła następna para: rzymski zapaśnik i Sybaryta.

Podczas gdy niewolnicy nacierali ich ciała oliwą, widzowie mogli przyjrzeć się ich sylwetkom. Różnili się bardzo. Prezentowali dwa najpiękniejsze typy starożytności - Herkulesa i Antinousa. Rzymianin, wyższy i smuklejszy, z krótko obciętymi włosami, był bardzo muskularny i miał ciemniejszą skórę. Długowłose Sybaryta miał jaśniejszą skórę i był bardziej krępy. Grecy, niezwykle wyczuleni na piękno, zwłaszcza piękno ciała, nie mogli powstrzymać się od okrzyków podziwu. Słyszając to obaj zapaśnicy podnieśli głowy. Ich pełne dumy spojrzenia skrzyżowały się jak dwie błyskawice. Nie czekając końca przygotowań wyrwali się niewolnikom.

Zbliżyli się na odległość kilku kroków i przypatrywali sobie z wielką uwagą. Pewnie każdy z nich poznał w drugim godnego siebie przeciwnika, bo w oczach jednego pojawiła się nieufność, a w spojrzeniu drugiego chytrość. Nagłym rzutem chwycili się za ręce, wsparli czołami i podobni do dwóch pasujących się byków badali nawzajem swoją siłę, usiłując jednocześnie zmusić przeciwnika do cofnięcia się. Ale obaj stali w miejscu, nieruchomi jak dwa posągi. Tylko mięśnie drgały im pod skórą. Po chwili bezskutecznych zabiegów odskoczyli od siebie. Po twarzach spływał im pot. Oddychali ciężko, jak wypływający na powierzchnię wody nurkowie.

Po krótkiej przerwie znowu rzucili się na siebie. Teraz obaj chwycili się rękami w pasie. Tym razem jednak, nie wiadomo czy z braku doświadczenia w tego rodzaju zapasach, czy dlatego, że nie dowierzał własnej sile, Sybaryta dał przewagę przeciwnikowi, pozwalając ująć się pod ręce. Rzymianin próbował go dźwignąć, nawet uniósł nieco, ale pod tym ciężarem stracił równowagę i chwiejąc się uczynił trzy kroki w tył. Drugi z zawodników wykorzystał to

natychmiast. Odbił się nogami od ziemi i wyteżając wszystkie siły powalił przeciwnika. Lecz nim się spostrzeżono, obaj już się podnieśli.

Żaden z nich nie wygrał. Wśród głębokiej ciszy ponowili walkę z jeszcze większym zapalem. Zdawało się, że trzydzieści tysięcy widzów zamieniło się w posagi. Wszyscy siedzieli nieruchomo, z zapartym tchem. Czasem tylko, gdy któryś z zapaśników zyskiwał przewagę, na trybunach rozlegał się głuchy szmer. Wreszcie po raz drugi walczący stracili równowagę i upadli na ziemię. Tym razem atleta był górą. Nikłą jednak miałby przewagę, gdyby nie wykorzystał wszystkich tajników swej sztuki. To dzięki nim utrzymał Sybarytę w położeniu, z którego sam przedtem szybko się podźwignął. Oplótł przeciwnika nogami i rękami tak, że tamten nie mógł się poruszyć, i dociskając czołem jego czoło zmusił do dotknięcia głową ziemi, co zdaniem sędziów było przypieczeniem zwycięstwa. Widownia ożyła. Rozległy się głośne okrzyki i huczne brawa, którymi nagradzano obu zawodników. Sybaryta został wprawdzie pokonany, ale jego przegrana była bardzo bliska zwycięstwa. Nikt nawet nie pomyślał, że mógłby się czuć poniżony. Z podniesioną głową, pewny siebie, wolno oddalił się pod portyk. Stracił wieniec, ale nie stracił honoru.

Pozostali dwaj zawodnicy, którzy wygrali swoje pierwsze pojedynki i Lucjusz. Ten miał walczyć z obydwojma. Oczy wszystkich skierowały się teraz na niego. Owinięty płaszczem stał wsparty o kolumnę i w wielkim skupieniu obserwował zapasy. Widzowie zebrani na trybunach zauważyli jego twarz o miękkich rysach, długie, jasne włosy i rzadką, złotawą brodę. Nie prezentował się okazale i wielu uśmiechało się uważając, że postępuje nierozważnie stając do walki z takimi siłaczami. Niektórzy nawet wypowiadali głośno swoje uwagi, tak że Lucjusz odgadł lekceważący stosunek publiczności, ale nie przejął się tym. Wystąpił na plac i zrzucił płaszcz. Teraz dopiero spostrzeżono silną szyję, potężne barki i skórę, której białości nie powstydzilaby się najpiękniejsza dziewczyna, choć szpeciły ją liczne ciemne plamy. Tebańczyk ledwie spojrzał na nowego przeciwnika, ale drugi zapaśnik, wyraźnie zdumiony,

cofnął się o kilka kroków. Tymczasem Sporus polał plecy swego pana wonną oliwą i zaczął ją rozprowadzać po ciele kawałkiem purpurowej materii.

Tebańczyk miał walczyć pierwszy. Podszedł do Lucjusza, dając mu w ten sposób do zrozumienia, że niecierpliwą go długo trwające przygotowania. Ale Rzymianin dał ręką znać, że nie jest jeszcze gotowy, a prokonsul powiedział głośno:

- Zatrzymaj się.

Po namaszczeniu oliwą wypadało, zgodnie ze zwyczajem, wytarzać się na ziemi, ale Lucjusz nie zrobił tego. Przyklęknął na jedno kolano, a Sporus wysypał na niego worek czystego piasku, w którym połyskiwały drobinki złota. Przygotowania zostały zakończone. Lucjusz wstał i rozłożył obie ręce na znak gotowości.

Czekał spokojnie na swego przeciwnika, który śmiało przystąpił do niego. Twarde ręce Tebańczyka dotknęły jego ramion. W oczach Lucjusza pojawił się groźny błysk, a z krtani wyrwał straszny okrzyk. W tym samym momencie przyklęknął na kolano, chwycił w pół przeciwnika splatając silnie dłonie na jego grzbiecie, przycisnął mocno do siebie i szybko wstał, trzymając to olbrzymie ciało nad swoją głową. Zrobił to przy tym tak szybko i zręcznie, że Tebańczyk poczuł tylko jak unosi się nad ziemią, nie miał jednak dość siły ani czasu na jakąkolwiek obronę.

Zapewne tak wyobrażali sobie Grecy walkę Herkulesa z Anteuszem. Tebańczyk daremnie próbował dosięgnąć Rzymianina. Wreszcie wsparł obie ręce na ramionach Lucjusza i całą siłą swych mięśni usiłował rozerwać ten straszny chwyt. Bezskutecznie. Na próżno opasał nogami jego biodra. Im bardziej wzmagał swoje wysiłki, tym silniej zacieśniał się krępujący jego ruchy morderczy uścisk. Przez cały czas tych zmagania Lucjusz stał nieruchomo, z głową przywartą do piersi Tebańczyka, jakby przysłuchiwał się jego oddechowi. Nie czekał długo na pierwsze oznaki słabości. Czoło przeciwnika zalało się potem, twarz zrobiła purpurowa, z piersi wydobyło rzeźenie. Ciało stało się

bezwolne, a z ust i nosa trysnęła krew. Dopiero wtedy Lucjusz zwolnił swój chwyt i zemdlony Tebańczyk padł bezwładnie u jego stóp.

Ani jeden okrzyk radości nie powitał tego zwycięstwa, ani jeden poklask. Tłum skamieniał i zaniemówił. A przecież nic nie można było zarzucić tej walce. Przebiegała w myśl wszelkich reguł sztuki zapaśniczej, nie zadano w niej żadnego zdradliwego ciosu. Lucjusz czysto i uczciwie pokonał przeciwnika. Publiczność, choć tego głośno nie okazywała, była w najwyższym stopniu ciekawa dalszych wydarzeń. Kiedy już niewolnicy wynieśli nieprzytomnego zawodnika, uwaga wszystkich skupiła się na sławnym zapaśniku. Swoją zręczność i siłę zademonstrował już w poprzedniej potyczce. Mógł więc być niezwykle groźnym przeciwnikiem. Lecz powszechne oczekiwania zostały zawiedzione. Lucjusz szykował się właśnie do kolejnej walki, kiedy podszedł do niego rzymski atleta, przyklęknął i gestem pełnym uszanowania podniósł rękę na znak, że się poddaje. Wszystkim się wydawało, że Lucjusz przyjął ten hołd bez zdziwienia. Nie podał bowiem ręki przeciwnikowi, nie podniósł go, tylko spojrzał wokół, jakby pytał ów niemy i zdumiony tłum, czy jest kto tak zuchwały, by zaprzeczyć, że zwyciężył. Nikt się jednak nie poruszył, nikt nie rzekł słowa. Cisza towarzyszyła mu, gdy podchodził do trybuny prokonsula, by odebrać wieniec. Na koniec tylko dały się słyszeć mizerne brawa. Wszyscy wnet odgadli, że to majtkowie z okrętu, na którym przyplłynął, w ten sposób wyrażają swoje uznanie.

Ogarniające ludzi uczucie nie było jednak wrogością wobec Rzymianina. Raczej przesadną trwogą. Nadludzka siła połączona z młodością przypominała legendarnych bohaterów sprzed wieków. Imiona Tezeusza i Pirytousa były na ustach wszystkich i choć nikt tego głośno nie powiedział, każdy gotów był uwierzyć, że ma przed sobą półboga.

Publiczny hołd, uznanie jego wyższości i prawie niewolnicza uległość zaczęły otaczać Rzymianina. Gdy wychodził, z jednej strony wspierany przez Amiklesa, z drugiej przez Sporusa, towarzyszył mu do domu tłum, skupiony i

ciekawym a jednocześnie bojaźliwym i milczącym, przypominającym raczej kondukt pogrzebowy niż triumfalny pochód.

U bram miasta młode dziewczęta i kobiety, które nie mogły uczestniczyć w widowisku, oczekiwały na zwycięzcę, trzymając w rękach laurowe gałązki. Lucjusz szukał wśród nich Akte, ale jej tu nie znalazł. Przyśpieszył więc kroku sądząc, że dziewczyna czeka na niego w progu domu. Przebiegł szybko plac, który kilka dni wcześniej mijał w jej towarzystwie, zagłębił się w ulicę, którą go prowadziła. Lecz żadne kwiaty nie zdobiły gościnnych drzwi. Zostawiając starca daleko w tyle, przekroczył próg przedsionka. Nikogo w nim nie zastał. Dopiero przez drzwi prowadzące na taras zobaczył Akte klęczącą przed posagiem Diany. Była blada i nieruchoma jak marmur, który obejmowała. Zbliżył się do niej na palcach i ozdobił jej głowę zdobytym wieńcem. Dziewczyna odwróciła się do niego z okrzykiem radości. Oczy Lucjusza, rozjaśnione i dumne, oznajmiały wyraźniej niż przyniesiony przez niego wianek, że właśnie wydarł Grecji pierwszą z palm, po które przybył.

#### IV

Następnego dnia już od samego świtu całe miasto przybrało odświętny wystrój. Wprawdzie wyścigi zaprzęgów nie zaliczały się do najstarszych konkurencji, zawsze jednak miały najbardziej uroczystą oprawę. Poprzedzała je procesja. Święte posągi zebrano na noc w świątyni Jowisza we wschodniej części miasta, blisko bramy Lechejskiej. Stąd miał ruszyć pochód i przejść głównymi ulicami do cyrku, usytuowanego obok wzniesień przy porcie Orissa.

Rano orszak wyruszył w drogę. Pierwszy jechał na wozie prokonsul Lentulus. Za nim grupa młodych chłopców z rodzin patrycjuszów, na koniach przykrytych wspaniałymi kapami ze szkarłatnej tkaniny przetykanej złotem. Teraz przyszła kolej na głównych aktorów igrzysk. Na ich czele, jako bohater poprzedniego dnia zawodów, jechał Lucjusz. Powoził czwórką pięknych białych

rumaków, zaprzężonych do wozu z kości słoniowej, ozdobionego bogato złotem. Ubrany był w zieloną tunikę, w rękach trzymał purpurowe lejce, a na głowie, zamiast laurowego wieńca zdobytego w zapasach, miał złotą obręcz, od której odchodziły promienie, jak na wizerunkach słońca. By jeszcze bardziej przypominał bóstwo, jego brodę posypano złotym proszkiem. Za Lucjuszem, na spiżowym wozie ciągniętym przez cztery czarne konie, jechał młody Grek z Tesalii, dumny i piękny jak Achilles. Trzecim zawodnikiem był Ateńczyk, który podawał się za potomka Alcybiadesa. Ubrany był w niebieską tunikę, a wiatr rozwiewał jego długie, czarne włosy. Ostatni był Syryjczyk. Miał ogorzałą od słońca twarz, białą szatę spiętą perskim pasem, a na głowie, jak wszyscy synowie Ismaela, śnieżnobiały zawój.

Za zawodnikami mającymi startować w gonitwie szła gromada aulistów i kitarystów przebranych za satyrów i sylenów. Dołączyli do nich niżsi kapłani dwunastu wielkich bogów, z naczyniami i skrzyniami pełnymi wonności. Poprzedzali oni święte posągi niesione w zamkniętych lektykach lub wiezione na wozach. Boskie wizerunki były pilnie strzeżone przez dobranych jeźdźców z najmożniejszych rodów. Cały ten pochód przechodził wąskimi ulicami między dwoma rzędami domów przybranych obrazami, kwiatami i dywanami. Gdy Lucjusz zbliżył się do drzwi Amiklesa, ujrzał pod uniesionym rogiem purpurowego kobierca, przysłaniającego fronton budynku, zapłonioną i onieśmiałą Akte. Miała na głowie wianek, który ofiarował jej poprzedniego dnia. Dziewczyna szybko opuściła zasłonę, ale usłyszała młodego Rzymianina, który powiedział:

- Wyjdź mi na spotkanie, gdy będę wracał, moja piękna nimfo, a zamienię twój oliwny wianek na złoty.

Po południu pochód stanął przed wejściem do cyrku. Była to ogromna budowla o kształcie wydłużonej podkowy, długa na dwa tysiące kroków i na osiemset szeroka. Wysoki na sześć stóp mur przedzielał ją na prawie całej długości. Tylko po obu jego końcach zostawione były wolne przejścia na

szerokość czterech wozów. Całość zdobiły ołtarze i specjalne podstawy w niszach, gdzie ustawiano święte posągi. W jednym z rogów cyrku znajdowały się stajnie, w drugim zaś ławy przeznaczone dla widzów. Wzdłuż środkowego muru, z trzech jego stron, ustawiono dodatkowo po trzy parkany. Aby zaliczyć gonitwę, należało przebyć siedem pełnych okrążeń.

Zawodnicy mieli na sobie stroje w kolorach stronnictw, które wówczas dzieliły Rzym. Na długo przed gonitwami przyjmowano wielkie zakłady. Teraz każdy występował w odpowiednich barwach, zależnie od tego, kogo widział jako przyszłego zwycięzcę. Typowano różnie, biorąc pod uwagę dotychczasową postawę w innych zawodach, jakość koni i liczbę wygranych gonitw. Oczywiście najwięcej zakładów przyjmowali wzbudzający największe zaufanie. Teraz wszystkie miejsca dla widzów zajęli ci, którzy zamiłowanie do oglądania igrzysk łączyli z własnym interesem, licząc na swoją część w ewentualnej wygranej. Nawet kobiety brały udział w zakładach, a każda miała pasek w kolorze odpowiadającym barwom startującego zawodnika. Nic więc dziwnego, że gdy tylko usłyszano zbliżanie się orszaku, niektórzy aż poderwali się ze swych miejsc. Wszyscy byli niezwykle podnieceni. Otwarto drzwi, a niewielki przedział, dotąd pusty, szybko zapełnił się nowymi widzami. Ale tylko część chętnych dostała się do środka. Dla reszty nie starczyło miejsca. Powstrzymani przez gwardię prokonsula, musieli zadowolić się okolicznymi wzniesieniami, wierzchołkami drzew i dachami stojących w pobliżu domów, skąd mogli oglądać gonitwę.

Gdy już wszyscy usiedli, otwarto główne drzwi. Ludzie zaczęli się uciszać. Wejście Lentula oznaczało szybkie rozpoczęcie zawodów. Tym razem prokonsul nie miał na sobie purpurowej szaty, lecz, podobnie jak Lucjusz, tunikę koloru zielonego. Może ufał w zręczność Rzymianina, który zwyciężył poprzedniego dnia, a może chciał się przypodobać boskiemu cesarowi, bowiem Klaudiusz Neron patronował w Rzymie stronnictwu zielonych. Lentulus okrążył powoli cyrk. Za nim niesiono wizerunki bogów i umieszczano je w

przeznaczonych do tego miejscach. Gdy posągi były już ustawione, prokonsul rzucił na środek cyrku kłęb białej wełny. Teraz pojawił się przebrany za Merkurego herold z kaduceuszem w rękę. Przygalopował na oklep na koniu bez wędzidła, porwał na skrzydełko swej laski wełnę i potrząsając nią jak sztandarem objechał wewnętrzne szranki. Gdy zbliżył się do stajen, przerzucił wełnę przez mur, za którym oczekiwały zaprzęgi. Na ten znak otworzyły się drzwi karceresów i ukazali czterej zawodnicy.

Przyszła kolej na losowanie. Do koszyka wrzucono zwitki papirusu z wypisanymi imionami. W ten sposób ustalono porządek rozstawienia zaprzęgów na starcie. Przypadek miał zadecydować, kto będzie musiał pokonać najdłuższą drogę, bo wylosował tor najbardziej oddalony od środka.

Prokonsul najpierw wymieszał zwitki z imionami, a następnie wyciągał po jednym z koszyka. Pierwszy stanął Syryjczyk w białym zawoju. Ustawił swój wóz tak, by jego oś była równoległa do linii narysowanej kredą na piasku. Drugi był Ateńczyk w niebieskiej tunice. Stanął obok pierwszego zawodnika. Trzeci tor zajął Tesalijczyk w żółtym stroju. Czwarty stanął Lucjusz. Przypadł mu w udziale tor zewnętrzny, najbardziej niekorzystny, jakby los pozazdrościł mu wczorajszej chwały. Gdy wozy były już na starcie, młodzi niewolnicy powplatali w grzywy koni wstęgi, których kolory odpowiadały barwom zawodników i, by zagrać te szlachetne zwierzęta do walki, powiewali przed nimi jaskrawymi chorągwiami. W tym czasie inni przynieśli długi łańcuch z dwoma dużymi ogniwami na końcach, naciągnęli go i ustawili wozy w równym szeregu.

Tymczasem na widowni znowu zrobiło się gwaro. Czyniono nowe zakłady, podwajano stawki poprzednich, trwały gorączkowe rozmowy. Wtem zagrały trąby i wszystko się uciszyło. Widzowie szybko powrócili na swoje miejsca. Gdy przebrzmiały już ostatnie dźwięki, łańcuch opadł i konie ruszyły z miejsca.

Zaprzęgi zrobiły już dwa okrążenia, ale nadal jechały prawie równo. Teraz można było poznać przymioty koni.

Dostrzegali to widzowie, którzy się na tym znali. Syryjczyk z trudem

hamował swoje rumaki. Wprawdzie ujarzmił ich dzikość dzięki swej wytrwałości, ale było widać, że gdyby tylko zostawił im pełną swobodę, uniosłyby go w szalonym pędzie, do jakiego przywykły, gdy na wolności ścigały się z wiatrem po rozległych, piaszczystych dolinach między górami Judy a brzegami jeziora Asfaltydy. Ateńczyk przywiózł swoją czwórkę z Tracji. Był jednak zbyt dumny, by samemu się nimi zajmować, dlatego powierzył to zadanie niewolnikom. Teraz widać było wyraźnie, że zwierzęta prowadzone obcą ręką, słysząc nie znany im głos, nieskore są do posłuszeństwa. Inaczej postąpił Tesalijczyk. Sam karmił swoje konie i ćwiczył długo na równinach między Peneusem i Enipem. Lucjusz miał do pokonania największe koło, a mimo tego utrudnienia nie tylko utrzymał swoją pozycję, lecz nawet nieco wyprzedził pozostałych. Patrząc na bieg jego koni wydawało się, że galop jest ich naturalnym, zwyczajnym krokiem. Jak dotąd ani razu nie powstrzymywał ich ani nie ponaglał, zostawiając zwierzętom całkowitą swobodę. Tak pewnie biegały słynne konie Selennutów; Wergiliusz mówił, że ich klacze były zapłodnione przez wiatr.

W trzecim okrążeniu zaczęły się zaznaczać wyraźniejsze różnice. Pierwszy był Tesalijczyk. Za nim, w odległości około dwóch włóczni, jechał Ateńczyk, wyprzedzając Syryjczyka, który wstrzymywał z całych sił swoje rwące się do przodu araby pewny, że w każdej chwili odzyska utraconą pozycję. Tylko Lucjusz, jadący ostatni, zdawał się być raczej obserwatorem niż uczestnikiem wyścigów, bowiem spokojnie i z uśmiechem, trzymając lekko i z gracją lejce, przypatrywał się temu, co działo się przed nim.

Przy czwartym okrążeniu drobny incydent skupił uwagę wszystkich na Lucjuszu. Jego bicz, zrobiony ze skóry nosorożca nabijanej złotem, który do tej pory wydawał się przedmiotem całkowicie bezużytecznym, wypadł mu niechcący z ręki. Rzymianin zatrzymał wóz i szybko podniósł go z ziemi. Teraz pozostawał w tyle przynajmniej o trzydzieści kroków i wydawało się, że już nie ma żadnych szans na zwycięstwo. Ale Lucjusz nachylił się ku swoim koniom,

zagwizdał w szczególny sposób, a rumaki popędziły jak uskrzydłone Pegazy i jeszcze przed ukończeniem czwartego koła, wśród okrzyków i braw rozgorączkowanej widowni, dogoniły pozostałe wozy.

W piątym okrążeniu Ateńczyk właściwie utracił kontrolę nad swoim zaprzęgiem. Konie poniosły i bardzo szybko zostawił wszystkich w tyle. Nikogo to jednak nie zmyliło, nawet jego samego, chociaż miał jeszcze nadzieję na zdobycie tak dużej przewagi, że nikt nie zdoła go wyprzedzić. Zaczął smagać zmęczone już bardzo i pokryte pianą konie trójrzemiennym batem i zachęcać, wołając każdego po imieniu, ale nie czuł się pewnie i co chwila spoglądał za siebie. Mógł teraz zjechać jak najbliżej muru, zająć dogodniejszą pozycję i skrócić w ten sposób odległość do mety, ale bał się, że konie nie usłuchają go i tylko zawadzi osiá wozu o parkan. Jechał więc po swoim torze.

Do końca wyścigu pozostały jeszcze dwa pełne koła. Widzowie na trybunach byli coraz bardziej zdenerwowani. Zwolennicy niebieskich okazywali Ateńczykowi swoje niezadowolenie z jego dotychczasowej postawy i głośno krzyczeli, by hamował konie. Zwierzęta, słysząc tę wrzawę, wzięły ją za doping i zaczęły biec jeszcze szybciej, ale było widać, że są już zupełnie wyczerpane.

W tej chwili Syryjczyk popuścił cugli swoim rumakom, które szybko wysunęły się naprzód. Zdziwiło to Tesalijczyka, lecz on także przyśpieszył, wołając na swoją czwórkę. Lucjusz poprzestał na ponownym gwizdnięciu i jego białe konie, po których wcale nie było widać zmęczenia, utrzymały dotychczasowy dystans.

Ateńczyk spostrzegł nadciągających z obu stron jak burza współzawodników. Zrozumiał natychmiast, że przegra, jeśli nie zbliży wozu do parkanu. Zajechał więc drogę Syryjczykowi, by uniemożliwić mu zajęcie lewego toru. Ten szybko zorientował się w sytuacji i skręcił ostro w prawo, chcąc wyprzedzić z drugiej strony. Miał jednak przed sobą Tesalijczyka, a odległość między obydwojma wozami była zbyt mała, by mógł wjechać w środek. Szybko ocenił, że wóz przeciwnika z prawej strony jest lżejszy niż jego.

Skierował się zatem ku niemu na ukos, zbliżył koło do koła, zgruchotał nim oś i wyrzucił wóz razem z woźnicą na piasek.

Manewr ten, choć nagle powzięty i wykonany, na chwilę opóźnił bieg koni Syryjczyka. Woźnica jednak zaraz nadrobił stratę i Ateńczyk zorientował się, że jego przeciwnicy, tak jak on, rozpoczynają przedostatnie okrążenie. Wkrótce też dopędzili go i prześcignęli. Ostateczna walka toczyła się teraz między Arabem i Rzymianinem.

Obie czwórki biegły szybko i równo. Momentami zdawało się nawet, że są zaprzęzione do jednego wozu. Spod kopyt wzbijały się tumany kurzu, przesłaniając woźniców. Ludzie na widowni pozrywali się z miejsc. Krzyczeli, wymachiwali rękami, tupali. Coraz częściej na bieżnię spadały zielone i białe płaszcze i paski. Nawet ci, którzy początkowo obstawiali wygraną Tesalijczyka lub syna Aten, teraz dopingowali gorąco dwóch pozostałych zawodników, jakby zapominając o swojej przegranej. W pewnej chwili zdawało się nawet, że Syryjczyk zdobywa przewagę. Jego konie o łeb wyprzedziły drugą czwórkę. Lucjusz jakby tylko na to czekał. Smagnął biczem po grzbietach koni tak silnie, że pozostała na nich krwawa pręga. Zwierzęta aż zarżały. Nie były przyzwyczajone, by sprawiano im taki ból. Ostatnim wysiłkiem wyrwały do przodu, wyprzedziły w szaleńczym pędzie Syryjczyka i zostawiając go o dobre pięćdziesiąt kroków w tyle, minęły linię mety. Wyścig zakończył się.

Tłumy na widowni oszalały. Ten młody, nie znany nikomu Rzymianin, który poprzedniego dnia zwyciężył w zapasach, a teraz wygrał gonitwę to Tezeusz, Kastor, może Apollo... W każdym razie jest niewątpliwie ulubieńcem bogów. Tymczasem Lucjusz, przyzwyczajony widać do podobnych triumfów, lekko wyskoczył z wozu, wszedł po kilku stopniach prowadzących na podium i tam ukazał się widzom. Herold ogłosił jego imię jako zwycięzcy, a prokonsul Lentulus zszedł z trybuny, podał mu idumeneńską palmę i włożył na skronie koronę ze złotych i srebrnych liści, przeplatanych purpurowymi wstążkami. Podał mu również nagrodę w złotych monetach, ale tej Lucjusz nie przyjął.

Oddał ją prokonsulowi, by w jego imieniu rozdał pieniądze ubogim.

Zaraz też skinął na Sporusa, który przybiegł trzymając w rękę gołębicę wziętą z klatki Akte. Lucjusz przywiązał do szyi ptaka purpurową wstążkę, przytwierdził dwa złote liście z korony i puścił jako wysłannika zwycięstwa, a ten skierował swój lot ku domowi Amiklesa.

## V

Dwa zwycięstwa Lucjusza i towarzyszące im dziwne okoliczności wywarły duże wrażenie na umysłach widzów. Grecja była kiedyś ziemią ulubioną przez bogów. Apollo, wygnany z Olimpu, został pasterzem i pilnował trzód Admeta, króla Tesalii. Wenus, zrodzona z piany morskiej, wieziona przez Trytony ku najbliższemu brzegowi znalazła się niedaleko Helos, a mogąc wybrać miejsce dla swego kultu, wyróżniła spośród wszystkich krain świata Guidę, Pafos, Idalion i Kyterę. Wreszcie Arkadyjczycy, jak głosiła legenda, odbierając Kreteńczykom zaszczyt uważania się za współziomków króla bogów, na miejsce urodzenia przeznaczyli górę Liktos. Jeśli nawet nie była to prawda, faktem było, że Zeus postawił swój tron na szczycie Olimpu. Wszystkie te legendy i pamięć o wielkich bohaterach odświeżył Lucjusz w wyobraźni ludu, któremu Rzymianie wydarli wprawdzie przyszłość, ale nie mogli pozbawić przeszłości. Zawodnicy, którzy mieli ubiegać się o tytuł najlepszego śpiewaka, pomni co spotkało śmiazków walczących w zapasach i wyścigach, wycofali się. Przypomniano sobie los Marsjasza, który wyzwiał do zakładów muzycznych Apollina i Lucjusz, spośród pięciu już wpisanych na listę, został sam. Mimo to prokonsul postanowił, że igrzyska odbędą się w oznaczonym dniu.

Temat wybrany przez Lucjusza żywo interesował Koryntian. Był to poemat o Medei, przypisywany samemu cesarowi Neronowi. Wiadomo było, że ta czarodziejka, przywieziona do Koryntu przez Jazona, gdy mąż chciał ją porzucić, złożyła swoich dwóch synów na stopniach ołtarza, powierzając ich

straży bogów, sama zaś otruła rywalkę, posyłając jej tunikę podobną do szaty Nessosa. Koryntianie, przerażeni zbrodnią matki, wyprowadzili dzieci ze świątyni i ukamienowali. Nie uszło im to bezkarnie. Bogowie pomścili swoją zniewagę, zsyłając zarazę na wszystkie ich dzieci. Dużo czasu upłynęło od tamtych wydarzeń, następne pokolenia zaprzeczały, że tę zbrodnię popełnili ich ojcowie. Tylko uroczystość, którą obchodzili rokrocznie w dniu morderstwa dwóch ofiar i zwyczaj ubierania dzieci do lat pięciu w czarne szaty oraz golenia im głów na znak pokuty, świadczyły, że pamięć o tym przetrwała. Nic więc dziwnego, że teraz budziło to powszechną ciekawość.

Wszyscy chętni nie mogli pomieścić się w teatrze. Był on znacznie mniejszy od gimnazjonu i cyrku, miał zaledwie dwadzieścia tysięcy miejsc. Rozdano więc najszlachetniejszym Koryntianom i najznakomitszym cudzoziemcom małe tabliczki z kości słoniowej ze znakami odpowiadającymi liczbom wrytym na siedzeniach. Służba, ustawiona przy wszystkich wejściach i w środku, pilnowała, by nikt nie usiadł na niewłaściwym miejscu, dzięki czemu wszystko przebiegało w jak największym porządku.

Dla złagodzenia upału, a także by ochronić widzów przed gorącymi promieniami majowego słońca, nad teatrem rozciągnięto olbrzymie velarium, czyli zasłonę z jedwabnej tkaniny. Na jej niebieskim tle rozsypane były złote gwiazdy, a w środku widniał, obrysowany promienistym kołem, wizerunek Nerona w triumfalnych szatach, na wozie ciągniętym przez cztery rumaki. Zasłona rzucała wprawdzie cień na wnętrze teatru, lecz mimo to było bardzo gorąco. Młodzi mężczyźni poruszali dużymi wachlarzami z pawich piór, chłodząc w ten sposób towarzyszące im damy, które raczej leżały niż siedziały na purpurowych poduszkach i perskich kobiercach, rozścielonych przez niewolników. Tym razem wśród widzów była też Akte. Nie ośmieliła się nosić wieńca podarowanego jej przez Lucjusza, ale między upięte wysoko włosy nieznacznie wplotła dwa złote liście przyniesione jej przez gołębicę. W przeciwieństwie do innych pięknych kobiet nie otaczali jej dwornicy młodzieńcy.

Towarzyszył jej jedynie ojciec. Na jego poważnej zazwyczaj twarzy gościł teraz pogodny uśmiech, co znaczyło, że sprzyja triumfom swego gościa i jest z nich dumny. Wierząc w szczęście Lucjusza, nakłonił swoją córkę do przyjsia tutaj, pewny, że także teraz będą świadkami zwycięstwa.

Zbliżał się już moment rozpoczęcia widowiska. Wszyscy byli niezwykle podnieceni. Nagle rozległ się potężny huk podobny do uderzenia pioruna i na widzów spadł deszcz, orzeźwiający ich nieco. Rozległy się brawa. Nie była to bowiem prawdziwa burza. Zastosowano tylko wynalazek, którego autorem był Klaudiusz Puletwa. Grzmot spowodowali dwaj ludzie, przetaczający za sceną kamienie w wielkim miedzianym kotle. Deszcz też był sztuczny. Wodę zmieszaną z wonnymi olejkami wytryskiwano przez specjalne otwory w zdobiących teatr posągach. Po chwili zasłona opadła i ukazał się Lucjusz z lirą w ręku. Po jego lewej stronie stał aktor Parys. Miał on odpowiednimi gestami ilustrować tekst poematu. Po prawej stronie znajdował się chór, przed którym stał koryfeusz<sup>3</sup> i aulista.

Widzowie od razu poznali, że młody Rzymianin był bardzo doświadczonym śpiewakiem. Rozpoczął bowiem od wokalizy obejmującej dwie oktawy i kwintę. Od czasów Tymoteusza nie słyszano drugiego śpiewaka o tak dużej skali głosu. Dopiero po tym wstępie Lucjusz przeszedł do właściwego utworu.

Poemat opiewał przygody Medei, kobiety pełnej wdzięku, wtajemniczanej we wszelkie arkana magii. Cezar Klaudiusz Neron, wytrawny artysta w tworzeniu dzieł scenicznych, rozpoczął tę historię od chwili gdy Jazon, na swym okręcie Argo, przybija do brzegów Kolchidy i spostrzega Medeę, córkę króla Ajetesa, zrywającą kwiaty na przybrzeżnej łące. Słyszac ten wstęp Akte zamarła. Przecież w podobnych okolicznościach sama pierwszy raz ujrzała Lucjusza: zbierała właśnie kwiaty, gdy jego birema przybiła do brzegów Koryntu. Potem w pytaniach Jazona i odpowiedziach Medei rozpoznała słowa,

---

<sup>3</sup> Koryfeusz - przewodnik chóru w dramacie greckim i na zawodach muzycznych; poddawał chórowi rytm i melodię.

które przed kilkoma zaledwie dniami zamieniła z młodym Rzymianinem.

W tej chwili Sporus, korzystając z przerwy w chórze, podał Lucjuszowi drugą lirę, nastrojoną w innej tonacji, jakby poprzednia nie wystarczała do oddania tak wielkiego uczucia. Był to instrument podobny do tego, na jakim grał Lacedemończykom Tymoteusz. Jego wysokie brzmienie poczytano wówczas za zniewieściale i przez to niebezpieczne. Eforowie<sup>4</sup> orzekli, iż śpiewak obraził majestat starożytnej muzyki i chciał zepsuć młodych Spartan. Ale wyrok ten wydali dopiero po bitwie nad rzeką Aigospotamoi, która uczyniła ich panami Aten.

Wiele wydarzyło się od tamtego czasu. Sparta upadła, Ateny stały się miastem rzymskim, Grecja została prowincją. Spełniło się to, co przewidywał Eurypides. Nikt już teraz nie zrywał strun w instrumencie, zarzucając artyście brak moralności, a widzowie oklaskiwali Lucjusza z ogromnym zapalem. Akte słuchała tego poematu z zapartym tchem. Dla niej opowiadał on jej własne przygody.

Lucjusz bowiem, podobnie jak Jazon, zdobył już dwie nagrody, a teraz aplauz publiczności pozwalał przypuszczać, że zdobędzie trzecią. Znowu zmienił instrument, bo stosownie do tematu innej potrzeba liry niż ta, przy której wyznaje się miłość. Od momentu, gdy Jazon spotkał Medeę w świątyni Hekaty, gdzie otrzymał trzy zaczarowane przedmioty, dzięki którym pokonał straszliwe przeszkody i zdobył złote runo, jego przygodom towarzyszyły dźwięki jakby twardsze i silniejsze, właściwsze dla oddania zwycięstwa. Akte nie potrafi oddzielić w swych myślach Jazona od Lucjusza i tym silniej przeżywa losy bohatera poematu. Jazon namaszczony czarodziejskimi sokami, mającymi chronić go od ran, idzie do pierwszej zagrody. Tam atakują go dwa ogromne byki ziejące ogniem, o kopytach i rogach ze spiżu. Lecz pod dotknięciem czarodziejskiego bicia pokorniej, pozwalają zaprząć się do diamentowego pługa i bohater zaoruje cztery zagony poświęcone Marsowi. Idzie do drugiej

---

<sup>4</sup> Eforowie - najwyżsi urzędnicy w Sparcie.

zagrody. Olbrzymi wąż unosi swą głowę ponad drzewami oliwnymi, służącymi mu za schronienie i groźnie syczy. Rozpoczyna się straszliwa walka, w której Jazon nie może być zraniony. Wąż skruszył już swe zęby, lecz nie zdołał go ukąsić. Na próżno owija się wokół niego i usiłuje zadusić. Każdy cios miecza zadaje mu głębokie rany. Cofa się więc, ale Jazon naciera. Płaz chowa się do ciemnej i ciasnej jaskini. Jazon czołga się za nim, ściga go i w tej kryjówce. Wreszcie wychodzi, trzymając w ręku łeb potwora. Wraca na pole, które wcześniej zaorał i w głębokich brzdach zasiewa zęby poczwary. Z czarodziejskich zagonów wyrasta wojownicze plemię mścicieli. Jazon ciska między nich kamyk otrzymany od Medei. Pod wpływem czaru wojownicy zamiast rzucić się na niego, zwracają oręż przeciw sobie. Walczą zaciekle i mordują nawzajem, on tymczasem wchodzi do trzeciej zagrody, gdzie rośnie drzewo o srebrnym pniu, szmaragdowych liściach i rubinowych owocach. Wśród jego gałęzi Fryksos ukrył złote runo barana. Tu czeka go do pokonania ostatnia przeszkoda. Musi zmierzyć się z olbrzymim skrzydlatym smokiem pokrytym diamentową łuską, która czyni go odpornym na rany. Nasz bohater posługuje się teraz ostatnim z trzech darów swej kochanki. Stawia na ziemi złotą czarę pełną mleka. Potwór wypija odurzający napój, pogrąża się w głębokim śnie i zuchwały syn Aizona zdobywa złote runo. Medea oczekuje na zwycięskiego kochanka.

Lucjusz powraca do instrumentu o tonach łagodniejszych i cichszych. Bohater jego opowieści musi teraz użyć całej mocy swej miłości, by nakłonić kochankę do opuszczenia rodzinnych stron, ojca i udania się w daleką podróż. Medea długo się opiera, wreszcie miłość zwycięża. Drżąca i wpół naga opuszcza nocą uśpionego ojca. Ale zawraca od drzwi pałacu, by ujrzeć go raz jeszcze. Wchodzi po cichu do komnaty, by po raz ostatni ucałować jego czoło i białe włosy. Nie może przy tym powstrzymać głośnego łkania, które starzec bierze za głos sennej mary. Wybiega wreszcie z pałacu i podąża w objęcia kochanka, czekającego na nią w porcie. Ten porywają zemdloną na ręce i unosi

na swój cudowny, zbudowany przez Minerwę okręt, przed którym rozstępują się posłusznie największe fale. Gdy Medea przychodzi do siebie, ojczyste wybrzeża znikają już w oddali. Rodzinną ziemię opuszcza dla obcej, ojca dla małżonka, przeszłość dla przyszłości.

Tę część utworu Lucjusz odśpiewał z wielkim żarem i namiętnością, tak że żadna z kobiet nie pozostała obojętna na tę opowieść, żadna nie mogła powstrzymać wzruszenia. Akte, zakochana jak Medea, siedziała z zamkniętymi oczami, milcząca i skupiona. W tej historii kochanków widziała obraz własnego życia, którego przeszłość i przyszłość odbijała się w poemacie jak w zwierciadle. Przy scenie pożegnania, w której Medea zbliża usta do białych włosów Ajetesa i pełna rozpaczy głośno szlocha, Akte, poruszona do głębi, oparła głowę na ramieniu swego ojca. Triumf Lucjusza był pełny. W pierwszej przerwie poematu oklaskiwano go niezwykle gorąco. Teraz rozlegały się pełne uniesienia okrzyki, entuzjizm widzów był tak wielki, że tylko sam wykonawca mógł nakazać wszystkim milczenie i uciszyć tę wrzawę, rozpoczynając trzecią część dramatu.

Znowu zmienia lirę. Teraz będzie mowa nie o wielkim uczuciu zakochanej dziewczyny, nie o triumfie kochanka i bohatera, ale o niewdzięczności mężczyzny i niepohamowanej zazdrości kobiety. Będzie przedstawiać miłość namiętną i szaloną, a zarazem mściwą i morderczą. Nie każda struna może oddać swym dźwiękiem tyle cierpień i bólu.

Oboje płyną na czarodziejskim okręcie. Przybijają do Tesalii. Tu, w Jolkos, swoimi czarami Medea przywraca młodość ojcu Jazona. Potem znajdują schronienie w Koryncie. Porzucona przez męża, który pragnie poślubić Kreuzę, córkę króla, mści się w okrutny sposób na swojej rywalce. Posyła jej w ślubnym podarku szatę nasączoną trucizną. Kreuza nie podejrzewa podstępu, nakłada ją i wkrótce kona w strasznych męczarniach. Zazdrosna i mściwa Medea boi się, że będą ją prześladować wspomnienia wielkiej miłości. Zabija więc swoich dwóch synów, których ojcem był Jazon i ulatuje na wozie zaprzężonym w skrzydlate

smoki.

Takie ujęcie tematu podoba się Koryntianom. Tak jak u Eurypidesa, zarzut morderstwa dzieci przypisano matce. Uniesienie zgromadzonych tłumów sięgnęło zenitu. Głośnym okrzykiem towarzyszą teraz uderzenia krotalonu<sup>5</sup>, by podkreślić uznanie i zachwyty.

Po skończonym popisie Lucjusz otrzymał nie tylko wieniec przygotowany dla zwycięzcy przez prokonsula. Na scenę posypały się kwiaty i wianki, których nie szczędziły mu zwłaszcza kobiety. Wydawało się przez chwilę, że upadnie pod ich ciężarem. On jednak nie zwracał na nie uwagi. Nie zważał też na entuzjazm i zachwyty tłumu, tylko szukał oczami tej, której jeden znak pochwały miał dla niego największe znaczenie. Gdy wreszcie zobaczył ją w objęciach ojca, spojrzał tak czule i uczynił gest tak proszący, że Akte uniosła rękę do swego wianka, zdjęła go, lecz nie mając siły rzucić, upuściła tylko i opadła na ramię Amiklesa.

Następnego dnia o świcie złocista birema unosiła się na falach Zatoki Korynckiej, lekka i wspaniała jak okręt Argo. Na swym pokładzie unosiła drugą Medeę, niewierną rodzinnej ziemi i ojcu. Na pokładzie obok Lucjusza stała Akte, wpatrzona w znikające w oddali wzgórza i majaczący jeszcze Korynt. Gdy miasto i cytadela skryły się już za linią horyzontu, z piersi dziewczyny wyrwało się westchnienie, padła w objęcia Lucjusza i zemdlała.

## VI

Kiedy oprzytomniała, zobaczyła, że jest w głównej izbie okrętu. Lucjusz siedział przy łożu, na które ją tymczasem przeniesiono, i podtrzymywał jej głowę. W kącie, na purpurowym, przetykanym złotem kobiercu spała zwinięta w kłębek tygryśca. Była już noc. Przez otwór w suficie widać było

---

<sup>5</sup> Krotalon - instrument zbliżony do kastanietów. Były to dwie małe, wydłużone, lekko wgłębione z jednej strony, z drugiej wypukłe płytki - klocki, którymi uderzano o siebie.

rozwieżdzone niebo Jonii. Birema unosiła się lekko, jak ogromna dziecinna kolebka delikatnie kołysana przez usługne morze. Cisza i panujący wokół spokój sprawiły, że wydarzenia ostatnich dni dziewczyna wzięła najpierw za senne marzenia. Ale Lucjusz, który bacznie jej się przyglądał i spostrzegł, że się ocknęła, klasnął w ręce. Na ten znak weszła młoda niewolnica, trzymając w ręku laskę płonącego wosku i zapaliła złotą lampę zawieszoną na stojącej w nogach łoża spiżowej podstawie.

Akte spojrzała na nią zdziwiona. Nigdy jej dotąd nie widziała, a jednak było w niej coś znajomego. Rysy twarzy wywoływały świeże wspomnienia, choć nie mogła przypomnieć sobie imienia, które kojarzyłoby się z tym obliczem. Pod natłokiem sprzecznych myśli i obrazów przymknęła oczy i oparła głowę na poduszce. Lucjusz, myśląc, że chce spać, dał znak niewolnicy, by nad nią czuwała, sam zaś wyszedł.

Zostały teraz same. Niewolnica, z wyrazem dziwnego smutku na twarzy, przyglądała się jakiś czas dziewczynie. Wreszcie ułożyła się na kobiercu obok chrapiącej Febe, wspierając głowę na grzbiecie tygrysicy. Obudzone zniecka zwierzę uniosło łeb, jego na wpół otwarte ślepia zabłyśły dziko, ale gdy poznało przyjaciółkę, tylko polizało delikatnie jej rękę swym wielkim językiem i wyciągnęło niedbale, głośno pomrukując.

Tymczasem ciszę przerwał dobiegający z górnej części okrętu śpiew chóru. Taki sam chór Akte słyszała, gdy birema przybijała do korynckiego portu. Teraz jednak otaczająca sceneria i nocna cisza dodawały mu tajemniczości. Nowy głos dołączył do pozostałych. To Lucjusz zaczął modlitwę do Neptuna. Dziewczyna rozpoznała go od razu. Przecież zaledwie poprzedniego dnia jego śpiew rozbudził w niej najskrytsze uczucia. Czyste i aksamitne brzmienie tego głosu było jak kuszący śpiew syren witających okręt nowego Ulissesa.

Pod wpływem tej wspaniałej muzyki Akte otworzyła oczy i wpatrzona w gwiazdy na niebie zapomniała o wszystkim, oddając się marzeniom. Dawno już przebrzmiały ostatnie dźwięki liry, a ona wciąż trwała w bezruchu i zamyśleniu.

Ocknęła się wreszcie i wtedy wzrok jej napotkał spojrzenie młodej dziewczyny. Niewolnica, podobnie jak ona, poddała się nastrojowi chwili i Akte uświadomiła sobie, że nie po raz pierwszy przechwycała jej smutne, a zarazem niepokojące spojrzenie. Skinęła na nią i dziewczyna wstała. Chwilę obie milczały, wreszcie Greczynka spytała:

- Jak się nazywasz?

- Sabina.

Akte drgnęła. Twarz i głos nie były jej obce, ale wymienione imię nie kojarzyło się z żadnym wspomnieniem.

- Gdzie jest twoja ojczyzna?

- Opuściłam ją tak młodo, że wcale jej nie pamiętam.

- Do kogo należysz?

- Wczoraj należałam do Lucjusza, dziś do Akte.

- Od dawna Lucjusz jest twym panem?

- Odkąd tylko pamiętam.

- Pewnie jesteś do niego bardzo przywiązana?

- Jak córka do ojca.

- Podejź więc do mnie i porozmawiajmy o nim.

Sabina podeszła, ale uczyniła to z widocznym wstrętem. Akte myśląc, że dziewczyna jest onieśmielona, ujęła jej rękę, chcąc dodać odwagi. Ręka była zimna jak marmur. Posłuszna naleganiom swej pani niewolnica upadła raczej, niż usiadła przy jej łożu.

- Czy nie widziałam cię przedtem? - dopytywała się Akte.

- Nie sędzę.

- W cyrku lub w teatrze?

- Na krok nie opuszczałam statku.

- Nie oglądałaś więc zwycięstw Lucjusza?

- Przyzwyczaiałam się do nich.

Znowu zapadło milczenie. Na zadawane pytania dziewczyna udzielała

odpowiedzi z tak wyraźną niechęcią, że Akte nie mogła tego nie zauważyć.

- Słuchaj - powiedziała - widzę, jak jest ci przykro z powodu straty dawnego pana. Powiem Lucjuszowi, że nie chcesz go opuścić.

- Nie rób tego - zawołała Sabina. - Gdy Lucjusz rozkazuje, trzeba go słuchać.

- Tak straszny jest jego gniew? - spytała Akte z uśmiechem.

- Okropny! - odparła niewolnica z takim lękiem, że Akte poczuła się nieswojo.

- A jednak niektórzy z jego otoczenia kochają go. Ten młody Sporus...

- Sporus! - powtórzyła głucho niewolnica.

Akte nagle zamilkła. Teraz uświadomiła sobie: Sabina była podobna do Sporusa. W dodatku podobieństwo było tak wielkie, że zdziwiła się, iż nie spostrzegła tego od razu. Ujęła obie ręce dziewczyny i patrząc jej uważnie w oczy zapytała:

- Znasz Sporusa?

- To mój brat - padła odpowiedź.

- Gdzie jest teraz?

- Został w Koryncie.

W tej chwili otworzyły się drzwi i wszedł Lucjusz. Akte, która wciąż trzymała Sabinę za rękę, poczuła, że na jego widok dziewczyna aż zadrżała. Mężczyzna obrzucił obie badawczym spojrzeniem i po chwili milczenia spytał:

- Czy nie chcesz, moja piękna Akte, zobaczyć porannej zorzy i odetchnąć orzeźwiającym powietrzem?

W jego głosie, pozornie spokojnym i łagodnym, było coś niepokojącego. Akte zauważyła to dopiero teraz. Ogarnęło ją przy tym uczucie trwogi i pytanie odebrała jako rozkaz. Usłuchała w milczeniu. Ale mimo szczerych chęci nie miała dość siły i pewnie by upadła, gdyby Lucjusz nie podtrzymał jej w porę. Poczula, z jaką łatwością wziął ją na rękę. Nie mogła tylko zrozumieć paraliżującego ją strachu. Zamknęła oczy i pozwoliła się nieść, choć nie

opuszczało jej uczucie, jakby za chwilę miała być wrzucona w przepaść.

Dopiero na pokładzie, pod wpływem chłodnej, morskiej bryzy minęło to dziwne wrażenie. Leżała teraz w złocistej siatce, której jeden koniec przytwierdzono do masztu, drugi do małej, rzeźbionej kolumny. Lucjusz, wsparty o maszt, stał obok.

Podczas nocy okręt, gnany przychylnym wiatrem, wypłynął z Zatoki Korynckiej, okrążył Elidę i właśnie wpływał między Zakyntos i Kefalenię. Słońce, jeszcze niewidoczne spoza tych dwóch wysp, podświetlało swymi pierwszymi promieniami szczyty gór, ukazując między nimi przesmyk, choć na zachodzie wszystko pogrążone było w głębokim cieniu.

Akte spytała:

- To jeszcze Grecja?

- Tak - odparł Lucjusz - a ten zapach dolatujący nas jak ostatnie pożegnanie, to drzewa pomarańczowe na Zakyntos. Nie znają zimy te dwie siostrzane wyspy i rozkwitają w promieniach słońca jak dwie lilie. Czy chcesz, piękna Akte, bym kazał zbudować tu dla ciebie pałac?

- Lucjusz, lękam się nieraz twych obietnic, jakich tylko bóg mógłby może dotrzymać. Kim jesteś i co przede mną ukrywasz? Czy jesteś gromowładnym Jowiszem i sądzisz, że gdy ukażesz mi się w pełnym blasku, spłonę jak druga Semele?

- Mylisz się - odparł Lucjusz z uśmiechem - jestem tylko biednym śpiewakiem, któremu stryj zostawił cały swój majątek pod warunkiem, że będę się nazywać jego imieniem. Całą moją potęgą jest miłość i czuję, że dzięki niej podolałbym dwunastu pracom Herkulesa.

- Kochasz mnie więc? - spytała dziewczyna.

- Ależ tak!

Słowa Lucjusza zabrzmiały tak prawdziwie, że Akte w jednej chwili zapomniała o wszystkim. Tęsknota, żal i niepokój zniknęły.

Płynęli przez sześć dni. Niebo było pogodne i błękitne, morze spokojne.

Siódmego dnia spostrzegli miasto Lokri, zbudowane przez żołnierzy Ajaksa. Okrążyli przylądek, dostali się do Cieśniny Mesyńskiej, zostawiając na lewo Messanę, starożytną Zankle o porcie zakrzywionym jak kosa, a na prawo Regium, od którego Dionizos zażądał żony, a ono ofiarowało mu córkę kata. Żeglując prosto między wrzącą Charybdą i szczekającą Scyllą, pożegnali wody Morza Jońskiego i znaleźli się na Morzu Tyrreńskim. Płynęli jeszcze pięć dni, gnani siłą żagli lub wioseł. Minęli Eleę z widocznymi jeszcze zwaliskami grobu Palinurusa, Pestum z trzema świątyniami, Capri z dwunastoma pałacami. Wreszcie dopłynęli do wspaniałej zatoki, gdzie wznosi się miasto Neapol. Kiedyś, dawno temu założyli je Grecy, teraz opanowane przez Rzymian, spoczywa nadal u stóp dymiącego Wezuwiusza, mając po prawej stronie Herkulanum, Pompeję i Stabię, które w dwadzieścia lat później zniknęły zasypane popiołem i lawą, po lewej zaś Puteoli z olbrzymim mostem, Baję, której tak obawiał się Propercjusz i Bauli, mającą wkrótce wsławić się matkobójstwem Nerona.

Gdy tylko Lucjusz zobaczył miasto, kazał zmienić białe żagle na purpurowe i ozdobić maszt laurową gałęzią. Był to ustalony wcześniej znak zwiastujący zwycięstwo. Spostrzeżono go szybko i zaraz na brzegu zaczęła się pośpieszna krzątanina, a ludzie rzucili się ku okrętowi, który płynął tymczasem witany muzyką, śpiewem i oklaskami tłumów. Lucjusz, ubrany w purpurową szatę, niebieską chlamidę w złote gwiazdy, z laurowym wieńcem na głowie, wsiadł do czekającego już na niego wozu zaprzęzonego w cztery białe konie. Wybito wyłom w murze miasta i odbył się triumfalny wjazd.

We wszystkich miastach witano go w podobny sposób. W Fundi sześćdziesięcioletni starzec, którego ród był tak stary jak Rzym, wielce zasłużony w wojnie afrykańskiej i za to potem hojnie obdarowany, przygotował dla niego wspaniałą uroczystość, a nawet sam wyszedł na spotkanie zwycięzcy. Krok ten ze strony człowieka tak znakomitego wywarł duże wrażenie na powiększającym się z każdą chwilą orszaku Lucjusza. Dziwne bowiem rzeczy

opowiadano o tym starcu. Gdy jeden z jego przodków składał ofiarę, orzeł rzucił się na zabite zwierzę, porwał jego wnętrzności i uniósł na dąb. Przepowiedziano wówczas, że któryś z jego potomków będzie panem Rzymu, a tym potomkiem był ów starzec o imieniu Galba. Jemu to właśnie zdarzyło się kiedyś, gdy wraz z rówieśnikami przybył powitać Oktawiana, że August musnął lekko ręką jego twarz i powiedział:

- I ty także, moje dziecko, doświadczysz słodczy potęgi.

Kochała go też Liwia i umierając zostawiła mu pięćdziesiąt milionów sestercji. Ponieważ jednak suma ta była tylko wyszczególniona w zapisie, jej syn Tyberiusz zredukował ją do pięciuset tysięcy. Nie wiadomo, czy jego nienawiść ograniczyłaby się do tego, stary cesarz znał bowiem przepowiednię wyroczeni, gdyby jego astrolog Trazyllus nie uspokoił go zapewnieniem, że Galba obejmie władzę, kiedy będzie już sędziwym starcem.

- Niech więc żyje! - rzekł Tyberiusz - bo tak odległy czas mnie nie obchodzi.

Tymczasem Tyberiusz umarł, Kaligula i Klaudiusz kolejno władali Rzymem, wreszcie cezarem został Neron. Galba liczył już sześćdziesiąt pięć lat i nic nie wskazywało, by miał dojść do najwyższej władzy. Następcy Tyberiusza, pamiętając o wieku starca, mogli przywiązywać większe znaczenie do tej przepowiedni, a przecież to Galba nosił zawsze, nawet gdy spał, sztylet zawieszony na łańcuchu u szyi i nigdy nie wychodził, nie mając przy sobie miliona sestercji w złocie na wypadek, gdyby musiał uciekać przed liktorami lub przekupić zabójców.

Gościli u Galby przez dwa dni. Wtedy właśnie Akte spostrzegła, że Lucjusz stał się ostrożny jak nigdy przedtem. Nie umiała sobie wytłumaczyć znaczenia i celu takiego postępowania. Żołnierze z jego eskorty przez całą noc czuwali w pokojach otaczających ich komnatę. Widziała też, że jej kochanek, idąc spać, kładł miecz pod poduszkę swego posłania. Nie miała odwagi wypytywać, ale przeczuwała, że grozi mu jakieś niebezpieczeństwo i każdego ranka ponaglała do wyjazdu. Trzeciego dnia opuścili wreszcie Fundi. Kontynuowali swój

triumfalny pochód przez miasta, zawsze wkraczając do nich przez wylom w murach, aż zbliżyli się do góry Albanus. Towarzyszący im orszak bardziej przypominał wojska satrapy niż swięto prostego zwycięzcy. Gdy stanęli na szczycie góry, Akte nie mogła powstrzymać okrzyku zachwytu. Na końcu Via Appia ujrzała Rzym w całej jego wielkości.

Oczom młodej Greczynki ukazał się najwspanialszy widok tego miasta. Nic też dziwnego, że Drogę Appijską nazywano królową dróg. Bez wątpienia była najpiękniejsza i najważniejsza ze wszystkich. Swój początek brała na brzegu Morza Tyrreńskiego i na długim swym odcinku biegła wzdłuż wybrzeża, potem przecinała Apeniny i Kalabrię, i dochodziła aż do Adriatyku. Na przestrzeni od Albano do Rzymu była miejscem publicznych przechadzek. Po obu jej stronach stały wspaniałe groby, bowiem starożytni wierzyli, że prawdziwy spoczynek czeka na nich po śmierci i budowali swe grobowce w miejscach najpiękniejszych i najbardziej uczęszczanych. Stał więc tu grobowiec Askaniusza, braci Horacjuszów, którzy zasłynęli swym męstwem, tu także spoczywali najwybitniejsi przedstawiciele rodu Cecyliuszów o przydomku Metelli, którzy za życia doszli do najwyższych stanowisk w państwie.

Tego dnia cała droga była zatłoczona ludźmi śpieszącymi na spotkanie Lucjusza. Jedni jechali w pięknych powozach ciągniętych przez hiszpańskie muły w purpurowych zaprzęgach, inni przybywali w lektykach niesionych przez niewolników ubranych we wspaniałe peleryny. Drogę torowali im specjaliści słudzy w krótkich szatach. Przed nimi jechali numidyjscy jeźdźcy, rozpychając tłoczącą się ciżbę, a wyprzedzały ich psy z obrożami nabijanymi srebrnymi ćwiekami.

Gdy tylko pierwsi z nadchodzących ujrzeli zwycięzcę, ich okrzyki, przekazywane coraz dalej, dosięgły murów miasta. Zaraz też na rozkaz galopującego jeźdźca tłumy ustawiły się po obu stronach szerokiej na trzydzieści sześć stóp drogi, zostawiając wolny jej środek, by mógł przejechać wóz triumfatora. W pewnej odległości od bramy oczekiwał na nich legion jazdy

liczący pięciuset ludzi. Gdy dojechali, oddział stanął na czele orszaku. Akte spostrzegła, że konie były podkute srebrnymi podkowami, które odpadały co chwila, a ludzie rzucali się pod kopyta rumaków i zbierali je, narażając się na stratowanie.

Wśród wiwatów pospólstwa wóz wtoczył się do miasta. Dziewczyna nie rozumiała powszechnego uniesienia, choć poddała się panującemu nastrojowi. Zawsze do imienia Lucjusza dodawano tytuł cezara. Wszędzie przejeżdżała pod triumfalnymi łukami, mijając ulice obsypane kwiatami i pełne dymu kadzideł. Wszędzie też zabijano ofiarne zwierzęta na ołtarzach domowych bogów. Razem z orszakiem przebyła najwspanialsze ulice i place. Minęli wielki cyrk, plac targowy i Forum Romanum. Wreszcie orszak wkroczył na Via Sacra, przebył Kapitel i zatrzymał się przed świątynią Jowisza.

Tutaj triumfator wysiadł z wozu i wszedł na schody prowadzące do świątyni. U wejścia oczekiwali go kapłani, którzy towarzyszyli mu do posągu bóstwa. Lucjusz złożył swoje trofea na kolanach Jowisza, wziął od wielkiego kapłana złotą tabliczkę i wyrył na niej następujący napis:

„Lucjusz-Domicjusz-Klaudiusz Neron, zwycięzca w zapasach, gonitwach i śpiewie, poświęcił te trzy korony Jowiszowi, najlepszemu i największemu z bogów.”

Wśród okrzyków triumfu, rozlegających się ze wszystkich stron, jeden przepełniony był trwogą. To Akte dowiedziała się, że ów rzekomo biedny śpiewak, któremu towarzyszyła jako kochanka, jest cezarem.

## VII

Mimo upojenia triumfem cesarz nie zapomniał o Akcie. Młoda Greczynka nie ochłonęła jeszcze z wrażenia, gdy zbliżyli się do niej dwaj liburnijscy niewolnicy i z całym szacunkiem wezwali w imieniu Nerona, by się z nimi udała. Usłuchała ich, choć nie wiedziała dokąd ją zaprowadzą. Nawet o to nie

pytała, tak bardzo przerażała ją myśl, że była kochanką człowieka, którego samo imię przejmowało ją trwogą.

U wejścia na Kapitel, między archiwum a świątynią Zgody, zobaczyła wspaniałą lektykę, umieszczoną na barkach sześciu egipskich niewolników. Na ich piersiach widniały duże koła ze srebrnej blachy, a nogi i ręce przyozdabiały szerokie srebrne bransolety. Przy lektyce siedziała Sabina, którą Akte straciła z oczu wśród powszechnej wrzawy. Greczynka wsiadła do lektyki, położyła się na jedwabnych poduszkach i udano się ku Palatynowi. Sabina szła przy lektyce i osłaniała swą panią wachlarzem z pawich piór, umocowanym na długiej trzcinie.

Przez pewien czas podążano Drogą Świętą, którą Akte przebyła już w świecie cezara, potem skręcono na prawo, między świątyniami Febusa<sup>6</sup> i Jowisza Statora, wstąpiono na kilka stopni wiodących na wzgórze Palatynu i nie dochodząc do wieńczącego górę tarasu skierowano się przez pagórek Saburański i Via Nova. W pobliżu fontanny lektyka zatrzymała się u progu małego, stojącego samotnie domu. Tutaj dwaj Liburnijczycy ustawili po obu stronach lektyki stopnie kryte purpurowym kobiercem, troszcząc się, by ta, którą cesarz przeznaczył im na panią, nie trudziła się nawet wskazywaniem, z której strony chce wysiąść.

Czekano tu na Akte i gdy tylko nadeszła, drzwi się otworzyły i zaraz zamknęły, choć nie było przy nich odźwiernego. Towarzysząca jej Sabina, przekonana, że po tak długiej i nużącej podróży jej pani zechce wziąć kąpiel, zaprowadziła ją do apodytorium, izby nazwanej tak od greckiego słowa oznaczającego rozbieranie. Ale Akte, która po ostatnich wydarzeniach nie przyszła jeszcze całkiem do siebie, wciąż rozmyślała, jak dziwnym zrządzeniem losu trafiła w objęcia pana świata. Usiadła na ławie otaczającej salę dokoła i dała Sabinie znak, by poczekała chwilę. Chciała jeszcze raz rozpatrzeć swoje położenie, lecz ledwie zdołała zebrać myśli, gdy usłyszała cichą i łagodną

---

<sup>6</sup> Febus - przydomek Apollina.

muzykę wypełniającą całą izbę. Widocznie Neron zauważył podczas podróży, jak bardzo młoda Greczynka była na to wrażliwa i zadbał, by rozproszyć jej smutek i tęsknotę.

Rzeczywiście, już po pierwszych tonach Akte uniosła głowę, a łzy przestały płynąć po jej twarzy. Policzki dziewczyny, dotąd blade, zaróżowiły się, a usta lekko rozchyliły, jak do uśmiechu lub pocałunku.

Tym razem nie powstrzymywała niewolnicy, nawet sama jej pomagała. Szybko zrzuciła z siebie szaty i stanęła naga. Teraz widać było jej doskonale kształty i nawet niewolnica patrzyła zachwycona taką urodą. Akte wsparła się na jej ramieniu, chcąc przejść do drugiej komnaty, i wtedy spostrzegła, że Sabina jest dziwnie zmieszana. Lecz dziewczyna opanowała się szybko, ujęła rękę swej pani i spieszenie weszła do tepidarium.

Była to obszerna, czworoboczna izba, której cały środek wypełniony był ciepłą wodą, tworząc małe jezioro. W wodzie bawiły się wesoło młode niewolnice. W wiankach z grzybieni, traw i narcyzów przypominały najady<sup>7</sup>. Gdy spostrzegły Akte, popchnęły ku niej wielką muszlę z kości słoniowej, wysadzaną koralami i perłową macicą. Młoda Greczynka patrzyła na wszystko, co działo się wokół niej, jak na przewijające się w sennym marzeniu pasmo obrazów. Weszła do owej wątej łodzi i, jak Wenus otoczona morskim orszakiem, popłynęła na środek. Znowu usłyszała muzykę, którą niedawno podziwiała. Dołączyły teraz do niej głosy dziewcząt, które śpiewały pieśń o Hylasie, czerpiącym wodę na brzegach Troady. I tak jak nimfy wabiły tego ulubieńca Herkulesa, tak niewolnice zapraszały Akte do swego grona. Młoda Greczynka była przyzwyczajona do zabaw w wodzie. Często ze swymi towarzyszkami przepływała wpław Zatokę Koryncką. Teraz też bez obawy weszła do ciepłej i wonnej kąpieli.

Wszystkie dziewczęta były piękne i zgrabne, jakby je starannie dobierano. Niektóre przywieziono z gór Kaukazu, inne pochodziły z Galii, Indii, Hiszpanii.

---

<sup>7</sup> Najady - nimfy źródeł i rzek.

Jednak Akte wyglądała wśród nich jak bogini.

Gdy nacieszyła się już kąpielą i trochę ochłonęła, spostrzegła, że w ich gronie nie ma Sabiny. Rozejrzała się wokół i zobaczyła ją, siedzącą z dala od wody, z głową przykrytą połą płaszcza. Rozweselona Akte zawołała ją do siebie. Sabina niechętnie odrzuciła płaszcz. Teraz wszystkie niewolnice, wymieniając między sobą zagadkowe uśmiešky, których znaczenia Greczynka nie rozumiała, wołały żartobliwie, by Sabina przyłączyła się do nich. Przez chwilę zdawało się, że dziewczyna usłucha wezwania. Ale była jakaś nieswoja. Oczy miała pełne łez, a na policzkach mocne rumieńce. Zamiast ulec namowom, jak tego pragnęła, pobięła ku drzwiom, by się za nimi schronić.

W tej chwili Akte wybieęła z wody i przecięła jej drogę.

Sabina była bliska omdlenia. Nogi uginały się pod nią, zimny pot wystąpił jej na czoło. Zbladła nagle tak bardzo, że Akte bojąc się, by nie upadła, podtrzymała ją, przytulając do siebie. Natychmiast ją jednak odepchnęła z okrzykiem bólu. W przystępie jakiegoś szału Sabina ugryzła ją mocno w ramię i, przerażona tym co zrobiła, szybko wybieęła z komnaty.

Na krzyk Akte niewolnice skupiły się wokół niej, lecz ona, nie chcąc, by Sabina została ukarana, uśmiechnęła się przez łzy i starła krew, która wąską strużką spływała po jej piersi. Zbagatelizowała zajście, choć była bardzo zdziwiona i zaskoczona. Zaraz też przeszła do sąsiedniej izby, zwanej caldarium, przeznaczonej do kąpieli parowej.

Była to mała, okrągła sala ze stopniami wznoszącymi się amfiteatralnie i wąskimi niszami, w których znajdowały się siedzenia. Na środku stało wielkie naczynie z wrzącą wodą, wypełniając całe pomieszczenie gęstą parą. Izba była dodatkowo ogrzewana z zewnątrz, a rury przewodzące ciepło oplatały jej ściany jak bluszcz pnący się po murze.

Gdy Akte, nie przyzwyczajona do takich kąpieli, które były znane i stosowane tylko w Rzymie, weszła do środka, masy gorącej pary buchnęły na nią tak, że nie mogła złapać oddechu. Czując, że się dusi, usiłowała prosić o

ratunek, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. Jęknęła tylko i rzuciła ku drzwiom, lecz zatrzymały ją niewolnice. Upadła, dając rozpaczliwe znaki. Widząc to jedna z kobiet szybko pociągnęła za łańcuch i odsunęła złotą tarczę zasłaniającą otwór w suficie, wpuszczając strumień świeżego powietrza.

Akte poczuła, jak jej płuca rozszerzają się uwolnione z duszącego uścisku, przy tym ogarnęło ją osłabienie. Pozwoliła posadzić się na stołku. Stopniowo przyzwyczaiła się do panującego tu gorąca, czując, że krew silniej krąży w jej żyłach. Po chwili para znowu tak się ogrzała i zgęstniała, że musiano ponownie podnieść złotą tarczę.

Kolejny strumień powietrza wywołał u wszystkich tak błogie obezwładnienie, że młoda Greczynka zrozumiała upodobanie Rzymian do tego rodzaju kąpieli, która tylko na początku sprawiała przykrość. Para ogrzała się raz jeszcze, lecz nie uchylono już tarczy. Gdy Akte poczuła, że robi jej się słabo, podeszły do niej dwie kobiety, owinęły ją szkarłatnym płaszczem z cienkiej wełny i wyniosły do izby o zwyczajnej temperaturze.

Tu poddano ją równie dziwnym, choć nie tak nieprzyjemnym zabiegom. Polegały one na masowaniu ciała i naciąganiu stawów. Przynosiły taką ulgę, że mieszkańcy Wschodu przejęli te zwyczaje od Rzymian i zachowali do dziś. Dwie niewolnice, biegłe w tej czynności, masowały Akte i ugniatały wszystkie mięśnie tak długo, aż całe ciało dziewczyny rozluźniło się. Potem zaczęły naciągać stawy. Robiły to bardzo zręcznie. Ciągnęły mocno, aż słychać było cichy trzask, lecz nie sprawiały przy tym żadnego bólu. Następnie wzięły małe naczynie napełnione oliwą i wonnymi esencjami, natarły nią całe jej ciało i wycierały najpierw cienką wełną, potem delikatną tkaniną egipską, wreszcie łabędzimi skórkami, na których pozostał sam puch.

Przez cały czas Akte leżała z przymkniętymi oczami, odprężona, w błogim półśnie. Oddychała lekko, czując jak z każdą chwilą powracają jej siły. Zatarły się wszystkie wspomnienia, ustąpił niepokój i ogarnęła ją wiara, że wszystko ułoży się szczęśliwie.

Trwała tak w półuśpieniu oddana marzeniom, kiedy dobiegło ją skrzypnięcie drzwi izby, w której leżała. Nie odwróciła jednak głowy, sądząc, że wchodziła jedna z niewolnic. Nadal odpoczywała z przymkniętymi oczyma, choć słyszała zbliżające się powolne i miarowe kroki. Wreszcie z wysiłkiem odwróciła głowę i wtedy spostrzegła idącą ku niej z majestatyczną powagą niewiastę ubraną w długą, powłóczystą szatę. Kobieta zatrzymała się przy jej łożu i utkwiała w Akcie głębokie, badawcze spojrzenie, podobne do wzroku wróżbity, przed którym nie da się niczego zataić. Przez dłuższą chwilę przyglądała się w milczeniu Greczynce, potem głosem cichym, a przy tym dźwięcznym i władczym spytała:

- To ty jesteś ową Koryntianką, która opuściła ojczyznę i ojca, by towarzyszyć cesarowi?

Całe życie Akte, szczęście i rozpacz, przeszłość i przyszłość przywołały nagle te cierpkie słowa. Dziewczyna znowu pograżyła się we wspomnieniach. Obraz szczęśliwych dni, kiedy zbierała kwiaty niedaleko źródła Pyreny; rozpacz starego ojca, gdy po zakończeniu igrzysk na próżno wołał ją do siebie; przybycie do Rzymu, gdzie tak niespodziewanie dowiedziała się, kim naprawdę jest jej kochanek, o tym wszystkim przypomniawszy jej ta nieznajoma kobieta. Akte ukryła twarz w dłoniach i zawołała:

- Tak, tak, ja jestem tą nieszczęśliwą!...

Po jej odpowiedzi zapanowało milczenie. Akte nie śmiała podnieść głowy, czując na sobie surowy i dumny wzrok owej kobiety. Po chwili nieznajoma ujęła jej rękę, Akte zaś, upatrując w tym geście, choć zimnym i szorstkim, więcej litości niż groźby, ośmieliła się spojrzeć na nieznajomą. Kobieta nadal przyglądała się jej z uwagą.

- Słuchaj - rzekła wreszcie nieco łagodniej - przeznaczenie kroczy często dziwnymi drogami i różnych pośredników używa do swych celów. Nieraz w ręce dziecka składa szczęście lub niedolę mocarstwa. Kto wie, może jesteś posłanką łaski bogów, a nie narzędziem ich gniewu...

- Zgrzeszyłam - zawołała Akte - ale zgrzeszyłam tylko miłością; nie ma w

mym sercu złych uczuć! Teraz, gdy sama nie mogę być szczęśliwa, chciałabym przynajmniej widzieć szczęście innych... Ale jestem osamotniona, bezsilna i słaba. Powiedz mi, co mam robić!

- Przede wszystkim, czy znasz tego, któremu powierzyłaś swój los?

- Dziś dopiero dowiedziałam się, że Lucjusz i Neron to jedna osoba, że mój kochanek jest cezarem. Ujęły mnie uroda i talent. Podążyłam za zwycięzcą igrzysk nie wiedząc, że jest panem świata!...

- Zatem już wiesz - rzekła powoli i dobitnie nieznajoma - że to Neron. Ale czy wiesz, kim jest Neron?

- Uważałam go za boga - odparła Akte.

- Powiem ci - rzekła nieznajoma siadając - kim on jest, trzeba bowiem, by kochanka знаła tego, którego kocha, a niewolnica swojego pana.

- Słucham cię, pani - szepnęła Akte.

- Lucjusz urodził się z dala od tronu, zbliżył się do niego dzięki powinowactwu, a zasiadł na nim przez zbrodnię.

- Nie on ją popełnił! - zawołała Akte.

- Lecz z niej skorzystał - odparła zimno nieznajoma. - Zresztą burza, która obaliła drzewo, uszanowała latorośl. Szybko jednak syn poszedł za ojcem: Brytannikus spoczął przy Klaudiuszu, a tym razem mordercą był sam Neron.

- Kto śmie tak mówić? - zawołała Akte - Kto może go oskarżać o tak okropną zbrodnię?!

- Wątpisz w to dziewczyno? - mówiła dalej nieznajoma. - Jeśli chcesz wiedzieć, w jaki sposób dokonano tej zbrodni, opowiem ci.

Pewnego dnia Neron bawił się z rówieśnikami, między którymi był Brytannik. W sąsiedniej izbie przebywali dworzanie Agrypiny. Neron rozkazał przyrodniemu bratu, by udał się do sali biesiadnej i coś zaśpiewał, sądząc, że to dziecko jeszcze nie odważy się tego uczynić i wystawi się na pośmiewisko swych dworzan. Chłopiec był posłuszny; wszedł w białej szacie do triclinium, gdzie odbywała się uczta, blady i smutny stanął między biesiadnikami i głosem

pełnym wzruszenia, ze łzami w oczach, zaśpiewał wiersze, które Enniusz, jeden z naszych wybitnych poetów, przypisał Astyanaksowi:

„O mój ojczy! o domu Priama! wspaniały pałacu! świątyni kolumno o kapitelach, jaśniejących złotem i kością słoniową!... Jam widział, jak padałaś pod dłonią barbarzyńców! jak się stałaś łupem płomieni!”

Zamarł śmiech na ustach biesiadników. Ten bolesny wyrzut zaczerpnięty ze starej poezji był policzkiem dla nich, ich rozpusty i wyuzdania. Los Brytannika był już przesądzony.

W rzymskim więzieniu przebywała kobieta, znana ze swych trucizn i licznych zbrodni. Neron wezwał do siebie trybuna Polliona Juliusza, któremu podlegało więziennictwo, sam bowiem nie śmiał jeszcze z nią mówić. Następnego dnia Pollio Juliusz przyniósł mu truciznę. Nauczyciele Brytannika sami włąli truciznę do jego czary, ale z obawy, czy z litości, cofnęli się przed morderstwem. Napój nie był śmiertelny. Wówczas Neron-cesarz, ów Neron-bóg jak go przed chwilą nazwałaś, wezwał trucicieli do swego pałacu, do swej komnaty, przed ołtarz bogów opiekuńczych domowego ogniska i tam kazał sporządzić nowy napój. Najpierw wypróbowano go na koźle. Zwierzę żyło jeszcze pięć godzin, a przez ten czas wzmacniano truciznę. Potem dano ją dzikowi, który padł natychmiast!... Neron udał się do kąpieli, namaścił wonnościami, ubrał białą szatę i uśmiechnięty zasiadł do jednego stołu z Brytannikiem.

- Jeżeli jednak - przerwała Akte - Brytannik rzeczywiście został otruty, dlaczego nie umarł także niewolnik, kosztujący napoje i dania? Podobno Brytannik cierpiał na jakąś chorobę, może dlatego nie żyje...

- Tak właśnie mówi Neron... i w tym przejawia się jego niezwykła przewrotność. To prawda, że wszystkie napoje i potrawy, które spożywał Brytannik, były najpierw próbowane. Dano mu jednak napój tak gorący, że mógł go skosztować niewolnik, ale nie mogło wypić dziecko. Wówczas do czary dolano zimnej wody, w której była rozpuszczona trucizna. Musiało jej być

dużo, skoro Brytannik, bez krzyku, bez żadnej skargi zamknął oczy i upadł. Kilku mniej roztropnych biesiadników uciekło!... Najprzezorniejsi jednak zostali, bladzi i drżący, domyślali się bowiem prawdy. Neron zaś, który wtedy właśnie śpiewał, przechylił się na łożu, przyjrzał Brytannikowi i rzekł:

- To nic, za chwilę przyjdzie do siebie!

I dalej śpiewał rozpoczętą pieśń.

A przecież sam wszystko przygotował wcześniej do pogrzebu. Na Polu Marsowym stał już nawet stos. Tej samej nocy zanesiono tam trupa, na którego ciele wystąpiły fioletowe plamy. To była straszna noc. Trzykrotnie ulewny deszcz gasił ogień, jakby w ten sposób bogowie wyrażali swoje oburzenie ową zbrodnią bratobójstwa. Neron kazał wtedy powlec ciało zmarłego żywicą i smołą. Gdy po raz czwarty rozpalono stos, płomienie buchnęły nagle wysoko ku niebu, unosząc tam gniewnego ducha Brytannika.

- Ale Burrus! i Seneka!... - zawołała Akte.

- Burrus, Seneka!... - powtórzyła z goryczą nieznajoma - Zatkano im usta srebrem i złotem, więc milczeli!... - Od tego dnia - mówiła dalej niewiasta, dobrze znająca wszelkie tajemnice dworu cezara - od tego dnia Neron, ów szlachetny syn Ahenobarbusów, stał się godnym potomkiem tego plemienia Miedzianobrodych, o obliczu z żelaza i sercu z ołowiu. Opuścił Oktawię, której winien był tron i wygnał ją do Kampanii, gdzie z jego rozkazu jest pilnie strzeżona. Otoczył się woźnicami, aktorami i nierządnicami, zaczął wieść rozpustne życie, co od dwóch lat przejmuje Rzym trwogą i zgrozą.

Twój kochanek bowiem, ów piękny, olimpijski zwycięzca, ten, którego świat nazywa cezarem, a dworzanie czczą jak boga - gdy nadchodzi noc, opuszcza swój pałac w przebraniu niewolnika i z głową przykrytą czapką wyzwolenca podąża bądź na Mulvius pons, bądź do jakiegoś szynku w dzielnicy Subura.

Tam otoczony gawiedzią, przy dźwiękach cymbałów kapłana Kybele albo aulusa ladaczniczy, znieważa kobiety, bije przechodniów na ulicach, rabuje domy i dopiero o świcie wraca do Złotego Pałacu, często ze śladami od kijów lub

pięści.

- To niemożliwe - zawołała Akte - spotwarzasz go...
- Mylisz się, dziewczyno, mówię zaledwie część prawdy.
- Nie lękasz się kary za wyjawienie podobnych tajemnic?
- Być może narażam się na zemstę, ale jestem na to przygotowana.
- Jak to... narażasz się świadomie, dobrowolnie?
- Bo tylko ja jedna nie mogę jej uniknąć...
- Kim więc jesteś?
- Jego matką!...

- Agrypina! - wykrzyknęła Akte, zrywając się z łoża i padając na kolana - Agrypina! Córka Germanika!... Siostra i matka cesarów!... Czego chcesz ode mnie? Mów, rozkazuj, będę ci posłuszna, jeżeli tylko nie zamierzasz żądać, bym go przestała kochać... Niezależnie od tego, co mi powiedziałaś, Kocham go i będę kochać zawsze. Jeżeli jednak nie będę mogła posłuchać cię, przynajmniej umrę.

- Przeciwnie, moje dziecko - Kochaj nadal cezara tą miłością szczerą bez miary, jaką czułaś dla Lucjusza. W tym bowiem cała moja nadzieja, że czystość twego uczucia zdoła może zwyciężyć zepsucie tej drugiej.

- Drugiej! - powtórzyła dziewczyna z lękiem. - Cezar kocha drugą?
- Nie wiesz o tym?

- Jakże mogę wiedzieć! Gdy szłam za Lucjuszem, nie obchodził mnie cesar. Pokochałam prostego artystę i powierzyłam mu swoje życie, sądząc, że odpłaci mi równie szczerym uczuciem. Kim jest ta kobieta?...

- Córka, która zaparła się ojca, żona zdradzająca męża!... Niestety, piękna kobieta, której bogowie nie odmówili niczego prócz serca. To Sabina Poppea.

- Teraz przypominam sobie to imię. Słyszałam tę wstrętną historię, nie wiedziałam tylko, że będzie niejako i mnie dotyczyła. Podśluchałam jak mój ojciec opowiadał ją drugiemu starcowi i obaj rumienili się ze wstydu!... Ta kobieta opuściła Krispinusa, swego małżonka, dla Otona?... Prawda? A ten

sprzedał ją podczas uczty, w zamian za rządy w Luzytanii?

- Nie mylisz się - potwierdziła Agrypina.

- I on ją kocha!... Wciąż kocha!

- Tak - odpowiedziała Agrypina z nienawiścią - kocha ją, kocha wciąż. Tkwi w tym jakaś tajemnica, jakiś napój miłosny, czary. Coś takiego, jak to, czym Cezonia raczyła Kaligulę!...

- Sprawiedliwi bogowie - zawołała Akte - czy nie dość jestem już ukarana, nie dość nieszczęśliwa?...

- Mniejsze jest twoje nieszczęście i mniejsza kara niż moja - rzekła Agrypina

- bo ty mogłaś odrzucić jego miłość, ja zaś z woli bogów jestem jego matką.

Czy wiesz już, co wypada ci zrobić?

- Oddalić się od niego, nie oglądać go więcej...

- Strzeż się tego, moje dziecko. Mówią, że on cię kocha.

- Mówią tak? Czy to prawda? Wierzysz temu?

- Wierzę.

- O! Bądź błogosławiona!

- Zastanów się, trzeba nadać cel twojej miłości. Należy oddalić od niego tego wysłańca piekieł, który prowadził go do zguby. Może w ten sposób ocalisz Rzym, cezara i mnie.

- Ciebie! Sądziś więc, że śmiałyby...

- Neron odważy się na wszystko...

- Lecz czy zdołam temu podołać!...

- Może właśnie ty, jedyna z kobiet, tak czysta i szczerą, sprostasz temu.

- Nie, nie! Lepiej będzie, gdy odjadę!... gdy go już nigdy nie zobaczę!

- Boski cesarz pragnie widzieć Akte - usłyszały łagodny głos młodego niewolnika, który właśnie otworzył drzwi.

- Sporus! - zdziwiła się Akte.

- Sporus! - powtórzyła Agrypina, okrywając głowę stola<sup>8</sup>.

---

<sup>8</sup> Stola - wierzchnie okrycie matron rzymskich, narzucane zazwyczaj na tunikę.

- Cezar czeka - powtórzył niewolnik po chwili milczenia.
- Spiesz się! - odezwała się Agrypina.
- Idę... szepnęła Akte.

## VIII

Akte, okryta zasłoną i płaszczem, udała się za Sporusem.

Po przejściu licznych części pałacu, których młoda Greczynka jeszcze nie знаła, jej przewodnik otworzył jedne z drzwi złotym kluczem, który następnie oddał dziewczynie, by mogła sama wrócić.

Znaleźli się w ogrodach „Złotego Domu”. Akte wydało się, że jest gdzieś za miastem, tak były rozległe i wspaniałe. Przez gęstwinę przeświecała wielka tafla wody, podobna do jeziora, a za nią, w niebieskavo-srebrnym świetle księżyca rysowały się wyraźnie kolumnady pałacu. Powietrze było czyste, żaden obłok nie plamił wieczornego nieba. Jezioro wyglądało jak wielkie zwierciadło, a ostatnie odgłosy Rzymu, bliskiego uśpienia, cichły w oddali. Sporus i dziewczyna, oboje w białych szatach, przypominali dwa cienie błakające się po Elizejskich Polach.

Na brzegu jeziora, na przestronnych łąkach opasujących lasy, pasły się stada dzikich gazeli, a na sztucznych ruinach, przypominających dziewczynie jej starożytną ojczyznę, duże białe ptaki o czerwonych skrzydłach stały nieruchomo i poważnie, jakby na czatach, od czasu do czasu wydając chrapliwy i monotony krzyk.

Gdy doszli do brzegu Sporus wszedł do przycumowanej tam łódki i dał znak Akte, by usiadła obok. Rozwinął mały, purpurowy żagiel i zaczęli płynąć gnani lekkim wiatrem po powierzchni wody, w której gdzieniegdzie iskrzyły się złote łuski najrzadszych ryb. Ta nocna żegluga przypominała Akte jej podróż po Morzu Jońskim. Wtedy, przyglądając się niewolnicy, dziwiła się niezwykłemu podobieństwu między bratem i siostrą, teraz myślała o tym samym patrząc na Sporusa. Chłopiec wyraźnie unikał jej spojrzenia i w milczeniu sterował łódką.

Kiedy Akte odezwała się do niego, wyraźnie drgnął na dźwięk jej głosu.

- Sabina powiedziała mi, że zostałeś w Koryncie. Dlaczego skłamała?

- Mówiła prawdę - odparł Sporus. - Nie mogłem być długo z dala od Lucjusza. Udałem się w drogę na okręcie odpływającym do Kalabrii, a kiedy zamiast płynąć przez Cieśninę Mesyńską zawinęliśmy do Brundizjum<sup>9</sup>, podążyłem drogą Appijską. W ten sposób znalazłem się w Rzymie razem z cezarem, mimo że wyjechałem dwa dni później.

- Z pewnością wielka była radość Sabiny, bo chyba kochacie się bardzo?

- Nie mylisz się - potwierdził Sporus - bowiem nie tylko jesteśmy rodzeństwem, ale nawet bliźniętami.

- Powiedz Sabinie, żeby przyszła do mnie jutro rano.

- Nie ma jej już w Rzymie.

- Dlaczego?

- Taka była wola boskiego cezara.

- Dokąd pojechała?

- Nie wiem.

W głosie niewolnika, mimo że odpowiadał z szacunkiem, wyczuwało się wahanie i niepewność, Akte musiała więc zaniechać dalszych pytań. Zresztą przybili już do brzegu i gdy tylko Akte wysiadła, Sporus wyciągnął łódź i oboje ruszyli w dalszą drogę.

Młoda Greczynka szła szybko i w milczeniu. Przechodzili przez las sosen i sykomorów. Drzewa rosły gęsto, droga była ciemna i dlatego chciała być blisko niego, chociaż wiedziała, że w razie niebezpieczeństwa nie może raczej liczyć na pomoc z jego strony. Było ponuro i strasznie, a w dodatku słychać było jakieś żalose głośnie, dobiegające jakby z wnętrza ziemi. Wkrótce też całkiem wyraźnie można było rozróżnić jęki ludzi.

Dziewczyna przestraszyła się i opierając rękę na ramieniu Sporusa zapytała:

- Co to znaczy?

---

<sup>9</sup> Brundizjum - teraz Brindisi.

- To nic - odparł lekceważąco niewolnik.
- Zdaje mi się jednak, że słyszałam...
- Jęki. Rzeczywiście, przechodzimy blisko więzień.
- Kim są ci więźniowie?
- To chrześcijanie przeznaczeni do cyrku.

Akte jeszcze przyspieszyła kroku. Mijali kratę podziemi więziennych, gdy znów usłyszała tak przejmujący jęk, że wstrząsnęło nią to do głębi. Do tej pory przedstawiano jej chrześcijan jako sektę występłą i bezbożną, hołdującą wyuzdanej rozpuście i najohydniejszym zbrodniom. Teraz jednak w jej sercu obudziło się współczucie, jakie nawet najwięksi przestępcy, skazani na okrutną śmierć, wywołują w sercach innych. Chciała jak najprędzej wyjść z tego ponurego lasu. Kiedy już stanęła na jego skraju, ujrzała wspaniale oświetlony pałac i usłyszała dźwięki muzyki. Światło i harmonijne tony melodii dodały jej otuchy. Pewniejszym krokiem, choć wolniej, weszła do przedsionka.

Tu przystanąła, olśniona otaczającym ją przepychem. Nigdy nie marzyła o podobnych wspaniałościach. Pomieszczenie wprost oślepiało blaskiem kości słoniowej i złota. Było przy tym ogromne. Otaczał je potrójny rząd kolumn, tworząc portyki o tysiącach kroków długości, a tak wysokie, że pośrodku mieścił się posąg, mierzący sto dwadzieścia stóp. Było to dzieło Zenodora przedstawiające cezara jako boga. Akte przeszła z lękiem obok tego posągu. Jakże potężna i straszna była władza tego człowieka, który kazał rzeźbić swoje wizerunki trzykrotnie większe niż Jowisza Olimpijskiego; który dla swych przechadzek miał ogrody przypominające lasy, a dla rozrywki tysiące więźniów rzucał lwom i tygrysom na pożarcie.

Z prawdziwym przerażeniem Akte weszła po schodach wiodących do komnat Lucjusza. Jej obawa rosła z każdym krokiem i gdy spostrzegła, iż Sporus wyjmuje klucz, by otworzyć ostatnie drzwi, przystanąła, wsparła rękę na jego ramieniu i usiłowała uciszyć gwałtowne bicie serca. Po dłuższej chwili dopiero zdołała się uspokoić i dała znak Sporusowi, by otworzył drzwi. Akte

weszła do komnaty i zobaczyła Lucjusza w prostej, białej tunice, w wianku oliwnym na głowie, na wół leżącego na łożu. Na jego widok twarz jej się rozpodziła i znikły dręczące ją obawy. Bała się cezara, pana świata, ale w tej chwili miała przed sobą Lucjusza, pięknego złotobrodego mężczyznę, którego przyprowadziła do domu swojego ojca. Odzyskała olimpijskiego zwycięzcę, zapomniała o cesarzu. Chciała podbiec, lecz w pół drogi opuściły ją siły. Przyklękła na jedno kolano i tylko wyszeptwała:

- Lucjusz... zawsze Lucjusz... prawda?...

- Tak, moja piękna, bądź spokojna! - powiedział łagodnie cesarz, dając znak, by się zbliżyła. - Zawsze Lucjusz! Prawda, że pokochałaś mnie samego, a nie wielkość i władzę, jak te, które mnie tu otaczają? Zbliź się! Wstań! Świat leży u moich nóg, lecz ty będziesz w moich objęciach!

- Wiedziałam o tym! - zawołała Akte - Byłam pewna, że kłamią wszyscy ci, co twierdzą, że mój Lucjusz jest okrutny!

- Okrutny - powtórzył Lucjusz. - Kto ci to powiedział?...

- Przebacz - podchwyciła Akte - mówią tak, bo nie rozumieją, że lew, pan zwierząt, równie szlachetny i nieustraszony jak ty, pan ludzi, jest okrutny, ponieważ nie zna swej siły i zabija, gdy chce tylko pogłaskać. O mój lwie! Bądź ostrożny...

- Nie lękaj się, Akte - odparł cesarz z uśmiechem - lew ma pazury i zęby tylko na tych, którzy ośmielają się stawać na jego drodze... Patrz, u twoich stóp kładzie się pokorny jak baranek!

- Ja też nie Lucjusza się lękam. Dla mnie jest moim gościem, kochankiem, który zabrał mnie z domu i wywiózł z ojczyzny, by odpłacić miłością za miłość... Ale obawiam się...

Przerwała, bojąc się wyjawic to, o czym myślała, ale zachęcona i ośmielona przez niego, dokończyła:

- Obawiam się cezara, który wygnał Oktawię... Nerona, przyszłego męża Poppei!...

- Widziałaś moją matkę! - Lucjusz zerwał się gwałtownie i patrząc na nią uważnie, powtórzył. - Widziałaś moją matkę?!

- Tak - wyszeptała.

- Tak - powiedział po chwili z goryczą - widziałaś ją i to ona powiedziała ci, że jestem okrutny, prawda? Że duszę w uścisku? Że tylko w gniewie przypominam Jowisza? Ona omamiła cię bajką o Oktawii, którą proteguje, a którą ja nienawidzę. Sama mi ją narzuciła, a ja z trudem zdołałem ją odepchnąć!... Jakże mylą się ci, którzy sądzą, że cokolwiek można na mnie wymóc przymusem lub groźbą. Chciałem zapomnieć o tej kobiecie, ostatniej z przeklętego rodu! Niech więc mi o niej nie przypominają!...

Spostrzegł, że jego słowa przeraziły dziewczynę. Pobladła, oczy jej zaszyły łzami, trzęsła się ze strachu. Pierwszy raz widziała swojego kochanka w tak wielkim gniewie.

Jego głos, cichy i łagodny, poruszał dotąd najskrytsze jej uczucia. W tej chwili brzmiał złowieszczo i strasznie, a oczy, w których dotąd widziała tylko miłość, patrzyły zimno i groźnie. Przed takim spojrzeniem truchleli w Rzymie wszyscy.

- O mój ojczy! - zawołała, z płaczem - Ojczy, przebac, mi!...

- Rozumiem! - podchwycił Neron - Agrypina powiedziała ci, że za swą szczerą miłość zostałaś ukarana moim uczuciem. Przekonała cię, że pokochałaś dzikie i okrutne zwierzę, opowiadając ci o śmierci Brytannika! Śmierci Juliusza Montanyusa! Sam nie wiem, o czym jeszcze. Ale nie powiedziała ci, że jeden z nich chciał pozbawić mnie władzy, a drugi uderzył po twarzy kijem. Rozumiem: życie mojej matki jest bez skazy, szlachetne i cnotliwe!...

- Lucjuszu! Lucjuszu! - przerwała mu Akte - Zamilcz! W imię bogów, zamilcz!

- Ponieważ jednak wyjawiała ci tylko część tajemnic naszej rodziny, posłuchaj reszty - mówił dalej cesarz, nie zważając na prośby dziewczyny. - Kobieta, która obarcza mnie winą za śmierć dziecka i nędznika, została

wygnana za swą rozpustę przez Kaligulę, własnego brata, nie odznaczającego się przecież surowością obyczajów. Powróciła z wygnania, gdy władzę objął Klaudiusz. Zaślubiła wtedy Crispusa, patrycjusza ze znakomitego rodu. Gdy ten był tak nierozsądny, że zapisał jej cały swój majątek, kazała go zamordować, ponieważ uważała, że może żyć zbyt długo. Wówczas rozpoczęła walkę z Messaliną. Messalina upadła. Nagrodą był Klaudiusz, Agrypina została jego kochanką. Teraz postanowiła panować w moim imieniu. Oktawia, córka cezara, była zaręczona z Sylanusem. Agrypina porywa go ze stopni ołtarza i przedstawia fałszywych świadków, którzy oskarżają go o zbrodnię. Sylanus popełnia samobójstwo. Oktawia zostaje wdową. Popychają ją w moje objęcia i zmuszają mnie do poślubienia jej, choć kochałem kogo innego. Wkrótce potem pewna kobieta usiłuje odbić jej kochanka. Świadkowie, którzy oskarżyli Sylanusa o zbrodnię, teraz oskarżają o czary Lollię Paulinę. Lollia Paulina, która swego czasu uchodziła za najpiękniejszą kobietę, którą Kaligula uroczyście zaślubił i ukazywał Rzymianom w ozdobach ze szmaragdów i pereł wartych czterdzieści milionów sestercji - ta Paulina umiera powoli na torturach. Agrypiny nic już nie dzieli od tronu. Poślubia własnego stryja. Zostałem adoptowany przez Klaudiusza, a senat mianował Agrypinę Augustą.

- To nie wszystko - mówił dalej Neron, chwytając ręce Akte, która usiłowała zatkać sobie uszy, by nie słyszeć, jak syn oskarża własną matkę. - Pewnego dnia Klaudiusz skazał na śmierć cudzołożnicę. Wyrok ten przejął trwogą Agrypinę i Pallasę. Gdy następnego dnia cesarz ucztował z kapłanami w Capitolium, jego niewolnik, Halotus, postawił przed nim półmisek grzybów, zaprawionych przez Lokustę. Okazało się jednak, że dawka trucizny była za słaba i Klaudiusz tylko się rozchorował. Gdy leżąc na łożu walczył ze śmiercią, jego lekarz Ksenofon, rzekomo dla ulżenia jego mękom, wsadził mu do gardła zatrute pióro. W ten oto sposób Agrypina owdowiała po raz trzeci. Lecz pewnie te swoje szlachetne uczynki pominęła milczeniem. Prawda? Opowiedziała ci tylko o tym jak wyniosła mnie do władzy sądząc, że sama będzie sprawować rządy w moim

imieniu, podczas gdy ja będę jedynie jej cieniem. I rzeczywiście. Odtąd miała straż pretoriańską, przewodniczyła w Senacie, wydawała wyroki. To ona skazała na śmierć wyzwolenca Narcyssa, ona kazała otruć prokonsula Juliusza Sylana. Gdy pewnego dnia uskarżałem się, że zupełnie odsuwa mnie od władzy, oświadczyła, że jak na przybłądę i tak mam jej zbyt wiele. Jestem przecież tylko dzieckiem adoptowanym. Na szczęście ona i bogowie zachowali życie Brytannika!... Przysięgam ci, że gdy mi to mówiła, nie myślałem wcale o tym dziecku, tak jak dziś daleka była mi myśl o Oktawii. Właśnie ta pogroźka, a nie trucizna, przesądziła o jego losie.

- Zamilcz! Zamilcz! - powtórzyła przerażona Akte.

- Czy nasz ród nie jest dziwny? - ciągnął szyderczo Neron, jakby naigrawając się z jej strachu. - Dziwny ród... Pewnie dlatego uznają nas za bogów i sądzą, że byłoby niewłaściwe uważać nas za zwykłych ludzi. Mój wuj udusił swego opiekuna poduszką, gdy ten spał, a swego teścia podczas kąpieli. Mój ojciec, na Forum, laską wyłupił patrycjuszowi oko, na drodze Appijskiej zgruchotał pod kołami wozu młodego Rzymianina, który nie dość szybko ustąpił mu z drogi; a raz, przy stole, przy młodym cesarzu, któremu towarzyszył na Wschód, zamordował nożem do krajania potraw swego wyzwolenca za to, że nie chciał pić. Już ci mówiłem, co zrobiła moja matka: zabiła Passiena, Sylanusa, zabiła Lollię Paulinę i Klaudiusza. Ja zaś, ostatni z mego rodu, gdybym był tylko cesarem, a nie także kochającym synem, zabiłbym swoją matkę!...

Akte aż krzyknęła i padła na kolana, wyciągając ku niemu ręce.

- Co robisz? - rzekł Neron z dziwnym uśmiechem. - Bierzesz żart za prawdę? Tak, żart. Tych kilka wierszy zostało w mej pamięci z „Orestesa”, którego dzieje opiewałem niedawno, a teraz mi się przypomniały i zmieszały z prozą. Uspokój się, przestań być dzieckiem. Czy przyszedł tu, by się modlić? Czy sprowadziłem cię po to, byś wycierała sobie kolana i wykręcała ręce w błagalnej postawie? Podnieś się! Czy to ja jestem cesarem, Neronem?

Czy Agrypina jest moją matką? Wszystko to ci się śniło, moja piękna Koryntianko. Jestem Lucjuszem, atletą, woźnicą, śpiewakiem o tkliwym głosie. Nic więcej.

- Ach - westchnęła Akte, opierając głowę na jego ramieniu - chciałabym myśleć, że mi się to wszystko śni i że zaraz przebudzę się w domu mojego ojca, ale w głębi serca czuję prawdziwą miłość. O Lucjuszu, Lucjuszu, nie naigrawaj się ze mnie!... Czy nie widzisz, jak niewiele trzeba, bym znalazła się w otchłani piekiel? Ulituj się nad moją słabością, ratuj mnie, bo nie wiem już, co mam sądzić.

- Skąd ten niepokój? Czy moja Helena jest zadowolona ze swego Parysa? Czy pałac, w którym mieszka, nie jest dla niej dostatecznie wspaniały? Jeśli tak, każemy postawić inny, o srebrnych kolumnach i złotych kapitelach. Czy uchybili jej niewolnicy? Ma nad nimi prawo życia i śmierci. Czego chce? Czego pragnie? Wszystko, czym człowiek, cesarz, czym bóg może obdarzyć, otrzyma na jedno swoje skinienie.

- Wiem, że jesteś potężny; wierzę, że mnie kochasz; wierzę też, że uczynisz wszystko, o co cię tylko poproszę. Nie uspokoi to jednak mej duszy, nie uszczęśliwisz mnie przekonując, że należysz wyłącznie do mnie, tak jak ja należę do ciebie. Teraz wiem, czuję i widzę, jak niewiele należy do mnie. Rzym, państwo, świat, wołają cię! Jesteś moim tylko na chwilę... Masz tajemnice, które nie mogą być moimi, nienawiści, których nie mogę podzielać, miłości, których znać nie powinnam. Wśród naszych najczulszych wynurzeń otworzą się drzwi, jak w tej chwili, i wyzwoleniec z niemym obliczem da ci tajemniczy znak, którego nie będę mogła, nie powinnam nawet zrozumieć... Patrz, moje przeczucia zaczynają się spełniać.

Wskazała drzwi, w których stanął wyzwoleniec.

- Czego chcesz Anicetusie? - zapytał Neron.

- Ta, którą boski cesarz wezwał, czeka na jego rozkazy.

- Powiedz, że zaraz przyjdę.

Wyzwoleniec wyszedł.

- Widzisz - szepnęła Akte, patrząc smutno na kochanka.
- Nie rozumiem - rzekł Neron.
- Kobieta czeka na ciebie.
- Nie przeczę.
- Zauważyłam, jak się wzdrygnąłeś, gdy ją oznajmiono.
- I podejrzewasz, że to oznacza miłość?
- Ta kobieta, Lucjuszu...
- Mów... czekam.
- Ta kobieta...
- Cóż więc, ta kobieta?
- Ta kobieta nazywa się Poppea?
- Mylisz się - odpowiedział lodowatym głosem Neron - ta kobieta nazywa się Lokusta...

## IX

Neron wstał i udał się za wyzwoleniec. Przebyli kilka zakrętów tajnymi korytarzami, znanymi tylko cesarowi i jego najbardziej zaufanym niewolnikom, i weszli do małej izby bez okien. Światło i powietrze przenikało do niej z otworu na górze, który jednak był głównie przeznaczony do usuwania wyziewów, unoszących się ze spiżowych pieców. Teraz były zimne, ale napełnione już węglami, czekały gotowe na rozpalenie za pomocą iskry i mieszka. Przy ścianach stały jakieś narzędzia z gliny i szkła, których dziwaczne kształty przypominały ryby i ptaki. Różnej wielkości naczynia, zamknięte starannie pokrywami, na których widniały napisy kreślone nieznanym pismem, stały na umieszczonych dokoła izby specjalnych podstawach. Nad tym wszystkim zwisały, zaczepione na złotych łańcuchach przytwierdzonych do haków, suche i świeże zioła, zbierane w porze zalecanej przez magów. Pełno też

było przeróżnych słoików i puzder. Jedne z nich zawierały słynne maści, czyniące człowieka niezwyciężonym, które sporządzano z głowy i ogona skrzydlatego węża, z włosów wyrwanych z łba tygrysa, z lwiego szpiku i z piany konia zwycięzcy. W innych mieściły się potężne talizmany z krwi bazyliuszka, zwanej także krwią Saturna, które zapewniają spełnienie wszelkich życzeń, w innych jeszcze znajdowały się najprzeróżniejsze osobliwości, cenione na wagę diamentów. Między różnymi ziołami wisały wieńce splecione ze słoneczników. Ten kwiat dawał szczęście i sławę. Obok nich zaczepiono wielkie pęki afrykańskiego wrzosu, rwanego z korzeniem, koniecznie lewą ręką, i suszonego w cieniu, wyzwalającego wesołość. Wystarczyło skropić tricinium odwarem z kilku liści w ten sposób zerwanej rośliny, by nawet najbardziej ponury z biesiadników rozchmurzył się i dołączył do powszechnej zabawy.

W tej izbie czekała na Nerona kobieta ubrana w czarną długą szatę. Brzeg sukni, podpięty z jednej strony do paska złotą zapinką, tworzył luźne fałdy. Siedziała zamyślona, trzymając w lewym ręku czarodziejską różdżkę. Nie zauważyła nawet przybycia cezara. Neron zbliżył się do niej powoli, a na jego obliczu malowały się obawa, wstręt i pogarda. Stał przed nią i skinął na Anicetusa. Ten dotknął ręką jej ramienia. Kobieta podniosła głowę i potrząsnęła nią kilka razy, by odrzucić do tyłu opadające jej na czoło włosy. Miała około trzydziestu pięciu lat.

Nie podnosząc się z miejsca, siedząc nieruchomo, jak posąg, zwróciła się do Nerona z pytaniem:

- Czego chcesz jeszcze ode mnie?
- Przede wszystkim powiedz mi, czy pamiętasz przeszłość?
- Spytaj Tezeusza, czy pamięta otchłań.
- Wiesz, że wyciągnąłem cię z podziemnego więzienia, gdzie powoli konałaś leżąc w błocie, a robactwo łąziło po twym ciele.
- Było tak zimno, że tego nie czułam.
- Wiesz, że umieściłem cię w domu, który kazałem zbudować specjalnie dla

ciebie i ozdobiłem, jak dla kochanki. To, co robiłaś, nazywano zbrodnią. Ja nazwałem to sztuką. Prześladowano twoich współników, ja dałem ci uczniów.

- A ja w zamian oddałam ci połowę potęgi Jowisza... podporządkowałam twym rozkazom śmierć, tę ślełą i głuchą córę snu i nocy.

- Dobrze, że pamiętasz. Wezwałem cię...

- Kto ma umrzeć?

- Musisz to odgadnąć sama, ja nie mogę ci tego powiedzieć. Jest to wróg zbyt niebezpieczny i nawet posągowi nie powierzyłbym jego imienia. Bądź jednak ostrożna. Nie chcę, by trucizna była zbyt słaba, jak dla Klaudiusza, ani też by zawiodła przy pierwszej próbie, jak w przypadku Brytannika. Musi zabić w mgnieniu oka, nie dając czasu na wymówienie słowa lub danie znaku. Rozumiesz? Potrzeba mi takiej trucizny, jaką kiedyś przygotowaliśmy, wypróbując ją na dziku.

- O! - rzekła Lokusta głucho - Jeśli chodzi tylko o taką truciznę, a nawet jeszcze mocniejszą, to nic trudnego. Lecz gdy przyrządzałam tę, o której mówisz, wiedziałam dla kogo jest przeznaczona. Wiedziałam, że ma być podana dziecku. Są jednak ludzie, jak na przykład Mitridat, na których nie działa najsilniejsza nawet trucizna, gdyż stopniowo przyzwyczaili swój organizm do najbardziej jadowitych i śmiertelnych ziół. W takim wypadku moja trucizna okazałaby się nieskuteczna, a ty powiedziałabyś, że cię oszukałam.

- I wtrąciłbym cię znowu do więzienia, skąd wyszłaś. Znowu powierzyłbym cię straży Polliona Juliusza. Uczyniłbym to na pewno. Zastanów się więc - dodał Neron.

- Wymień imię ofiary, a otrzymasz odpowiedź.

- Powtarzam. Nie mogę i nie chcę tego zrobić. Czy nie posiadałaś sztuki odgadywania? Czarów, za pomocą których wywołujesz duchy? Od nich możesz się przecież wszystkiego dowiedzieć. Spróbuj. Nie chcę sam wskazać ci ofiary, ale nie zabraniam odgadnąć.

- Tutaj nic nie mogę uczynić.

- Nie jesteś przecież uwięziona.
- Wrócę niebawem.
- Będę ci towarzyszyć.
- Nawet na wzgórze Eskwilińskie?
- Wszędzie.
- I pójdziesz sam?
- Sam, jeżeli potrzeba.
- Chodźmy więc.

Neron dał znak Anicetusowi, by się oddalił, sam zaś udał się z Lokustą. Nie miał innej broni prócz swego miecza. Niektórzy jednak utrzymywali, że w dzień i w nocy nosił na ciele pancerz w karpią łuskę, tak zręcznie zrobiony, że wcale nie kępował ruchów, był przy tym tak szczelny, że nie przepuścił żadnego pocisku.

Szli ciemnymi ulicami Rzymu, bez niewolnika i światła, aż do Velabrum, gdzie stał dom Lokusty. Kobieta zapukała trzy razy. Otworzyła im stara niewiasta, pomagająca jej w czarach. Widząc pięknego młodziana, który jak sądziła przyszedł po napój miłosny, usunęła się na bok z uśmiechem. Lokusta otworzyła drzwi swej pracowni i skinęła na cezara, by wszedł za nią.

Oczom Nerona ukazał się zbiór dziwnych przedmiotów. Mumie egipskie i etruskie szkielety stały pod ścianami. Krokodyle i ryby o osobliwych kształtach wisiały pod sufitem na niewidzialnych niciach; rozmaitej wielkości postacie z wosku stały na podstawach, z igłami lub sztyletami w sercu. W tym strasznym i przejmującym grozą pomieszczeniu latała cicho spłoszona sowa, przysiadając co chwila tu i ówdzie. Tylko jej ślepie, podobne do rozżarzonych węgli, błyskały w półmroku. W kącie izby beczała smutnie czarna owca, jakby przeczuwała co ją czeka. Nad ponurymi odgłosami dominowały dziwnie przejmujące jęki, które zwróciły uwagę Nerona. Rozejrzył się wokół i spostrzegł pośrodku izby jakiś przedmiot wystający z ziemi. Początkowo nie mógł rozpoznać jego kształtów. Była to ludzka głowa. Jej oczy zdradzały życie. Szyję

opasywał wąż, którego ruchliwy, czarny język zwracał się co chwila ku Neronowi, potem jednak zatapiał się w misie mleka, stojącej w pobliżu. Dokoła głowy były ustawione naczynia z napojami, potrawami i owocami. Nie mogąc dosięgnąć do nich ustami, człowiek przeżywał męki jak Tantal. Stąd właśnie dobywały się owe przejmujące skargi.

Tymczasem Lokusta rozpoczęła swe czary. Najpierw skropiła cały dom wodą z jeziora Awerneńskiego i rozpałała ogień z gałęzi cyprysów i sykomorów, ułamanych z drzew rosnących na grobach. Do ognia wrzuciła pierze sowy, skropione juchą ropuchy i dodała ziół, zbieranych w Jolkos i w Hiberii. Nachyliła się nad ogniem, mruczając niezrozumiałe słowa. Gdy ogień przygasał, rozejrzała się dokoła, szukając czegoś, a nie mogąc znaleźć, zagwizdała przenikliwie. Na ten znak wąż uniósł głowę i wyprężył się do połowy. Po drugim świshnięciu rozwinął się z wolna. Gdy czarownica świshnęła po raz trzeci, gniewnie i nagłaco, gad przyczołgał się ku niej posłusznie. Kobieta ujęła go tuż przy łbie i zbliżyła do ogniska. Gad całym swym ciałem owinął się dokoła jej ręki, sycząc z bólu, lecz ona przytrzymała go nad płomieniem tak długo, aż z jego jadowych zębów wypłynęła trucizna, której kilka kropel wpadło do ognia. Tego chciała Lokusta. Puściła zaraz węża, a ten uciekł szybko, opasał piszczel kościotrupa, wpęzł po nim do wnętrza klatki piersiowej i ukrył się w niej.

Lokusta zgarnęła popiół i tłące się jeszcze węgle, owinęła skrawkiem amiantowej<sup>10</sup> tkaniny, ujęła powróż, do którego była przywiązana czarna owca, odwróciła się w stronę Nerona, który przypatrywał się jej tajemniczym praktykom nieruchomy i milczący jak posąg, i spytała go, czy wciąż chce towarzyszyć jej na górę Eskwilińską. Neron skinął tylko głową i oboje wyszli.

Gdy już zamykali drzwi, znowu usłyszeli wołanie, a w głosie błagającego o litość wyczuwało się taki ból, że nawet Neron wzruszył się tym i chciał zatrzymać Lokustę. Czarownica jednak odpowiedziała, że najmniejsze opóźnienie może uniemożliwić dokonanie zamierzonego dzieła lub znacznie je

---

<sup>10</sup> Amiant - minerał, włóknista odmiana aktynolitu; tworzy ogniotrwałe, elastyczne, mocne włókna.

odwlec, wobec czego Neron pośpieszył za nią. Magiczne praktyki nie były mu obce, domyślał się więc, co znaczyła owa jęcząca głowa. Była to głowa zagrzebanego w ziemi po szyję dziecka. Czarownica dręczyła je głodem i pragnieniem, zwiększając męczarnie widokiem ustawionego tuż przy ustach jadła i napoju, by po śmierci ofiary, ze szpiku jej kości i z serca, przygotować słynny napój miłosny, za który bogaci rozpustnicy rzymscy lub kochanki cesarów płacili tak wiele, iż za tę cenę można było kupić całą prowincję.

Neron i Lokusta, jak dwa cienie, przeszli w milczeniu krętymi ulicami Velabrum, minęli mur wielkiego cyrku i po pewnym czasie stanęli u podnóża Eskwilinu. Właśnie spoza szczytu wzgórza wychylił się księżyc, oświetlając swym srebrzystym blaskiem liczne krzyże, na których wisiały rozpięte, przybite ćwiekami, ciała złodziei, morderców i chrześcijan, ukaranych jednakową śmiercią przez ukrzyżowanie. Neron sądził najpierw, że czarownica chce użyć do swych praktyk jednego z tych trupów, ale przeszła koło nich nie zatrzymując się nawet. Uklękała na małej wyniosłości, zaczęła jak hiena rozgrzebywać rękami ziemię, w wykopaną jamę wsypała przyniesione w amiantowej tkaninie resztki z ogniska, przegryzła arterię na szyi czarnej owcy i krwią, która popłynęła obficie, przygasiła żarzące się jeszcze węgle.

W tej chwili księżyc skrył się za chmurą, jakby nie chciał być świadkiem tak ohydnej sceny. Mimo ciemności, które teraz okryły górę, Neron widział, jak przed wieszczbiarką wyłonił się z jamy cień, z którym szeptała cicho przez jakiś czas. Przypomniawszy sobie, że właśnie w tym miejscu pogrzebano kiedyś, zaduszoną za liczne morderstwa, czarownicę Kanidię, o której mówili Horacjusz i Owidiusz. Nie wątpił, że to z jej cieniem rozmawiała Lokusta. Po chwili mara znikła pod ziemią, księżyc znów zajaśniał na niebie i Neron spostrzegł zbliżającą się do niego bladą i drżącą Lokustę.

- Cóż więc? - zapytał.

- Cała moja sztuka jest tu bezsilna - odparła ponuro.

- Jak to... Nie posiadasz niezawodnych, śmiertelnych trucizn?

- Przed moimi truciznami ona potrafi się obronić.

- Znasz więc tę, którą skazałem na śmierć?

- To twoja matka.

Neron zmarszczył czoło, milczał przez chwilę, po czym rzekł:

- Wynajdę inny sposób.

Oboje zeszli z przeklętej góry i wkrótce zniknęli w ciemnych i opustoszałych ulicach, wiodących z Velabrum do Palatynu.

Nazajutrz Akte otrzymała od swego kochanka list, w którym poleca jej, by udała się do Bai, gdzie sam miał przybyć z Agrypiną na uroczystości poświęcone Minerwie.

## X

Osiem dni upłynęło od wyprawy Nerona do Lokusty. Był wieczór. Księżyc podniósł się powoli spoza Wezuwiusza i oświetlał swoimi promieniami całe wybrzeże neapolitańskie. W jego srebrzystej poświacie błyszczało Puteoli, przecięte ciemną linią mostu łączącego dwa brzegi niewielkiej zatoczki. Most ten, zupełnie niepotrzebnie, kazał zbudować Kaligula, słuchający namowy swego astrologa Trazyllusa. Wzdłuż brzegu, tworzącego w tym miejscu niemal doskonałe półkole, od Pauzylipu do przylądka mizeńskiego gasły jedne po drugich światła miast, rybackich osad i wspaniałych willi, przeglądających się w morskich falach. Gdzieniedzie można było jeszcze spotkać zapóźnioną łódkę, która w ciszy wieczoru szybko podążała ku przystani. Wreszcie zatoka opustoszała. Tylko kilka statków, przycumowanych do brzegu naprzeciw ogrodów Hortensjusza, między willą Juliusza Cezara i pałacem w Bauli, kołysało się sennie na wodzie.

Żaden obłok nie przysłał wspaniałego granatu nieba, żadna fala nie marszczyła zwierciadlanej powierzchni morza, w której przeglądał się majestatycznie płynący księżyc.

Pogasły już ostatnie światła Puteoli i tylko latarnia mizeńskiego przyładka płonęła jak pochodnia w ręku olbrzyma. Była to jedna z tych spokojnych nocy, kiedy w wodach zatoki widać wyraźnie odbite kontury Neapolu i jego wspaniałych marmurowych budowli. Po wschodniej stronie widnokregu unosił się biały pióropusz dymiącego Wezuwiusza, przypominający swym wyglądem alabastrową kolumnę.

Nagle w ciszę i ciemność wdarły się wesołe głosy towarzystwa, zbliżającego się ku brzegowi. Majtkowie spoczywający w łodziach zobaczyli między drzewami przesłaniającymi Bauli dymiące światła pochodni. Po chwili z pobliskiego gaju pomarańczowego wyszedł orszak oświetlany licznymi światłami, rozbrzmiewający wrzawą i radością, i skierował się ku statkom. Sternik najwspanialszego okrętu, bogato rzeźbionej i uwieńczonej kwiatami triremy<sup>11</sup>, kazał rozesłać purpurowy kobierzec na pomoście, łączącym brzeg z pokładem i padł na kolana, oczekując w tej postawie, wyrażającej cześć i uznanie, zbliżających się, z pewnością znakomitych przybyszów.

Rzeczywiście, na czele orszaku kroczył sam cesarz Neron, prowadząc Agrypinę. Pierwszy raz od śmierci Brytannika matka wspierała się na ramieniu syna. Oboje o pogodnych, rozradowanych twarzach szli pogrążeni w serdecznej rozmowie, jakby przez cały czas pozostawali w najlepszej zgodzie. Niedaleko triremy orszak zatrzymał się, a Neron, wobec całego dworu, uścisnął matkę tkliwie, ze łzami w oczach, tak wielki okazując żal z powodu rozstania. Wreszcie, udając, że przychodzi mu to z wielkim trudem, wyrwał się z jej objęć i zwrócił do przywódcy triremy:

- Anicetusie, powierzam ci moją matkę, pamiętaj, głową mi za nią odpowiesz!

Agrypina weszła na statek, który odpłynął powoli od brzegu. Neron pozostał, przez jakiś czas jeszcze żegnał czule matkę kiwając jej ręką, a ona odpowiadała mu z okrętu. Dopiero gdy statek znacznie się oddalił, cesarz wrócił do Bauli,

---

<sup>11</sup> Trirema - statek o trzech rzędach wiosel.

Agrypina zaś zeszła do przygotowanej dla niej kajuty.

Zaledwie się położyła na swym łożu, gdy uniosła się zasłona i młoda dziewczyna, blada i drżąca, padła jej do nóg, wołając:

- O moja matko! Ratuj mnie!

Początkowa trwoga ustąpiła zdziwieniu, gdy Agrypina poznała w przybyłej piękną Koryntiankę. Wyciągnęła do niej rękę i powiedziała:

- Akte! Ty tu, na moim okręcie, błagająca o ratunek... Przed kim mam cię ratować, drogie dziecko? Wielka jest teraz twoja potęga, skoro zdołałaś przywrócić mi synowską miłość.

- Ratuj mnie i broń przed nim, przed moją miłością... Przed tym dworem, który mnie przeraża, przed tym światem, tak dla mnie obcym i niepojętym...

- Uspokój się - rzekła Agrypina. - Przypominam sobie, że zniknęłaś w połowie uczty. Neron pytał o ciebie, kazał cię szukać. Dlaczego uciekłaś?

- Dlaczego? Jeszcze się pytasz? Wybacz mi, ale czy może uczciwa kobieta... uczestniczyć w podobnej biesiadzie, na widok której rumieniłyby się ze wstydu nawet nasze kapłanki Wenery? O moja matko!... Czy nie słyszałaś tych pieśni? Czy nie widziałaś tych nagich niewiast... i kuglarzy, których każdy gest był hańbą, nie tyle dla nich samych, ile dla tych, którzy musieli się im przyglądać! Nie mogłam tego znieść, uciekłam więc do ogrodów. Ale tam... znowu to samo... Ogród był zaludniony, jak starożytne lasy: przy każdym źródle spotykałam jakąś bezwstydną nimfę, każdy krzak skrywał rozpustnego satyra... Uwierz mi, matko! Między tymi mężczyznami i niewiastami rozpoznawałam czcigodne matrony i szanowanych patrycjuszów... Dlatego, jak wpierw odeszłam od stołu, tak teraz uciekłam z ogrodu. Znalazłam się na drodze do morza, pobiegłam na brzeg... Tam zobaczyłam triremę i poznałam, że to twoja. Powiedziałam, że należę do twego orszaku i mam tu czekać na ciebie. Wpuszczono mnie, a wśród tych majtków i żołnierzy, ludzi nieokrzesanych, poczułam się spokojniejsza, zaczęłam oddychać swobodniej niż przy stole Nerona, przy którym przecież spotkałam najznamienitsze osobistości Rzymu.

- Biedne dziecko! Czego chcesz ode mnie?

- Schronienia w twoim domu nad jeziorem Lukryńskim, miejsca między niewolnicami, zasłony, bym mogła pod nią ukryć swój wstyd.

- Nie chcesz już widzieć cezara?

- O moja matko!...

- Chcesz go opuścić zbląkanego, jak okręt bez sternika, na tym morzu rozpusty?

- O moja matko! Gdybym kochała go mniej, może mogłabym przy nim zostać. Ale czy możesz żądać ode mnie, abym patrzyła spokojnie, gdy on obdarza miłością inne kobiety, mówiąc im to samo co mnie? To niepodobna, bym oddając mu wszystko, nie otrzymywała w zamian prawie nic... Zginęłabym sama w tym świecie. Zostając wśród tych kobiet upodobniłabym się do nich. Nosiłabym sztylet za paskiem, truciznę w pierścieniu, a potem...

- Czego chcesz, Acerronio? - przerwała Agrypina, zwracając się do młodej niewolnicy, która właśnie weszła.

- Czy mogę mówić? - szepnęła zapytana.

- Mów.

- Dokąd się udajesz, pani?

- Do mojej willi nad jeziorem Lukryńskim, wiesz o tym.

- Ja również myślałam, że tam podążamy i najpierw płynęliśmy w tamtą stronę, ale statek zmienił nagle kurs i wypływamy na pełne morze...

- Na pełne morze! - powtórzyła zaniepokojona Agrypina.

- Spójrz - rzekła niewolnica, podnosząc zasłonę w oknie - latarnia przyładka powinna być już daleko za nami, a jest po naszej prawej stronie. Zamiast zbliżać się do Puteoli, oddaliśmy się całą siłą żagli i wiosł.

- Rzeczywiście - szepnęła Agrypina - co to znaczy? Gallusie! Gallusie!...

Gdy młody rzymski patrycjusz ukazał się w drzwiach, Agrypina poleciła mu:

- Powiedz, Gallusie, Anicetusowi, że pragnę z nim mówić.

Gallus wyszedł z Acerronią. Nagle kajutę ogarnęły ciemności.

- Sprawiedliwi bogowie! - zawołała Agrypina - Latarnie gasną... Akte, Akte to jakaś zasadzka... Ostrzegano mnie przed wyjazdem do Bauli, ale nie chciałam słuchać, nierozsądna!... I co, Gallusie? - zapytała wchodzącego do kajuty patrycjusza.

- Anicetus nie może się stawić na twe rozkazy. Jest zajęty spuszczeniem łodzi na morze.

- W takim razie pójdę do niego sama. Ach!... Co znaczą te hałasy nad nami... Na Jowisza! Jesteśmy skazani... Okręt się rozpada!

Ledwie wymówiła te słowa, gdy unoszący się nad ich głowami pomost, tworzący sufit kajuty, runął z łoskotem.

Obie myślały, że są już zgubione. Szczęśliwie podpory baldachimu rozpiętego nad łóżem były tak silne, że utrzymały ciężar. Wałące się sklepienie zmiażdżyło jednak upadając Gallusa, który stał w wejściu. Agrypina i Akte ocalały.

Do odgłosów zgiełku dochodzących z pokładu dołączył się głuchy szmer dobiegający spod kajuty i kobiety poczuły, że podłoga usuwa się pod stopami... Dno statku rozpadało się, jakby strzaskane o podwodną skałę i woda wdarła się nagle do środka.

Agrypina domyśliła się od razu. Rzekoma katastrofa była wyrokiem cezara, obmyśloną i upozorowaną po mistrzowsku. Rozejrzała się wokół. Resztki sufitu wisiały nad ich głowami, grożąc w każdej chwili zmiążdzeniem. Woda wdzierała się gwałtownie. Zostało tylko otwarte okno. Była to jedyna droga ucieczki. Pociągnęła za sobą Akte, dając znak, by dziewczyna w milczeniu słuchała jej rozkazów. Chodzi przecież o ich życie. Nie oglądając się za siebie, bez wahania, trzymając się za ręce wyskoczyły przez okno.

Strzaskany statek, kołując, szedł na dno, tworząc ogromny wir, który porwał je za sobą. Znalazły się pod wodą. Każda chwila wydawała im się wiekiem. Wreszcie ustała siła, która ciągnęła je w dół. Najpierw poczuły, że przestają się zagłębiać, potem, że płyną w górę. Na wpół przytomne znalazły się na

powierzchni.

W mroku zamajaczyła przed nimi czyjaś głowa. Wystawała nad wodą blisko łodzi. Jednocześnie usłyszały rozpaczliwe wołanie:

- Jestem Agrypina, jestem matką cezara, ratujcie mnie!

Akte także chciała wołać o pomoc, lecz Agrypina zakryła jej usta dłonią, tłumiąc krzyk. Wolną ręką wskazała w kierunku łodzi. Ujrzały, jak jedno z wiosł uniosło się w górę, a potem szybko opadło, rozbijając głowę Acerronii, która podając się za matkę cezara była tak nierozsądna, iż prosiła o ratunek morderców.

Ocalone kobiety płynęły do brzegu, gdy tymczasem Anicetus, przekonany, że wypełnił ohydne zlecenie, zmierzał ku Bauli, gdzie czekał na niego cesar. Niebo wciąż było czyste, morze spokojne, ale odległość dzieląca brzeg od miejsca katastrofy była tak duża, że choć Agrypina i Akte płynęły już długo, do lądu miały jeszcze jakieś pół mili. W dodatku Agrypina, wyskakując ze statku, zraniła się w ramię. Teraz czuła, że jej prawa ręka drętwieje i staje się bezwładna. Akte spostrzegła, że jej towarzyszka płynie z coraz większą trudnością. Przesunęła się na drugą stronę i zarzuciła sobie rękę Agrypiny na kark, podtrzymując ją w ten sposób na powierzchni wody, mimo jej protestów i usilnemu błaganiu, by myślała tylko o sobie, a jej pozwoliła zginąć.

W tym czasie Neron wrócił do pałacu Bauli, zasiadł znowu przy biesiadnym stole, przywołując nowe tancerki i nowych kuglarzy. Orgia rozpoczęła się w najlepsze.

Cesar wziął nawet lirę i zaczął deklamować rapsod Homera o oblężeniu Troi. Ale co jakiś czas wstrząsały nim dreszcze, czuł przenikliwy chłód i zimny pot występujący na czoło. Zdawało mu się, że śmiertelny powiew zakłóca atmosferę biesiady i otacza jego postać. Do komnaty wsunął się niewolnik, podszedł do niego i szepnął coś do ucha. Neron zbladł, rzucił lirę, zerwał z głowy wieniec i wybiegł. Choć nie wymówił ani słowa, wszyscy domyślili się od razu, że musiało zdarzyć się coś strasznego. Sala biesiadna opustoszała,

goście opuścili ją w pośpiechu, ogarnięci najgorszymi przeczuciami.

Neron udał się do swej komnaty i kazał przywołać Anicetusa. Rozmawiał już z nim wcześniej, bo gdy ten wrócił do portu, zaraz opowiedział, w jaki sposób wykonał otrzymane rozkazy, a cesarz, ufając jego wierności, nie wątpił, że mówi prawdę. Zdumiał się więc powiernik, gdy Neron zawołał do niego z wściekłością w głosie:

- Powiedziałeś mi, że nie żyje, a przed chwilą przybył od niej posłaniec... Co to znaczy?!

- Musi więc chyba przybywać z piekieł - odparł Anicetus. - Nie mogę w to uwierzyć. Na własne oczy widziałem, jak strzaskany okręt tonął, słyszałem też wołanie: - Jestem Agrypina, matka cesarza, ratujcie! - Widziałem też, że wiosła zmiażdżyły głowę tej, co wzywała ratunku!...

- Źle widziałeś, to Acerronia zginęła, a moja matka ocalała...

- Kto to powiedział?

- Wyzwoleniec Agerinus.

- Czy go widziałeś, panie?

- Jeszcze nie.

- Co rozkazuje uczynić boski cesarz?

- Mogę na ciebie liczyć?

- Moje życie należy do cesarza.

- Udaj się do sąsiedniej komnaty, a gdy zawołam o ratunek, wpadniesz tu, przytrzymasz Agerinusa i oświadczysz, że widziałeś, jak podnosił na mnie swój miecz.

- Twoje słowa są prawem - odparł Anicetus, skłonił się pokornie i wyszedł.

Neron został sam. Wziął zwierciadło, a gdy zobaczył w nim swoją pobladłą twarz, nałożył róż na policzki, poprawił włosy i fałdy togi, jakby szykował się do występu na scenie, położył się na łożu przyjmując swobodną pozę i czekał na posłańca Agrypiny.

Goniec przybył z wiadomością, że matka cesarza ocalała. Opowiedział o

dziwnej katastrofie statku i dodał, że Augusta Agrypina została uratowana niemal w ostatniej chwili, kiedy była już tak wyczerpana, że liczyła tylko na wybawienie boskie... Łódź z zatoki Puteoli zawiozła ją nad jezioro Lukryńskie kanałem wykopanym z rozkazu Klaudiusza. Do willi przeniesiono ją w lektyce. Tam poleciała zawiadomić syna o wypadku. Powiedziała też, że znajduje się pod strażą bogów, a ponieważ czuje się wyczerpana i potrzebuje wypoczynku, zaklina więc Nerona, by wstrzymał się z odwiedzinami, choć pewnie pragnie ją zobaczyć.

Neron wysłuchał uważnie relacji, udając kolejno strach, zdziwienie i radość, a gdy dowiedział się o rzeczy dla siebie najważniejszej, czyli o miejscu schronienia swej matki, cisnął obnażony miecz pod nogi wyzwolénca i zaczął wzywać ratunku. Z przyległej komnaty wpadł natychmiast Anicetus, pochwycił posłańca Agrypiny, podniósł miecz leżący u jego nóg i oddał go jako dowód rzekomego zamachu pretoriańskiemu centurionowi, przybyłemu ze swym oddziałem na wołanie cezara. Potem rozgłosił po całym pałacu, że Neron omal nie został zamordowany z rozkazu swej matki.

Tymczasem Agrypina, uratowana przez łódź rybacką wracającą do portu, podejrzewała, że zemsta Nerona może ją osiągnąć nawet w ustronnej willi, a nie chcąc narazić na zgubę dziewczyny, której zawdzięczała życie, w chwili, gdy już miała wsiadać do łodzi, zapytała Akte, czy zdoła o własnych siłach dostać się do brzegu, którego ciemna linia majaczyła w oddali. Akte odgadła o czym myśli Agrypina, lecz mimo to chciała jej koniecznie towarzyszyć. Jednak matka cezara sprzeciwiła się temu stanowczo, przyrzekając, że przywoła ją do swego orszaku, gdy sama będzie już bezpieczna. Dziewczyna musiała usłuchać tego rozkazu. Szybko i lekko popłynęła ku przeciwnemu brzegowi.

Gdy Agrypina zbliżała się do lądu, zauważyła, iż całe wybrzeże jest dziwnie ożywione. Widać było liczne światła i słyszeć krzyki. Nie rozumiała, co one oznaczają, ale zdradzały trwogę i zamęt. Sprawcą tego zamieszania był Anicetus. To on po powrocie do Bauli rozpuścił wieść o rozbiciu się triremy i

zatonięciu matki cezara. Wiadomość ta poruszyła jej niewolników, klientów i przyjaciół, którzy rozbiegli się niezwłocznie po całym wybrzeżu w nadziei, że fale wyrzucą szczątki statku i ją samą, żywą lub umarłą. Gdy więc na wodzie ukazał się biały żagiel, cała ta ciżba rzuciła się ku miejscu, w którym łódź miała przybić do lądu, a kiedy jeszcze dowiedziano się, że wiezie ocaloną Agrypinę, żałobne jęki zmieniły się w radosną wrzawę. Matka cezara, skazana na okropną śmierć w chwili gdy wsiadała na statek po przeciwnej stronie zatoki, teraz przybijała triumfalnie do drugiego jej brzegu, niesiona na ramionach swoich sług, wśród powszechnego entuzjazmu ludzi, którzy towarzyszyli jej aż do willi. Tłum pozostał przed drzwiami, zwiększając się z każdą chwilą. Zebrani zaczęli się głośno domagać, by ta, której Senat z rozkazu cezara przyznał tytuł Augusty, raczyła się ukazać.

Takie dowody życzliwości nie były na rękę Agrypinie. Przeciwnie, przejmowały ją trwoga, bowiem Neron poczytywał wszelką popularność za występki i uchybienie jego osobie, zwłaszcza jeśli otaczała tych, których on nienawidził lub skazał na zgubę. Agrypina wiedziała o tym dobrze, dlatego nie uczyniła zadość żądaniom tłumu, tylko ukryła się w swej sypialni, najustronniejszej ze wszystkich komnat willi, przywołała zaufanego wyzwolénca Agerinusa i rozkazała mu, by udał się do Nerona i opowiedział o wszystkim. Potem kazała opatrzyć swe rany, oddaliła wszystkie kobiety i położyła się, osłaniając głowę płaszczem. Zebrany tłum wciąż krzyczał przed wejściem, Agrypinę zaś dręczyły najczarniejsze myśli. Znała swego syna i wiedziała, że nie poprzestanie na nieudanym zamachu.

Nagle wrzawa ucichła, zgasły pochodnie, których jaskrawy blask odbijał się w oknach jak łuna pożaru. Agrypina poczuła dreszcz niepokoju, na jej czoło wystąpił zimny pot. Domyśliła się, że jest jakaś przyczyna tej zmiany, że ktoś uciszył gawiedź i kazał się jej rozejść. Wkrótce usłyszała odgłosy zbliżających się kroków. Najpierw na podwórzu, potem w przedsionkach i przylegających komnatach.

Przysłuchiwała się im z zapartym tchem. Nie ruszała się z miejsca, nie mogła przecież nawet marzyć o ukryciu się lub ucieczce. Drzwi jej sypialni otworzyły się nagle. W progu stanął wyzwoleniec Anicetus, tetrarcha<sup>12</sup> Hercules i centurion<sup>13</sup> morski Olaribus.

Na widok Anicetusa, którego znała jako powiernika, a często i wykonawcę krwawych rozkazów Nerona, Agrypina zrozumiała, że jest zgubiona. Nie błagała więc o litość, tylko spokojnie powiedziała:

- Jeżeli przybywasz jako posłaniec, zawiadom mojego syna, że jestem zdrowa; jeżeli zaś jako kat, czyn swoją powinność.

W odpowiedzi ujrzała obnażony miecz. Zrzuciła więc okrywający ją płaszcz i rzekła do mordercy:

- Uderzaj!

Anicetus wznosił miecz i pewnie wymierzył cios. Nie zawahał się, ręka nie zdrząła mu - był zaprawiony w rzemiośle siepacza.

Po rozstaniu z Agrypiną Akte płynęła ku brzegowi. Zbliżała się do lądu, gdy ujrzała pochodnie i usłyszała krzyki. Nie wiedząc, co się dzieje, na wszelki wypadek postanowiła zachować ostrożność. Czowała się jeszcze na tyle silna, że zdecydowała się wyjść na brzeg z drugiej strony Puteoli. Ukryła się lepiej, wykorzystując głęboki cień, jaki rzucał na powierzchnię morza most Kaliguli i płynęła dalej, chwytając się co chwila podtrzymujących go pali, by odetchnąć i nabrać trochę sił. Zaledwie trzysta kroków dzieliło ją od końca mostu, gdy spostrzegła błyszczące w świetle księżyca hełmy wartowników. Zawróciła w stronę morza, choć była już bardzo osłabiona, ręce zaczęły jej drętwieć i z trudem łapała oddech.

Wreszcie ujrzała miejsce, ocienione i puste, w którym niski, ciemny i samotny brzeg opadał łagodnie. Od strony Bai wciąż dochodziły krzyki i widać

---

<sup>12</sup> Tetrarcha - (od tetrares - cztery, archo - rządzący), zarządzający lub panujący nad tetrarchią, jednym z czterech okrętów jakiegoś kraju.

<sup>13</sup> Centurion - oficer rzymski stojący na czele jednostki wojskowej, liczącej pierwotnie 100 ludzi, setnik.

było migoczące światła pochodni, ale nie zważając już na nic skierowała się w stronę ładu. Czuła, że dzieje się z nią coś dziwnego. Wszystko zaczęło się jej mącić przed oczami. Jak przez mgłę ujrzała jakieś błyskawice, w uszach potęgował się szum.

Była pewna, że zginie, jeśli nie zdoła wyteńczyć wszystkich sił. Rozpaczliwym rzutem wychyliła się z wody do połowy ciała i złapała głębszy oddech. Spostrzegła teraz, że upragniony brzeg jest już niedaleko. Z wielkim wysiłkiem płynęła dalej. Po chwili poczuła, że ogarnia ją coraz większe odrętwienie, myśli plątały się bez związku i ładu, a przed oczyma snuły chaotycznie jakieś obrazy... Ujrzała nagle całe swoje życie, wszystko, co było dla niej najdroższe. Widziała sędziwego ojca, wyciągającego do niej ręce i wzywającego ją na brzeg, ale jakaś paralizująca siła obezwładniała ją i odpychała w stronę morza. Potem pojawił się obraz biesiady. Słyszała wyraźnie Nerona, jak śpiewał bezwstydną strofę, ciesząc się poklaskiem jego ulubieńców, widziała tancerki i ich ohydne pląsy. Chciała uciekać, ale jej nogi zaplątały się w girlandach kwiatów. Bezradna, zaczęła się rozglądać i wtedy ujrzała w przedsionku majestatycznie wyglądającego starca o obliczu przepelnionym dobrocią, który przywoływał ją do siebie skinieniem. Wokół jego skroni błyszczał świetlny krąg, rozjaśniając całą postać. Akte nie mogła oderwać oczu od tego oblicza. Starzec skinął na nią powtórnie, a ona zrozumiała, że zostanie ocalona, jeżeli zdoła zbliżyć się do niego. Nagle poczuła, że tonie i rozpaczliwie krzyknęła. Wydało jej się, że odpowiedział jej jakiś głos, lecz w tej chwili nowa fala powaliła się na nią. Teraz zdawało się jej, jakby przez sen, że jest niesiona, potem, że stacza się ze stromej góry. U podnóża tej góry natknęła się na ostry kamień, uczuła przejmujący ból i nagle wszystko się urwało. Straciła przytomność.

Gdy ją odzyskała, była jeszcze noc. Leżała na brzegu owinięta szerokim płaszczem, a obok klęczał jakiś człowiek podtrzymując jej głowę. Podniosła oczy. Ze zdziwieniem rozpoznała w nim starca, którego widziała w przedsionku biesiadnej komnaty. Była to ta sama postać - łagodna a zarazem dostojna.

Dziewczyna sądziła, że wciąż jeszcze marzy.

- Mój ojcze! - wyszeptała - Zawołałeś mnie i oto jestem. Ocaliłeś mi życie.

Wyjaw mi, proszę, swe imię, bym mogła je błogosławić...

- Jestem Paweł - odparł starzec.

- Kim jesteś?

- Apostołem Chrystusa.

- Nie rozumiem cię, ale mniejsza o to. Ufam ci, jak ojcu. Prowadź mnie, gdzie chcesz, a pójdę bez wahania.

Starzec wstał, podał jej rękę i odeszli razem.

## **Część druga**

### **I**

Neron spędził resztę nocy bezsennie. Nieustannie zastanawiał się i nie był pewny, czy Anicetus potrafi zbliżyć się do jego matki. Podejrzewał, że zatrzymała się w swej willi na krótko, a to, co kazała mu powiedzieć, było tylko wymówką, by zyskać na czasie i móc bez przeszkód dojechać do Rzymu. Już widział w swojej wyobraźni, jak wyniosła, z silnym postanowieniem zemsty, wjeżdża do stolicy, przemawia do ludu, uzbraja niewolników i rozkazuje zwołać Senat, aby przed nim domagać się sprawiedliwości za potworny zamach na morzu, swoje rany i śmierć przyjaciół. Każdy szelest przyprawiał go o drżenie. Mimo swej władzy, obawiał się matki. Dobrze wiedział, do czego była zdolna, a pamiętając co uczyniła, by go wywyżżyć, przewidywał co może uczynić, aby się zemścić.

Dopiero nad ranem przybył do pałacu Bauli niewolnik Anicetusa. Gdy stanął przed cezarem, padł na kolana i oddał mu jego własny pierścień, powierzony mordercy na znak nieograniczonej swobody działania. Zwrot tego pierścienia oznaczał, że okrutny rozkaz został wypełniony. Na widok pierścienia Neron

zerwał się z łoża i zawołał z triumfem:

- Nareszcie! Teraz dopiero czuję się sobą, czuję się panem i władcą. Zawdzięczam to Anicetusowi i niech będzie pewien, że mu tego nie zapomnę.

Uznał jednak za stosowne uprzedzić wieści i zapobiec domysłom co do istotnych przyczyn śmierci swej matki. Kazał więc napisać do Rzymu, że w jego komnacie pochwycono uzbrojonego Agerinusa, wyzwolenca i powiernika Agrypiny, który miał go zabić. Gdy Agrypina dowiedziała się o odkryciu jej spisku, w obawie przed zemstą Senatu, sama pozbawiła się życia. Dodał też, że od dawna zamierzała pozbawić go władzy i że sądziła, iż po śmierci cezara zdoła nakłonić lud, pretorianów i Senat do zaprzysiężenia jej posłuszeństwa. Obarczył ją też winą za wszystkie wygnania znakomitych osób, powołując się przy tym na Waleriusza Kapito i Licynusa Gabolusa, dawnych pretorów, a także Junię Kolwinę, siostrę Syllanusa, narzeczonego Oktawii. Katastrofę na morzu przedstawił jako zemstę bogów. Cały list napisał Seneka, Neron bowiem był tak zdenerwowany, że nie mógł utrzymać pióra i ledwie się podpisał.

Kiedy ochłonął już trochę z pierwszych wrażeń, jak biegły aktor zajął się pilnie odegraniem roli zrozpaczonego syna. Stał więc róz z twarzy, rozwiązał włosy i rozpuścił je na ramiona, zamienił białą, świąteczną tunikę na ciemną szatę, wyszedł ze swej komnaty i demonstrował pretorianom, dworzanom, a nawet swym niewolnikom, twarz posępną i zboląłą.

Wyraził też chęć zobaczenia po raz ostatni swej matki. Kazał niezwłocznie sprowadzić łódź w to samo miejsce, gdzie poprzedniego dnia żegnał się z nią tak serdecznie. Przepłynął zatokę, w której chciał ją utopić, przybił do brzegu, na którym wysiadła, rzekomo raniona i umierająca, i udał się do jej willi w towarzystwie Seneki, Borrusa, Sporusa i kilku jeszcze dworzan.

Powolnym krokiem, jak przystało na zboląłego syna, który ma oglądać zwłoki swej ukochanej matki, wszedł na schody. Gdy znalazł się w korytarzu, prowadzącym do jej komnaty, dał znać, by ci, którzy mu towarzyszyli, nie szli dalej. Zatrzymał przy sobie tylko Sporusa, jak gdyby nie chciał mieć świadków

swej rozpacz. Przystanął na chwilę przed drzwiami, oparł się o ścianę i zasłonił twarz połą płaszcz, jakby chciał ukryć łzy, naprawdę zaś, by otrzeć pot spływający mu po czole. Potem nagłym ruchem otworzył drzwi i zdecydowanym krokiem wszedł do środka.

Agrypina leżała na swym łożu. Morderca musiał zapewne dołożyć wszelkich starań, by na jej twarzy nie było śladów zbrodni, wyrazu przerażenia czy bólu. Zdawało się, że śpi, przykryta płaszczem tak, że była odsłonięta tylko głowa, część piersi i ramiona, którym śmierć nadała wygląd ciemnego, niebieskawego marmuru.

Neron stanął przy łożu, mając wciąż przy sobie Sporusa, którego oczy były jeszcze bardziej nieczułe i zimne niż oczy jego pana. Przyglądał się trupowi z obojętną ciekawością, jakby oglądał posąg zwalony z podstawy. Wreszcie twarz matkobójcy rozchmurzyła się. Wszystkie wątpliwości rozwiały się, przysły wielkie obawy. Teraz świat, władza i przyszłość należą wyłącznie do niego. Nikt już nie ośmieli się przeciwstawić jego potędze, bo ta, której lękał się najbardziej na pewno nie żyje.

Z nadejściem ranka w zatoce i na wybrzeżu rozpoczął się zwykły dzień. Wszyscy zajęli się swoimi codziennymi sprawami, nie podejrzewając, jak straszne wypadki zaszły minionej nocy. Nagle rozeszła się wieść o śmierci Agrypiny, wzbudzając niepokój wśród ludzi. Mówiono głośno o niebezpieczeństwie, jakiego uniknął cesarz i, dziękując bogom za jego ocalenie, gromadzono się wokół stosu, który wyzwoleniec Munster, z pomocą kilku niewolników, układał przy drodze mizeńskiej nieopodal willi Juliusza Cezara.

Wrzawa, zgiełk i zamieszanie nie dochodziły tam, dokąd Paweł zaprowadził Akte. Był to mały, ustronny domek na wysokości przylądka od strony Nizydy, zamieszkały przez rodzinę rybaka. Choć Paweł był w tej rodzinie obcy, widać było władzę, jaką miał nad nią. Okazywane mu posłuszeństwo nie było wcale niewolnicze, lecz oparte na miłości i szacunku. Była to władza ojca nad dziećmi, apostoła nad uczniami.

Wyczerpana niezwykłymi przeżyciami, Akte potrzebowała wypoczynku. Uległa naleganiom zesłanego jej przez los opiekuna i zasnęła. On zaś usiadł przy niej jak ojciec przy swym dziecku i wpatrzony w niebo zatopił się w głębokiej zadumie. Trwał w niej jeszcze, gdy dziewczyna otworzyła oczy. Widząc go przy sobie uśmiechnęła się smutno i choć wraz z przebudzeniem wróciły wszystkie bolesne wspomnienia, szepnęła, wyciągając do niego rękę:

- Czuwasz, mój ojczy?

Starzec obrzucił ją badawczym wzrokiem i zapytał:

- Cierpisz?

- Kocham - odparła.

Po chwili milczenia Paweł zapytał znowu:

- Czego pragniesz?

- Schronienia, w którym mogłabym myśleć o nim i płakać.

- Czujesz się na siłach, by pójść ze mną?

- Chodźmy - odpowiedziała usiłując wstać.

- Nie teraz, moja córko. Ty uciekasz przed namiętnością, ja przed surowością tych, którzy mnie osądzili. Możemy ruszyć w naszą drogę tylko nocą. Czy jesteś gotowa pójść ze mną wieczorem?

- Chętnie, mój ojczy.

- I nie przeraża cię długa, nużąca podróż? Jesteś tak wątła i delikatna.

- Dziewczęta w mojej ojczyźnie są przyzwyczajone do biegania za łanią nawet po najgęstszych lasach i po najbardziej niedostępnych górach.

- Tymoteuszu - starzec, zwrócił się do rybaka - zawołaj Sylasa.

Rybak wziął ciemny płaszcz Pawła, przywiązał go do długiej żerdzi, wyszedł przed drzwi swej chaty i zatknął żerdź w ziemi.

Szybko spostrzeżono ten znak, bo zaraz jakiś człowiek zszedł z góry Nizydy do nadbrzeżnej doliny, odwiązał przycumowaną na brzegu małą łódkę, wsiadł do niej i zaczął wiosłować, kierując się ku przylądkowi. Wkrótce przybił do brzegu, o jakieś sto kroków od domu, w którym na niego czekano i niebawem

stanął w drzwiach.

Po miedzianej cerze, po zawoju na głowie, a przede wszystkim po wyrazistych rysach twarzy można było poznać, że jest synem piaszczystej Arabii. Wszedł w postawie pełnej uszanowania, niemal kornej i pozdrowił Pawła w języku, którego tu nie znano. Ten odpowiedział mu coś, potem najwidoczniej wydał jakieś polecenie, bowiem Sylas przymocował do nóg sandały, związał mocniej powróż opasujący mu biodra, wziął kij podróżny, ukląkł przed Pawłem, który go pobłogosławił i wyszedł.

Akte przypatrywała się ze zdziwieniem Pawłowi. Kim był ten człowiek, wydający rozkazy tak stanowczym i zarazem tak łagodnym głosem, którego słuchano jak władcy, a szanowano jak ojca. Podczas swego krótkiego pobytu w pałacach Nerona poznała uległość we wszystkich jej postaciach, lecz była ona wymuszona strachem, niewolnicza, ta zaś powodowana była dobrowolnością, szczerą chęcią. Może więc zatem jest na świecie dwóch cesarów i może ten, który żyje w ukryciu, bez skarbów i niewolników, jest potężniejszy od tego, który posiada wszystkie bogactwa świata i rozkazuje milionom ludzi?

Przejęta tymi myślami, Akte złożyła ręce na piersiach i spytała nieśmiało tajemniczego starca:

- Kim jesteś, panie, że wszyscy ulegają ci w pokorze, a nie czują przed tobą lęku?

- Powiedziałem ci już moja córko. Nazywam się Paweł, a jestem apostołem.

- Co to znaczy apostoł? Czy to jest mówca, jak Demostenes? Może filozof, jak Seneka? U nas mowę przedstawia się wizerunkiem człowieka, któremu z ust wychodzą złote łańcuchy. Czy krępujesz ludzi swym słowem?

- Moje słowa uwalniają, a nie krępują - odpowiedział Paweł z uśmiechem.

- Nie rozumiem cię, choć mówisz moim językiem, jakbyś był Grekiem.

- Przez sześć miesięcy przebywałem w Atenach, a przez półtora roku w Koryncie.

- W Koryncie - powtórzyła Akte ze wzruszeniem. - Kiedy to było?

- Przed pięcioma laty.

- Co robiłeś w Koryncie?

- W dni powszednie szylem namioty dla żołnierzy, majtków i podróżnych, aby nie być ciężarem dla gospodarza, który przyjął mnie do siebie. W dni sabatu przemawiałem do ludu w synagodze, nauczając, jak trzeba żyć, by osiągnąć zbawienie wieczne.

- Teraz sobie przypominam, że słyszałam o tobie - rzekła Akte. - Mieszkałeś wówczas niedaleko żydowskiej synagogi, w domu szlachetnego starca Tytusa-Justusa?

- Znasz go? - zapytał Paweł z ożywieniem.

- Jest przyjacielem mojego ojca. Tak, teraz przypominam sobie dokładnie. Oskarżyli cię Żydzi i zaprowadzili do Galliona, brata Seneki, który był prokonsulem. Kiedy przechodziłeś koło naszego domu, mój ojciec podprowadził mnie do drzwi i powiedział: „Patrz, moja córko, oto sprawiedliwy”.

- Jak nazywa się twój ojciec? Jak ty się nazywasz?

- Mój ojciec nazywa się Amikles, ja jestem Akte.

- To imię nie jest mi obce. Dlaczego rozstałaś się z ojcem? Dlaczego opuściłaś ojczyznę? Jak to się stało, że znalazłem cię na brzegu morskim samą i umierającą. Opowiedz mi o wszystkim, moje dziecko. Jeżeli nie masz już ojczyzny, ja ci ją przywrócę. Jeżeli nie masz ojca, oddam ci go.

- Nigdy nie ośmielę się wyznać ci prawdy...

- Tak okropne byłoby to wyznanie?

- Umarłabym ze wstydu w połowie opowiadania.

- Ja cię ośmielę. Opowiem ci, czym byłem, byś mogła mi powiedzieć, czym jesteś; wyjawię ci moje zbrodnie, byś wyznała mi swoje błędy.

- Twoje zbrodnie?!

- Tak, moje zbrodnie. Odpokutowałem je dzięki niebu i Pan mi je już odpuścił, jak się tego spodziewam!... Słuchaj więc uważnie, moje dziecko, muszę ci bowiem opowiedzieć o czymś, czego sobie nawet nie wyobrażasz, a co

zrozumiesz dopiero później, i co będziesz czciła, gdy raz zrozumiesz.

Urodziłem się w Tarsos w Cylicji. Cezar August wynagrodził moje rodzinne miasto za okazaną mu wierność i nadał jego mieszkańcom tytuł rzymskich obywateli. Tak więc moi rodzice, oprócz bogactw, jakie posiadali, dumni byli z przywilejów, związanych z obywatelstwem stolicy świata. Tam poznałem grecką naukę i filozofię, które kwitły u nas prawie tak jak kiedyś w Atenach. Potem mój ojciec, który był Żydem z sekty Faryzeuszów, posłał mnie do Jeruzalem, bym dalej uczył się w zakonie, pod kierunkiem Gamaliela, znakomitego znawcy prawa mojżeszowego. Wtedy jeszcze nie nazywałem się Paweł lecz Saul.

Był w tym czasie w Jeruzalem młodzieniec starszy ode mnie o dwa lata. Nazywano go Jezusem, to jest Zbawicielem, i opowiadano cuda o jego urodzeniu. Anioł objawił się jego matce, pozdrowił ją imieniem Bożym i zwiastował, że została wybrana spośród innych niewiast do wydania na świat Mesjasza. Wkrótce potem panna ta poślubiła starca Józefa. Kiedy Józef zorientował się, że jego żona jest w odmiennym stanie, chciał ją po cichu odesłać do domu, by uniknąć niesławy.

Gdy tak rozmyślał, ukazał mu się we śnie anioł i rzekł:

- Józefie, synu Dawidowy, nie lękaj się przyjąć Marii, małżonki swej, albowiem co się z niej narodzi jest poczęte z Ducha Świętego.

W tamtych dniach wyszedł edykt cezara Augusta, by dokonać spisu wszystkich ludzi w państwie. Każdy szedł do swego miasta rodzinnego, by go tam zapisano. Poszedł też i Józef z Galilei z miasta Nazaretu do ziemi judzkiej, do miasta, które zwą Betlejem, aby tam zapisano go, razem z jego małżonką Marią, która była brzemienna. Gdy tam byli, jego żona urodziła syna pierwородnego, owinęła go w pieluszki i położyła w żłobie stajennym, bo nie było dla nich miejsca w żadnej gospodzie. A były to czasy, kiedy pasterze czuwali w nocy nad swymi trzodami. Im to objawił się anioł, a gdy uklękli przed nim w trwodze, rzekł:

- Nie trwóście się, bo oto zwiastuję wam radość wielką, że narodził się światu całemu Zbawiciel w mieście Dawidowym. Idźcie, a znajdziecie niemowlę zawinięte w pieluszki i położone w żłobie.

A towarzyszyły owemu aniołowi zastępy niebieskie, jasność Boża zewsząd ich oświeciła i słychać było głosy trąb i okrzyki:

- Chwała na wysokości Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli.

Gdy aniołowie odeszli do nieba, pasterze naradzali się między sobą:

- Pójdźmy aż do Betlejem, a obejrzymy Słowo, które stało się Ciałem i które nam Pan oznajmił.

Przyszli więc czym prędzej i znaleźli Marię, Józefa i dzieciątko, leżące w żłobie.

Albowiem Pan Niebios spojrział na ziemię i zobaczył, że nadszedł już czas odnowienia świata. Świat cały, taki przynajmniej, jaki znali poganie, podlegał jednej władzy. Tyr i Sydon runęły na słowa proroka; Kartagina legła w gruzach wśród piaszczystej pustyni; Grecja została podbita; Galia zwyciężona; Aleksandria zamieniona w kupę popiołów. Jeden człowiek rozkazywał stu prowincjom przez usta swoich prokonsulów, a cały świat bodło ostrze miecza, którego rękojeść była w Rzymie.

Mimo pozornej potęgi, chwiało się i trząsało w posadach pogański gmach. Powszechne zniechęcenie świadczyło, że stary świat nosi w sercu chorobę, której przesilenie nadchodzi i wkrótce zaczną się dziać rzeczy nieznane i nowe. Siła i potęga górowały nad prawem i sprawiedliwością, zamiast ludzi byli tylko niewolnicy, nie było jednej religii, a każdy czcił innego boga. Jak ci już powiedziałem, poprzedził mnie człowiek z Jeruzalem, który mawiał do możnych: - Nie czyńcie nic nad to, co wam rozkazano. - Do bogatych mówił: - Kto ma dwie szaty, niech jedną odda temu, który nie ma żadnej. - Do panów: - Dobra ziemskie są dla silnych, ale niebieskie dla słabych. - A do wszystkich: - Bogowie, których czcicie, są bogami fałszywymi. Jeden jest tylko Bóg wszechmocny, który stworzył świat. Ten Bóg jest moim Ojcem, bowiem ja

jestem Mesjaszem, którego wam pisma zapowiedziały.

Byłem wówczas ślepy i głuchy na ten święty głos. Oślepiła mnie zawiść, która sprawiła, że stałem się żarliwym prześladowcą Boga-Człowieka, którego dziś jestem niegodnym ale wiernym apostołem.

Pewnego razu przez cały dzień łowiłem z Piotrem ryby na jeziorze, ale staraliśmy się na próżno. Przyszedł na brzeg Jezus, otoczony tłumami chętnie słuchającymi Jego nauki. Ponieważ łódź Piotra była przy brzegu, Jezus wszedł do niej, usiadł i nauczał ludzi, którzy słuchali go uważnie. Gdy skończył, rzekł do Piotra:

- Wypłynij na wielką wodę i zarzuć tam sieci.

Piotr odpowiedział:

- Panie, pracowaliśmy cały dzień bez skutku, a teraz miałoby nam dopisać szczęście?

- Zrób, co powiedziałem - rzekł Jezus.

Piotr zarzucił sieci we wskazanym miejscu i złowił tyle ryb, że ledwie pomieściły się w sieci. Widząc to Piotr, Jakub i Jan, synowie Zebedeusza, upadli na kolana i przyznali, że zobaczyli cud. A Jezus rzekł im:

- Wstańcie i uspokójcie się. Teraz już nie ryby, lecz ludzi łowić będziecie.

I powiódł ich z sobą.

Gdy zostałem sam, pomyślałem: Dlaczego i ja nie miałbym znaleźć ryb tam, gdzie znaleźli je inni. - Ale choć dziesięć razy zarzucałem sieci, za każdym razem wyciągałem je puste. Wówczas zamiast uznać, że Jezus jest istotnie posłannikiem Boga, pomyślałem, iż jest on czarnoksiężnikiem i w moim sercu zapanowała zawiść.

Wkrótce Jezus opuścił Jeruzalem i zaczął nauczać w całej Judei. Już o nim zapomniałem, gdy pewnego dnia, kupcząc w kościele, jak to było w zwyczaju, dowiedzieliśmy się, że wraca okryty jeszcze większą niż przedtem chwałą. Uleczył paralityka, przywrócił wzrok ślepemu w Jerycho, wskrzesił młodzieńca w Naim. Wszędzie, gdzie się pojawiał, lud rzucał mu płaszcze pod nogi, a

uczniowie, którzy mu towarzyszyli, nieśli palmy i chwalili głośno Pana za cuda, jakie widzieli.

Gdy przybył na czele swego orszaku, wypędził kupczących z kościoła, mówiąc:

- Napisane jest, że dom mój będzie nazywany domem modlitwy, a wy uczyniliście z niego jaskinię łotrów.

Chcieliśmy stawić opór, ale postrzeegliśmy, że byłoby to nierozsądne, tak wielki zebrał się wokół tłum, a wszyscy słuchali chciwie każdego jego słowa. Wtedy ożyła moja dawna niechęć do Jezusa, a podżegał ją nowy gniew. Zawiść przerodziła się w nienawiść.

Wkrótce potem dowiedziałem się, że w wieczór Paschy<sup>14</sup>, kiedy posilał się razem z uczniami, z rozkazu arcykapłana zatrzymali go zbrojni żołnierze przyprowadzeni przez Judasza, jednego z jego uczniów. Zaprowadzono go do Piłata. Gdy ten dowiedział się, że Jezus jest z Nazaretu, odesłał go do Heroda, pod którego władzą pozostawała Galilea. Ale Herod nie znalazł nic przeciw niemu poza tym, że nazywał siebie królem żydowskim. Zwrócił go więc Piłatowi, który wezwał kapłanów, doktorów i lud, i powiedział:

- Przyprowadziliście mi tego człowieka mówiąc, że podżega lud do rokoszu, lecz ani Herod, ani ja nie stwierdziliśmy, że jest winny tej zbrodni. Skoro nie jest zbrodniarzem, każę go tylko wychłostać i puszczyć wolno.

Ale tłumy krzyczała:

- Dziś święto Paschy, a zwyczaj chce, byś uwolnił jednego winowajcę. Ukarz śmiercią tego, a uwolnij nam Barabasza.

Byłem w tym tłumie i krzyczałem, przepelniony nienawiścią:

- Daj na śmierć tego, a uwolnij nam Barabasza!

Piłat przemówił znowu, domagając się, by darowano życie Jezusowi, ale zgraja odpowiedziała:

- Ukrzyżuj go! Ukrzyżuj!

---

<sup>14</sup> Pascha - Wielkanoc.

I ja - mówił starzec, bijąc się w piersi - i ja byłem wśród tej zgrai, i ja krzychałem, co sił:

- Ukrzyżuj go! Ukrzyżuj!

Wreszcie Piłat kazał wypuścić Barabasz, a Jezusa skazał na śmierć przez ukrzyżowanie.

- Niestety! - mówił starzec, padając twarzą na ziemię. - Niestety! O Panie, przebacz mi... Poszedłem za Tobą na górę Kalwarię i przyglądałem się, jak ćwiekami przebito Ci ręce i nogi. Widziałem cios włóczni w Twym boku i jak goryczą żółci gasiłeś pragnienie. Widziałem, jak niebo powlekło się ciemnością, słońce zaćmiło się, jak zasłona świątyni rozdarła się w połowie. Słyszałem głos Twój, Panie, wołający:

- Ojcze! Ojcze! Składam duszę moją w Twe ręce...

Uczułem, jak na ten głos zatrzęsała się ziemia w posadach!... Albo raczej nie widziałem, nie słyszałem i nie czułem, bo byłem ślepy, głuchy, odrętwiały... O Panie, przebacz mi - moja wina, moja wina, moja bardzo ciężka wina!

Przez jakiś czas jeszcze starzec modlił się cicho, z głową schyloną do ziemi, gdy tymczasem Akte przyglądała się ze zdumieniem rozpacz i pokorze człowieka, którego uważała za potężnego.

Wreszcie podniósł się i rzekł:

- To jeszcze nie wszystko, moja córko. Moja nienawiść udzieliła się także uczniom Proroka. Zajęci głoszeniem Słowa Bożego, wybrali spośród siebie siedmiu diakonów dla rozdawania jałmużny. Lud pochwycił jednego z tych diakonów, który nazywał się Szczepan, i doprowadził przed Radę, gdzie fałszywi świadkowie oskarżyli go o bluźnierstwa przeciw Bogu, Mojżeszowi i jego prawu. Szczepana osądzono. Prześladowcy rzucili się na niego, wywlekli za bramy Jeruzalem, aby go tam ukamienować, zgodnie z prawem o bluźniercach. Byłem wśród tych, którzy domagali się śmierci pierwszego męczennika. Nie rzucałem wprawdzie kamieni, ale pilnowałem płaszczy tych, którzy go kamienowali. A przecież mnie także obejmowała modlitwa tego

świętego męczennika, gdy wołał w wielkim uniesieniu do Jezusa Chrystusa, przebacząc nam swą krzywdę:

- O Panie, odpuść im ten grzech, bo nie wiedzą, co czynią!

Wtedy już zbliżała się chwila mojego nawrócenia. Naczelnicy synagogi, widząc mój zapał w prześladowaniu młodego Kościoła, posłali mnie do Syrii, bym schwytych tam chrześcijan sprowadzał do Jeruzalem. Szedłem nad brzegami Jordanu od rzeki Joher aż do Kafarnaum. Znowu ujrzałem brzegi jeziora Genezareth, gdzie kiedyś byłem świadkiem cudownego połowu. Znalazłem się u podnóża łańcucha Hermon. Gdy dochodziłem do wierzchołka góry, z której rozlega się widok na dolinę Damaszku i dwadzieścia siedem rzek tam spływających, uczułem nagle jakby silne uderzenie i otoczyło mnie światło niebieskie. Upadłem na ziemię jak martwy i usłyszałem głos:

- Saulu! Saulu! Dlaczego mnie prześladujesz?

- O Panie - rzekłem drżąc - kim jesteś i czego chcesz ode mnie?

- Jestem Jezus, którego prześladujesz i chcę, byś głosił moje słowa, ty, który dotąd usiłowałeś je zagłuszyć.

- Panie - odpowiedziałem jeszcze bardziej przerażony - Panie, co mam czynić?

- Wstań i udaj się do miasta, tam się dowiesz.

Towarzyszący mi ludzie byli równie przerażeni jak ja, słyszeli głos, ale nikogo nie widzieli. Gdy głos ucichł, wstałem i otworzyłem oczy. Otaczała mnie noc. Byłem ślepy. Wyciągnąłem, więc ręce i poprosiłem towarzyszy:

- Prowadźcie mnie, bo nic nie widzę.

Jeden z nich wziął mnie za rękę i zaprowadził do Damaszku. Spędziłem tam trzy dni nie widząc, nie jedząc i nie pijąc.

Trzeciego dnia zbliżył się do mnie jakiś człowiek. Nie znałem go. Wiedziałem tylko, że nazywa się Ananiasz. Wziął mnie za rękę i rzekł:

- Saulu, mój bracie, Jezus, Syn Boży, który ukazał ci się w drodze, przysłał mnie, byś odzyskał wzrok i został przejęty Duchem Świętym.

Poczułem jakby skorupa spadła z mych oczu i przejrzałem. Upadłem na kolana i prosiłem o chrzest święty.

Odtąd równie żarliwy w wierze, jak dawniej zażarty w nienawiści, przeszedłem Judeę od Sydonu aż do Arad, od góry Seir aż do potoku Bezer. Przebiegłem Azję, Bitynię, Macedonię. Widziałem Ateny i Korynt, byłem na Malcie i w Syrakuzach. Stamtąd, idąc najpierw wzdłuż wybrzeża Sycylii, dotarłem do portu Puteoli. Jestem tu od piętnastu dni. Czekałem na listy z Rzymu, które otrzymałem wczoraj. Moi bracia wzywają mnie do siebie. Nadchodzi dzień triumfu, a Bóg toruje nam drogę. Z jednej strony nadzieja, z drugiej szaleństwo, podkopują stary świat u podstawy i u szczytu.

- Mój ojciec - zawołała Akte - widzę, że jesteś święty, że gardzisz wiarą mych ojców i wzdragasz się na wspomnienie władcy świata. Jakże mogę powiedzieć ci, co czuję!

- Co ty możesz mieć wspólnego z tym okrutnym człowiekiem? - zapytał Paweł zdziwiony.

- Mój ojciec - Akte ukryła twarz w dłoniach - opowiedziałeś mi swoje życie i chcesz, bym teraz ja się zwierzyła. Jestem występna... Jestem kochanką Nerona!

- To tylko błąd, moje dziecko.

- Lecz ja go kocham - zawołała Akte - kocham nad wszystko na świecie.

- Tak - rzekł cicho starzec - to ciężki grzech.

Ukląkł i zaczął się modlić.

## II

Gdy nadeszła noc, Paweł narzucił płaszcz, wzuł sandały, wziął kij i zwrócił się do Akte. Była już gotowa do drogi. Nie pytała dokąd ją zaprowadzi, pragnęła tylko znaleźć się jak najdalej od Nerona. Okropne przeżycia i strach, towarzyszące jej poprzedniego dnia, utwierdziły ją jeszcze w tym postanowieniu. Czowała, że gdyby znowu ujrziała tego człowieka, który tak

zawładnął jej sercem, zmieniłaby zamiar. Jej miłość ożyłaby z nową siłą, porwałoby ją to burzliwe życie, jak ocean pochłania ciche wody strumienia. Wbrew wszystkiemu jej kochanek był dla niej zawsze Lucjuszem, a nie Neronem. Zwycięzca igrzysk i cesarz to byli dwaj ludzie całkiem różni. Nie mogła pozbyć się wrażenia, że przeżywa jednocześnie dwie różne miłości; swoją szczerą i głęboką, którą go darzyła i drugą, miłość Nerona, która jej zdawała się być snem.

Gdy wyszła z chaty, jej spojrzenie skierowało się ku zatoce, z którą wiązały ją tak straszne przeżycia. Woda lekko falowała, a światła mizeńskiej latarni sięgały aż na jej drugą stronę. Spostrzegła ciemną linię drzew otaczających Bauli, gdzie, jak sądziła, przebywał Lucjusz. Zatrzymała się i westchnęła. Paweł czekał na nią przez chwilę, potem zbliżył się i zapytał łagodnie:

- Zostajesz?

- Mój ojciec - odparła, nie mając odwagi wyjawzić, co ją naprawdę powstrzymuje. - Wczoraj opuściłam Nerona razem z Agrypiną, jego matką. Okręt, na którym płynęliśmy, rozbił się. Ratowałyśmy się obie i rozstałam się z nią w chwili, gdy jakaś łódź pospieszyła jej z pomocą. Przed opuszczeniem tych brzegów chciałabym się dowiedzieć, co się z nią stało.

Paweł wyciągnął rękę ku willi Juliusza Cezara i wskazując wielką łunę, jaśniejącą między jej zabudowaniami a drogą mizeńską, powiedział:

- Widzisz ten płomień?

- Widzę - odparła.

- To płonie jej stos.

I jakby był pewien, że jego słowa rozproszą wszelkie jej wątpliwości, ruszył w drogę nic więcej nie mówiąc. Zrezygnowana Akte poszła za nim.

Przez pewien czas szli brzegiem morza. Minęli Puteoli, kierując się ku Neapolowi, lecz obeszlili to miasto i podążyli drogą do Kapui. W połowie nocy spostrzegli Atellę. Tu oczekiwał ich Syllas. Starzec zamienił z nim kilka słów i już we trójkę ruszyli przez pola. Wkrótce przybyli do stojącego na uboczu

domu. Czekano tu na nich, bo gdy tylko Sylas zapukał, drzwi się otworzyły.

Cała rodzina, wraz ze służbą, zgromadziła się w wytwornym atrium. Gdy Paweł ukazał się na progu, wszyscy uklękli. On wznosił ręce i pobłogosławił ich. Pani domu zaprowadziła ich do triclinium i zanim zasiedli do wieczerzy, sama umyła nogi apostołowi. Akte nie znała nowej religii, a pochłonięta własnymi myślami prosiła, by pozwolono się jej oddalić. Młoda dziewczyna, osłonięta jak westalka, zaprowadziła ją do swej komnaty i tam przyniosła dla niej posiłek.

Akte dziwiła się wszystkiemu. W domu jej ojca nazywano chrześcijan sektą szalonych marzycieli, którzy śnią o niedoścignionych rzeczach. Na dworze cesarza utrzymywano, że są to ludzie bezbożni, przewrotni, oddający się najohydniejszym praktykom, dla których nie ma dość surowej kary. Upłynął zaledwie dzień, odkąd poznała Pawła i chrześcijan, a już zdążyła się przekonać, że sądy o nich nie były prawdziwe. Zorientowała się, że są to ludzie pełni miłości i poświęcenia, od razu też przekonała się do wiary nakazującej wspierać biednych, otaczać opieką nieszczęśliwych, wybaczać krzywdy i jeszcze modlić się za tych, którzy nas krzywdzą...

Następnej nocy udali się w dalszą drogę. Tym razem szli dłużej. Zostawili po prawej ręce Kapuę i zatrzymali się na brzegach Volturnu. Po chwili z małej zatoki wypłynęła łódź. Paweł porozumiał się z prowadzącym ją wioślarzem, wsiedli do niej oboje, a gdy już wysiadali, Paweł chciał zapłacić, ale przewoźnik nie przyjął pieniędzy. Ukląkł tylko, ucałował kraj szaty apostoła i długo jeszcze modlił się, choć starzec już się oddalił.

Zbliżał się świt, gdy do podróżnych przyłączył się ich wczorajszy przewodnik, który i tym razem znalazł dla nich schronienie. Była to uboga chata, w której dostali kęs twardego chleba, ale podano go serdecznie i szczerze. Przyjął ich człowiek z piętnem niewolnictwa na czole i żelaznymi obręczami na szyi i nogach. Był pasterzem u bogatego właściciela willi, wypędzał w pole tysiące owiec, a nie miał nawet jednej baraniej skóry, by się nią okryć.

Powitawszy gości wskazał im na stole chleb i wodę, potem przygotował w kącie izby poślanie z trzciny i wrzosu. Jego gościnność z pewnością większe uznanie zyskała w oczach Pana, niż wystawne przyjęcie bogacza.

Paweł i Akte usiedli przy stole, a gospodarz wyszedł do przyległej izby, skąd dobiegały płacz i jęki. Akte oparła rękę na ramieniu Pawła i rzekła:

- Słyszysz, mój ojczy?

- Słyszę, płaczą tam gorzkimi łzami, ale zasmucony będzie pocieszony.

Po chwili wrócił gospodarz i nic nie mówiąc usiadł w kącie izby, oparł ręce na kolanach, a twarz ukrył w dłoniach.

Akte, widząc jego przygnębienie, uklękła przy nim i szepnęła:

- Dlaczego nie zwierzysz się apostołowi? Może znalazłby jakąś pociechę na twój smutek, może ulżyłby twemu bólowi.

- Naszego smutku i bólu nie można ukoić słowami - odparł niewolnik.

- Człowieku słabej wiary - rzekł Paweł wstając - dlaczego wątpisz? Nie są ci znane cuda, czynione przez Chrystusa?

- Znam je, ale Chrystus już umarł - westchnął niewolnik, kiwając głową. - Żydzi go ukrzyżowali i jest teraz w niebie, po prawicy swojego Ojca. Niech będzie błogosławione Jego imię!

- Nie wiesz - rzekł Paweł - że przekazał swą władzę apostołom?

- Moje dziecię, moje biedne dziecię!... - zapłakał tylko niewolnik.

Głuchy jęk rozległ się w sąsiedniej izbie, jakby echo odpowiedziało na ten wybuch rozpacz.

- Ojczy - Akte zwróciła się do Pawła - jeżeli możesz przynieść im ulgę, zrób to, błagam cię. Choć nie znam przyczyny ich rozpacz, jestem nią głąboko poruszona. Spytaj, co mu jest, może ci się zwierzy.

- Wiem, co go trapi - westchnął starzec - brak mu wiary.

- Jak mogę wierzyć? - zawołał niewolnik. - Czego się mam spodziewać? Całe moje życie było pasmem boleści. Od najmłodszych lat nie doznałem chwili radości. Gdy poślubiłem swoją żonę, zostałem ojcem kalekiego i niemego

dziecka. Ale choć dotknął je gniew niebios, kochaliśmy je całym sercem. Wczoraj sprzedano nasze dziecko tym nikczemnikom, którzy frymarczą ludzką niedolą, bogacą się na ludzkiej ułomności. Kupują biedne kaleki, każą im żebrać dla siebie na placach Rzymu. Kaleczą im ciało i codziennie na nowo otwierają rany, by się jątrzyły... Jutro porywają moje dziecko na te męczarnie, uprowadzają to biedne maleństwo, które nawet nie może się uskarżyć ani wezwać naszej pomocy.

- A gdyby Bóg uleczył twoje dziecko? - zapytał starzec.

- O! Wtenczas by je nam zostawiono - zawołał niewolnik - bo dla tych nikczemników ważne jest tylko jego kalectwo. Gdyby to dziecko chodziło i mówiło, byłoby takie, jak wszystkie inne i miałyby wartość dopiero wtedy, kiedy dorośnie.

- Zaprowadź mnie do niego - rzekł Paweł.

Niewolnik spojrział na apostoła ze zdumieniem i nadzieją. Otworzył drzwi i wprowadził starca do sąsiedniej izby. Tam, na słomie rozesłanej na ziemi, siedziało pięcioletnie dziecko, głuche i nieme, a obok niego leżała matka pogrążona w rozpacz.

Twarz apostoła wyrażała skupienie. Wzniósł oczy ku niebu i przez dłuższą chwilę stał nieruchomo zatopiony w modlitwie, po czym wyciągnął rękę ku dziecku i powiedział:

- W imię Boga żywego, który stworzył niebo i ziemię, powstań i mów!

Dziecię wstało i zawołało wyraźnie:

- O Panie! Panie! Niech będzie błogosławione święte imię Twoje!

Matka krzyknęła z radości, ojciec padł na kolana. Paweł szepnął do Akte:

- Oto rodzina niewolników, której szczęścia pozazdrościłby najmożniejszy na ziemi.

Kolejnej nocy udali się w dalszą drogę i przybyli do Fondi. Podczas tych nocnych i tajemniczych wędrówek Akte oglądała znowu te wszystkie miejsca, w których dawniej była towarzysząc Neronowi. To w Fondi tak wspaniale

podejmował cezara Galba, ów starzec, któremu wyrocznia obiecywała panowanie. Neron przypomniał sobie wtedy tę przepowiednię. Natychmiast po powrocie do Rzymu wysłał Galbę jako wielkorządcę do Hiszpanii. Starzec czuł się bezpieczniej z dala od władcy i udał się tam z ochotą. Przed wyjazdem wyzwolił swych najwierniejszych niewolników i właśnie u jednego z nich, nawróconego na wiarę chrześcijańską, Sylas przygotował spoczynek dla naszych podróżnych.

Niewolnik był ogrodnikiem i w dniu wyzwolenia otrzymał w darze od swego pana mały domek, położony we wspaniałych ogrodach. Z okien domku Akte ujrzała w blasku księżyca willę, w której mieszkała z Lucjuszem. Jedną z tych dwóch podróży zdawała się jej teraz sennym marzeniem. Poznała wtedy tyle nowych rzeczy, ale też wyzbyła się wielu złudzeń i doświadczyła wielu bolesnych rozczarowań. W tak krótkim czasie wszystko zmieniło się wokół. Kwitnące jeszcze niedawno ogrody, po których przechadzała się z Neronem, zwiędły i opustoszały, tak jak zwiędło jej życie, rozwiało się szczęście, a w jej sercu pozostała tylko miłość, nadal wielka i płomienna.

Podróżowali jeszcze przez trzy kolejne noce, kryjąc się z nadejściem dnia. Zawsze poprzedzał ich Sylas i zawsze zatrzymywali się na spoczynek u chrześcijan, nowa wiara szerzyła się bowiem zwłaszcza wśród niewolników i prostego ludu. Trzeciego dnia opuścili Welletri, tę starożytną stolicę Wolsków, która była świadkiem śmierci Kariolana i narodzin Augusta. Gdy na niebie pojawił się księżyc, stanęli na wierzchołku góry Albano. Tym razem Sylas szedł z nimi, wyprzedzając ich tylko o jakieś trzysta, czterysta kroków. Koło grobu Askaniusza zatrzymał się, a gdy podeszli do niego, wyciągnął rękę wskazując jaśniejące niedaleko liczne światła i rzekł krótko:

- Rzym!...

Paweł przyklęknął, dziękując Panu, że po tylu niebezpieczeństwach dotarł do kresu podróży. U Akte widok stolicy świata przywołał wspomnienia i pod nawałem wrażeń zrobiło się jej słabo. Oparła się o grobowiec, a po chwili

zwróciła do Pawła:

- Mój ojczy! Szłam za tobą nie pytając, dokąd idziemy. Gdybym wiedziała, że do Rzymu... chyba nie miałabym odwagi.

- Nie idziemy do Rzymu - odparł starzec.

Na drodze Appijskiej ukazała się gromada jeźdźców. Sylas zszedł więc na bok prawą stroną doliny, a Paweł i Akte podążyli za nim w milczeniu.

Szli między drogami Latyńską i Appijską. Pierwsza wiodła do Morina przy jeziorze Albano, druga do świątyni Neptuna przy Antium. Po pewnym czasie, kiedy już zostawili za sobą stojącą po prawej stronie świątynię Fortuny, a po lewej Merkurego, weszli w dolinę Egeryi i skierowali się wzdłuż brzegu rzeczki Almon. Potem znowu zawrócili na prawo, minęli rząd wielkich skalnych głazów, które wyglądały jak oderwane potężnym wstrząsem od większej całości i znaleźli się nagle przed wejściem do jaskini.

Sylas szedł pewnie do środka, przywołując cicho swych towarzyszy, ale Akte wzdrygnęła się mimo woli na widok jej czarnego otworu, przypominającego paszczę jakiejś bestii. Paweł poczuł na swym ramieniu dotyk jej ręki, jakby chciała go powstrzymać. Zrozumiał jej strach, bo rzekł:

- Nie bój się. Pan jest z nami.

Akte westchnęła, raz jeszcze spojrzała na usiane gwiazdami niebo i weszła do jaskini.

Po przejściu kilku kroków w tak głębokiej ciemności, że kierowali się tylko głosem Sylasa, stanęli koło podpierającego sklepienie filaru. Ich przewodnik wydobył krzesiwo, skrzesał ogień, zapalił od niego pochodnię, którą wyjął z wydrążenia w skale i powiedział:

- Teraz jesteśmy już bezpieczni. Nawet gdyby ścigali nas wszyscy żołnierze Nerona, nie znajdą tej kryjówki.

Akte rozejrzała się dokoła, ale w pierwszej chwili nie mogła niczego dostrzec. Płomień pochodni chwiał się i drgał silnie w podmuchach wiatru, rzucając migotliwe i niepewne światło, które prześlizgiwało się tylko po

przedmiotach, nie oświetlając ich wyraźnie. Dopiero gdy wiatr ustał, a wzrok przyzwyczaił się do półmroku, można było odróżnić sklepienie rozległej jaskini, która miejscami zwężała się, tworząc ciemne korytarze, lub rozszerzała, przechodząc w przestronne pieczary. Podróżni szli wciąż za Sylasem, który najwidoczniej znał dobrze to miejsce. Akte stąpała niepewnie, odczuwając lęk i dziwne przygnębienie. Nagle stanęła przerażona, chwytając jedną ręką kraj płaszcza idącego obok Pawła, a drugą wskazując długie rzędy grobów wykutych w ścianach podziemia. W głębi, wśród tych ponurych ścian ujrzeli kobiety w białych szatach, snujące się jak widma z pochodniami w ręku i podążające w jedną stronę. Po chwili usłyszeli cichy jeszcze śpiew chóru, uroczysty i zarazem łagodny. Lampy, przytwierdzone gdzieś do słupów, oświetlały już nieco drogę. Było tu więcej grobów, więcej cieni posuwających się postaci i coraz wyraźniej słyhać było śpiew. Zbliżali się do podziemnego miasta, którego okolice zaczynały się zaludniać żyjącymi i umarłymi. W wielu miejscach leżały rozsypane na ziemi lilie i róże, więdnięce z dala od powietrza i słońca. Akte zbierała te kwiaty, jak ona dzieci dnia i światła i jak ona żywcem zagrzebane w grobie. Ułożyła z nich bezwonny i blady bukiet. Była to jakby iskierka nadziei tłąca się na spopielałych resztkach minionego szczęścia. Za kolejnym zakrętem jednej z tysięcy dróg owego labiryntu ujrzeli rozległą grotę, jakby podziemną bazylikę, oświetloną lampami i pochodniami, a w niej tłum mężczyzn, kobiet i dzieci. Grupa młodych dziewcząt, okrytych długimi białymi zasłonami, śpiewała jakąś pieśń. Ten chór słyszała wcześniej Akte. Kapłan przygotowywał się właśnie do odprawienia obrzędu Bożych tajemnic, lecz zatrzymał się przed ołtarzem, odwrócił do wiernych i rzekł:

- Jest między nami ktoś godniejszy niż ja, by przekazać wam Słowa Boże, bo słyszał je z ust samego Zbawiciela. Pawle, zbliż się i pobłogosław braci.

Wszyscy od dawna czekali na zapowiadane przybycie apostoła. Tłum padł na kolana. Akte, choć była poganką, uczyniła to samo. Przyszły męczennik zbliżył się do ołtarza.

Znajdowali się w katakumbach!...

### III

Było to całe miasto pod innym miastem. Jest pewne podobieństwo w dziejach ziemi, narodów i pojedynczych jednostek. Ziemia ma swoje okresy wstrząsów, narody swoje rewolucje, człowiek choroby. Wszystko ma również swój okres młodości, dojrzałości i starości. Różni się tylko czas trwania tych okresów. Dla ziemi liczy się on w tysiącach lat, dla narodów liczą się wieki, dla ludzi dni.

W tym ciągu występują co pewien czas epoki przełomowe, kiedy w starym, wynikającym z przeszłości porządku pojawia się element nowy, jeszcze nieznany i niezrozumiały, zapowiadający przyszłość. W badaniach dziejów przedstawia się to jako naturalny bieg wydarzeń, w oczach wiary są to zrządzania opatrności. Rzym zaczął właśnie doświadczać wstrząsów poprzedzających zwykle upadek lub narodziny potęg. Pojawiły się już załączki nowego, co miało dopiero nadejść, a czemu przeciwstawiał się mocno zakorzeniony świat pogański. Dożywała swych dni stara cywilizacja, w której zaczął kiełkować pierwiastek nowy, rozsadzający od dołu i od środka krępującą życie zewnętrzną powłokę. Jeszcze niewidzialny, podziemny, jak owe drugie miasto, niósł z sobą zarazem zniszczenie i odrodzenie, śmierć i życie, ciemność i światło. Codziennie w tym zewnętrznym świecie pogaństwa miały miejsce dziwne wydarzenia, których świat ten nie rozumiał w swym zaślepieniu, a które poeci rozgłaszali jako cuda. Były to dziwne głosy dobywające się z podziemi, przypisywane bóstwom piekieł, wypadki znikania mężczyzn, kobiet, a nawet całych rodzin, pojawiania się ludzi dawno już uznanych za zmarłych, którzy wracali z królestwa cieni głosząc przestrogi i dziwne przepowiednie. Podziemny ogień wprawiał w stan wrzenia świat na górze, wyzwalał przy tym wszystkie złe i dobre namiętności, jakby w jednym tyglu topiono złoto i ołów. Lecz złoto

wsiąkało w ziemię, a ołów zostawał na powierzchni. Właśnie katakumby były tym tajemnym miejscem, do którego kropla po kropli ściekało owo złoto, wszystko co dobre, czyste i szlachetne, gdzie gromadził się skarb przyszłości.

Były to rozległe, opuszczone kopalnie. Cały Rzym, ze swymi domami, pałacami, teatrami, łaźniami, cyrkami, wodociągami, wybudowano z kamienia tu wydobytego. Z tego wnętrza narodził się gród Romulusa i Scypiona. Ale od czasów Oktawiana, kiedy kamień zastąpiono marmurem, w tych przestronnych galeriach nie rozbrzmiewało już echo kroków pracujących robotników. Miejscowy gład stał się zbyt pospolity, cesarowie zażądali babilońskiego porfiru, granitu z Teb, miedzi z Koryntu. Pod Rzymem zostały opuszczone, wyludnione i zapomniane podziemne jaskinie, które teraz z wolna i tajemniczo zaludniał rodzący się chrześcijaństwo. Najpierw były kościołem, potem schronieniem, wreszcie stały się miastem.

Kiedy Paweł schodził do nich, prowadząc Akte, były jeszcze tylko schronieniem. Wszyscy uciśnieni, nieszczęśliwi i potępieni znajdowali tu przytułek, pociechę i grób. Kryły się tu nieraz całe rodziny, bo nowa wiara liczyła już tysiące wyznawców. Ale wśród niezliczonych tłumów, zamieszkujących miasto na powierzchni, nikt nie zwracał uwagi na to, co dzieje się pod ziemią. Zjawisko przenikania do podziemi nie było jeszcze tak powszechne, by rzucać się w oczy.

A jednak życie pierwszych chrześcijan nie upływało wyłącznie na chronieniu się przed coraz bardziej dokuczliwymi i straszliwymi prześladowaniami. Tworzyli oni zwartą jedność, którą łączyło wspólne umiłowanie Chrystusa. Bronili się, ostrzegali przed niebezpieczeństwami, pomagali sobie. Ci spośród wyznawców nowej wiary, którzy musieli mieszkać w Rzymie, z racji swego zawodu czy pełnionych funkcji, często w ostatniej chwili byli ratowani przez braci kryjących się w katakumbach. Zdarzało się, że nagle pod nogami chrześcijanina, któremu groziło niebezpieczeństwo, otwierało się wejście do tajemnego korytarza, a więźniowie znikali wraz ze swymi

dozorcami. Zdarzało się jednak i tak, że było za późno na ratunek. Wówczas chrześcijanin stawał się męczennikiem. Jedni umierali męczeńską śmiercią uduszeni w więzieniu Tullusa, innych ścinano na placu publicznym lub strącano ze skały Tarpejskiej, jeszcze innych krzyżowano na Eskwilinie. Zawsze jednak znalazło się kilku roztropnych starców czy śmiałych młodzieńców, a nawet kilka odważniejszych kobiet. Przebywali oni kręte ścieżki góry przeklętej, gdzie wyrzucano trupy ludzi skazanych, aby pożarły je drapieżne zwierzęta i ptaki, zabierali pokaleczone ciała do katakumb, gdzie były przedmiotem czci. W obliczu takiej męczeńskiej śmierci zachęcano do wytrwania w wierze i przyrzekano tak żyć i umierać, jak żył i umierał na ziemi ten, którego wybrali, a który poprzedził ich w drodze do nieba.

Często zdarzało się i tak, że śmierć nie została wymierzona przy blasku słońca, ale sama nawiedzała katakumbę, tam znajdując swą ofiarę. Wtedy cała ta chrześcijańska rodzina oplakiwała swe dziecko. Ciało zmarłego owijano całunem. Jeśli to była dziewczyna, wkładano jej różany wianek. Gdy był to mężczyzna lub starzec, dawano mu palmę do ręki. Kapłan odmawiał nad ciałem ostatnią modlitwę, potem umieszczano je w wykutym wcześniej kamiennym grobie, gdzie miało spoczywać aż do dnia zmartwychwstania.

Te właśnie groby widziała Akte, gdy po raz pierwszy weszła do jaskiń. One to wzbudziły w niej głęboki strach, który wkrótce zmienił się w smutek. Młoda dziewczyna, jeszcze poganka sercem, ale już chrześcijanka duszą, przyglądała się im nieraz całymi godzinami. Na niektórych matka, żona lub zrozpaczona córka wyryła końcem noża imię ukochanej osoby i nakreśliła religijny symbol, na innych widniało całe zdanie, wyrażające ból czy nadzieję. Na wszystkich prawie był krzyż, znak poświęcenia się dla ludzi, przypominający im cierpienie Boga-Człowieka. Były też groby z wyrytym świecznikiem o siedmiu ramionach, jaki oświecał kościół jerozolimski, gołębicą, ową posłanką miłosierdzia, przynoszącą ziemi zerwaną w niebieskich ogrodach oliwną gałązkę, gdzie indziej widniał baranek, ryba, okręt, kotwica, palmy i inne godła

chrześcijańskie.

Czasem Akte wracała w swych wspomnieniach do chwil szczęścia i wówczas szukała promieni światła dziennego, przysłuchiwała się odgłosom z zewnątrz. Siadała wtedy w ustronnym miejscu, wsparta o wielki filar, ze złożonymi na krzyż rękami i spuszczoną głową, okryta długą zasłoną. Wyglądała wtedy jak nagrobny posąg i tylko westchnienie lub nerwowy dreszcz zdradzały, że jest istotą żyjącą. W takich chwilach Paweł, który wiedział, co się działo w jej duszy i który był świadkiem, jak Chrystus przebaczył Magdalenie, powierzał czasowi i Bogu ukojenie jej strapień. Prosił też inne dziewczęta, wskazując im zasmuconą Akte:

- Módlcie się za tę nieszczęsną, by Pan przebaczył jej, by stała się podobna do was i by mogła modlić się z wami.

Nie wiadomo, czy modlitwy dziewcząt, czy czas i łzy łagodziły gorzkość bólu, dość, że młoda Greczynka uspokajała się i coraz częściej przyłączała się do swych towarzyszek.

Gdy ukryci w katakumbach chrześcijanie oczekiwali triumfu swej wiary, szukając pokrzepienia w naukach mistrza i gotując się do walki z pogaństwem, wypadki szybko toczyły się nad ich głowami. Chwiały się w posiadach cały pogański świat, jak pijany człowiek. Neron przewodził wyuzdaniu i rozpuście, sycił winem i krwią. Śmierć Agrypiny zerwała ostatnie wędzidło, które go hamowało. Zawsze bowiem w pewnym stopniu bał się jej. Z chwilą, gdy zgasły płomień jej stosu, w nim zgasły wszelkie ludzkie uczucia, rozwiązał się wszelki ślad sumienia. Początkowo nie opuszczał Bauli, obawiając się skutków matkobójstwa. Choć w nic nie wierzył i wszystkim pogardzał, wydawało mu się, że ta zbrodnia nie pozostanie bez zemsty. Sprowadzi na niego gniew bogów i ludzi. Oczekiwał w Bauli na nowiny, które mieli mu przynieść specjaliści wysłannicy. Tymczasem Senat przysłał do niego okazałą delegację z powinszowaniem, że uniknął nowego niebezpieczeństwa i oznajmieniem, iż nie tylko Rzym, ale wszystkie miasta Italii składają ofiary w świątyniach i dziękują

bogom za cudowne ocalenie cezara.

Co do bogów, ci okazali się mniej pobłażliwi, jeśli oczywiście wierzyć Tacytowi, który mógł im przypisać co nieco z własnej surowości. Nie mogąc bowiem obudzić w matkobójcy sumienia, zesłali na niego bezsenność, podczas której z pobliskich wzgórz dolatywał go nieustannie dźwięk trąb, a od grobu matki dochodziły go jęki i okropne złorzeczenia. Opuścił więc Bauli i udał się do Neapolu.

Tam spotkał Poppeę, która rozbudziła w nim dawną nienawiść do Oktawii, siostry Brytannika. Straszne było życie biednej Oktawii. Najpierw, nie zważając na jej wielką miłość, wydarto ją narzeczonemu i pchnięto w objęcia znienawidzonego Nerona. Potem w dniu wesela zaczęła się jej żałoba, bo od chwili, gdy przestąpiła próg domu małżonka, widziała morderstwo ojca i brata, i musiała walczyć z możniejszą rywalką. W dwudziestym roku życia wysłano ją z Rzymu do odległej Kampanii i była pilnie strzeżona przez centuriona i żołnierzy, którzy tylko czekali rozkazu, by z dworzaków stać się katami. Samotna, nieszczęśliwa i zapomniana oswajała się z myślą o śmierci. Widać nie dość było tego wszystkiego. Sam fakt, że żyła, nie dawał spokoju Poppei. Dręczyło ją to, mimo że miała nieograniczoną władzę, bowiem uroda, młodość i nieszczęścia Oktawii stały się głośnie. Ubolewali nad nią Rzymianie, lecz to współczucie i litość były dla niej niebezpieczne, mogły ją raczej zgubić niż ocalić. Nie stała za nią siła, która mogłaby ją obronić.

A jednak nawet Neron, mimo swej nienawiści do niej i usilnych nalegań Poppei, wahał się i nie chciał skazać na śmierć. Aż pewnego dnia tłum zaczął się domagać powrotu Oktawii z wygnania. Posągi Poppei wywrócono i unurzano w błocie. Zaraz zjawily się strażnicy, które biczami rozpędziły zuchwalców i ustawiły wizerunki Poppei na podstawach. To specjalnie spowodowane zajście trwało godzinę i kosztowało milion sestercji, tyle było dla Poppei warte pozbycie się rywalki.

Po tym incydencie udała się z Rzymu do Neapolu, mówiąc, że uciekła przed

mordercami opłaconymi przez Oktawię. Piękna w swym zmyślonym strachu, padła na kolana przed Neronem. Wtedy posłał on Oktawii rozkaz zadania sobie śmierci.

Na próżno nieszczęśliwa wygnanka chciała się wyrzec wszelkich godności, poprzestając na tytułach wdowy i siostry cezara. Nie pomogły ani powołanie się na ród Germaników, którego i ona i Neron byli potomkami, ani wzywianie imienia Agrypiny, która za swego życia czuwała nad jej bezpieczeństwem. Nic nie zmieniło nieludzkiego wyroku. Gdy zaś Oktawia nie miała odwagi zadać sobie ciosu, związano jej ręce, w czterech miejscach ponacinano jej żyły, potem jeszcze przecięto wszystkie arterie, a gdy mimo wszystko krew uchodziła za wolno, uduszono ją w parze wrzącej kąpieli. Żeby zaś rywalka nie mogła nawet podejrzewać, że zabito właściwą osobę, a nie podstawioną ofiarę, odcięto zamordowanej głowę i zaniesiono Poppei. Ta położyła ją na swoich kolanach, odchyliła zamknięte powieki, a widząc groźbę w tym zimnym i martwym spojrzeniu, przekłuła oczy złotymi szpilkami, które tkwiły w jej włosach.

Neron powrócił teraz do Rzymu. Jego wyuzdanie i szaleństwo sięgały szczytu. Organizował igrzyska, na których senatorowie walczyli zamiast gladiatorów; zawody muzyczne, podczas których karano śmiercią wszystkich, co nie dość głośno przyklaskiwali cesarowi. Podczas pożaru, który strawił połowę Rzymu, Neron stał klaszcząc w ręce i śpiewał przy akompaniamencie kitary poemat Homera o zburzeniu Troi. Wreszcie sama Poppea zrozumiała, że czas najwyższy powstrzymać szaleństwa kochanka, inaczej bowiem te niesłychane wybryki pozbawią ją jakiegokolwiek wpływu.

Wymawiając się ciążą odmówiła pójścia do teatru w dniu, w którym miał śpiewać sam Neron. Odmowa ta obraziła go do żywego. Prośbę zamienił na rozkaz. Odmówiła znowu, pewna siły swych wdzięków. Wtedy rozwścieczony Neron zabił ją kopnięciem.

Potem sam wszedł na mównicę i wygłosił mowę żałobną. Nie mogąc chwalić cnót znanej z rozpusty kochanki, chwalił jej piękność. Sam też

wymyślił dla niej obrzęd pogrzebowy. Nie pozwolił spalić jej ciała na stosie, tylko polecił je zabalsamować, wzorem władców Wschodu. Pliniusz zapewnia nawet, że przez cały rok Arabia nie zużyła tyle kadzideł i mirry, ile spalił ich cesarz na pogrzebie tej, która kazała kuć złotem swoje muły i potrzebowała dziennie mleka od pięciuset oślic na swe kąpiele.

Neron zaś szalał coraz bardziej. Doszło do tego, że o własne zbrodnie oskarżył chrześcijan. Wzmogły się więc ich prześladowania. Jednocześnie wzrastała gorliwość katechumenów<sup>15</sup>, podsycana przez niebezpieczeństwa.

Codziennie nowym wdowom i nowym sierotom nieść trzeba było słowa pociechy, każdej nocy chronić ciała skazanych przed drapieżnymi zwierzętami i ptakami. Ale Neron spostrzegł, że znikają ciała zamordowanych chrześcijan i urządził niedaleko Eskwilinu zasadzkę. Pewnej nocy, gdy Paweł prowadził kilku chrześcijan, by zabrać zwłoki męczenników do katakumb, został wraz z towarzyszami schwytany i uwięziony.

Ocalał tylko Sylas i on przyniósł do katakumb tę straszną wiadomość. Właśnie wierni odprawiali modły. Przyniesiona przez Sylasa wieść raziała ich jak grom. Wszyscy padli na kolana, prosząc Pana o ratunek dla apostoła i jego towarzyszy. Tylko Akte nie uklękła, Chrystus nie był jeszcze jej Bogiem. Rozgoryczeni chrześcijanie zarzucili jej niewdzięczność. Ona jednak nakazała milczenie, a gdy się uciszono, powiedziała:

- Jutro pójde do Rzymu i postaram się ocalić Pawła.
- Ja zaś - zawołał Sylas - wracam tam dziś, by umrzeć razem z nim, jeśli twoje starania nie przyniosą skutku.

#### IV

Następnego ranka Akte wyszła z katakumb i udała się do Rzymu, aby spełnić dane przyrzeczenie. Szła sama, okryta stołą, z zasłoną zwaną rico na

---

<sup>15</sup> Katechumen - człowiek dorosły przygotowujący się do przyjęcia chrztu.

twarży. Za pasek zatknęła krótki i ostry sztylet, by móc się bronić przed zniewagą jakiegoś pijanego czy grubiaństwem żołnierza. Gdyby nie udało się jej uwolnić Pawła, zamierzała prosić o pozwolenie odwiedzenia go w więzieniu. Chciała dać mu ten sztylet, aby mógł uniknąć hańbiącej kary. Wychowana w tradycji pogańskiej, wciąż uważała za godne naśladowania przykład Hannibala, wypijającego truciznę, Katona, podcinającego sobie żyły i Brutusa, który rzucał się na ostrze swego miecza. Nie wiedziała, że nowa religia potępia samobójstwo i uważa je za grzech, a za cnotę uznaje męczeństwo, że to co dla pogan było hańbą, w oczach prawowiernych jest świętością.

Gdy zbliżyła się do bramy Metrovii, za którą rozciągała się aż do Rzymu dolina Egerii, serce zaczęło jej bić mocniej i nie mogła opanować drżenia. Przystanąła i oparła się o drzewo, by nie upaść. Miała zobaczyć Nerona, którego ostatnio widziała podczas wspaniałych uroczystości poświęconych Minerwie, zakończonych tak tragicznie. Czy dziś spotka Lucjusza, czy cezara? Świetnego zwycięzcę igrzysk, czy okrutnego władcę Rzymu? Kochanka czy sędziego? Przypominając sobie odrętwienie, jakie nie opuszczało jej podczas pobytu w katakumbach, zrozumiała, że był to wpływ otoczenia, posępnej atmosfery, zimna, milczenia i ciemności. Teraz, wśród zgiełku świata, oddychając powietrzem przesyconym zapachem kwiatów, w blasku promieni słonecznych, czuła, że się odradza, że budzi się w niej życie i miłość.

Niewiele z tego, co działo się na powierzchni ziemi docierało do katakumb. Były to jedynie echa wydarzeń. Akte wiedziała o zamordowaniu Oktawii i śmierci Poppei, ale nie znała szczegółów. Okropność tych zbrodni znali tylko ich wykonawcy, historia dopiero później przekazała ich opis potomności. Akte wiedziała tylko, że cesar nie miał teraz żony ani kochanki, a to dawało jej nadzieję, że choć w części odpowie na miłość, którą go darzyła.

Pod wpływem tych myśli śmielej wkroczyła do miasta. Był piękny i ciepły poranek lipcowy, XV Kalendów, dzień, który zaliczano do szczęśliwych. Godzina też była szczęśliwa. Na ulicach miasta panował ożywiony ruch.

Wypełniały je odświętnie przybrane tłumy, śpieszące do Forum, jakby miało się tam odbyć jakieś widowisko.

Akte porwana falą przechodniów szła za nimi, droga ta prowadziła bowiem do Palatynu, a tam spodziewała się zobaczyć Nerona. Zatopiona w marzeniach, rozbudzonych oczekiwaniem spotkaniem, nie zwracała uwagi na to, co działo się wokół. Szła długą ulicą, ciągnącą się między wzgórzami Caelius i Awentynem, nie widząc nawet, że rozesłano na niej wzorzyste kobierce i rozsypano kwiaty. Dopiero niedaleko Palatynu spostrzegła, że posągi bogów są przystrojone w świąteczne szaty, a ich czoła opasane wieńcami z liści dębowych i lauru. Skrzyła w prawo na Drogę Świętą, którą przejeżdżała, gdy pierwszy raz znalazła się w Rzymie. Tłum gęstniał, kierując się ku Kapitolowi, gdzie widocznie przygotowano jakąś uroczystość. To ją jednak nie interesowało. Szukała Lucjusza, a on mieszkał w Żłotym Pałacu. Koło świątyni Remusa i Romulusa skierowała się na lewo, szybko minęła świątynię Vesty i Jowisza Statora, weszła na schody, prowadzące na Palatyn i znalazła się przed „Żłotym Domem”.

Teraz spostrzegła coś niezwykłego. Wspaniałe łoże, okryte tyryjską purpurą bramowaną złotem, stało przed drzwiami atrium wsparte na podstawie z kości słoniowej wysadzanej szylkretem. Osłaniała je udrapowana materia, tworząc jakby wielki namiot. Było to łoże małżeńskie cezara. Jeszcze nie wierzyła. Podeszła do niewolnika i spytała co to wszystko znaczy. Odpowiedział jej, że to jest łoże Nerona, a jego zaślubiny odbywają się właśnie w świątyni Jowisza Kapitolijnego.

W jednej chwili dziewczyna zapomniała o wszystkim: o katakumbach, gdzie znalazła schronienie, o chrześcijanach, którzy jej uwierzyli, o niebezpieczeństwie zagrażającym Pawłowi, który ją uratował i któremu teraz miała się odwzajemnić. Chwyciła sztylet, którym miała bronić swej czci, przebiegła schody i gnana zazdrością rzuciła się ku Kapitolowi, aby zobaczyć nową rywalkę, która zabierała jej kochanka w chwili, gdy miała nadzieję go

odzyskać.

Tłok był ogromny, ale namiętność dodawała jej widać sił, bo jakoś torowała sobie przejście w tej ciżbie. Nie widać było jej twarzy, okrytej zasłoną, wszyscy jednak jakby przeczuwali, że ta kobieta, krocząca pewnie i szybko, ma ku temu jakiś powód i należy jej ustąpić z drogi. Drogą Świętą doszła aż do łuku Scypiona, potem wybrała krótsze przejście między więzieniem publicznym i świątynią Zgody i wbiegła do świątyni Jowisza Kapitolińskiego.

U stóp posagu stali narzeczeni. Otaczało ich dziesięciu świadków wybranych z grona najszlachetniejszych patrycjuszy. Siedzieli na krzesłach, obitych runem ofiarnych owiec. Narzeczeni mieli zakryte twarze i Akte nie mogła początkowo poznać nowej wybranki cezara. Ale właśnie wielki kapłan, który razem z flamenem<sup>16</sup> Jowisza ofiarował kilka kropel mleka i wina osłodzonego miodem na cześć bogów, zbliżył się do cezara i rzekł:

- Lucjusz-Domicjusz-Klaudiusz Neronie, daję ci Sabinę; bądź jej małżonkiem, przyjacielem, opiekunem i ojcem; czynię cię panem jej majątku i powierzam ci ją w dobrej wierze.

Potem złączył ręce małżonków i podniósł zasłonę nowo zaślubionej, by każdy mógł powitać żonę cezara.

Gdy usłyszała imię Sabiny, wypowiedziane przez arcykapłana, nie wierzyła własnym uszom, sądziła, że słuch ją myli. Neron nie mógł poniżyć się do tego stopnia, by poślubić niewolnicę. Lecz gdy arcykapłan odsłonił twarz poślubionej, nie miała już żadnych wątpliwości. Rzeczywiście była to siostra Sporusa, niewolnica, z którą podróżowała do Rzymu. Cezar pojął ją uroczyście za małżonkę wobec bogów i ludu...

Teraz dopiero zrozumiała to dziwne uczucie, jakiego zawsze doznawała w jej obecności. Był to wstręt, przeczucie nienawiści wobec ewentualnej rywalki. Neron zaślubił dziewczynę, którą jej kiedyś darował, która jej służyła i była jej niewolnicą. Może już wtedy, nic o tym nie wiedząc, dzieliła z nią miłość

---

<sup>16</sup> Flamen - kapłan rzymski służący kultowi jednego bóstwa.

kochanka. Miała nad nią prawo życia i śmierci, ale nigdy z tego nie skorzystała. To niemożliwe! Spojrzała na nią znowu. Ale kapłan nie pomylił się, ona też się nie pomyliła. To niewątpliwie była Sabina. Sabina w ślubnym stroju, w białej tunice, ozdobionej wstęgami, przewiązanej paskiem z owczej wełny, który tylko małżonek miał prawo rozerwać. We włosach miała złoty dziuryt na pamiątkę porwania Sabineki, a na ramionach płomienistą zasłonę, ozdobę weselną, którą Rzymianki ubierały tylko w dniu ślubu, wierząc, że wróży szczęśliwe pożycie, ponieważ był to zwyczajny strój żon kapłanów, a prawo nie pozwalało się im rozwodzić.

Nowożeńcy wstali i wyszli ze świątyni. Przed drzwiami czekało na nich czterech wysoko urodzonych obywateli niosących bóstwa opiekujące się małżeństwami i cztery dostojne patrycjuszki, trzymające w rękach pochodnie z drzewa sosnowego. Na progu oczekiwał ich Tigellinus z posagiem nowo zaślubionej. Neron przyjął posag, włożył na głowę Sabiny wieniec, a na jej ramiona płaszcz żon cesarów, potem wsiadł do otwartej lektyki i ucałował żonę. Zebrani zaczęli klaskać i życzyć małżonkom liczego potomstwa.

Akte szła za orszakiem ślubnym sądząc, że kieruje się do Złotego Pałacu. Ale po opuszczeniu Kapitulu orszak podążał w kierunku Vicus Tuscus, przebył Velabrum, Argiletum i przez bramę triumfalną udał się na Pole Marsowe. Cezar chciał pokazać całemu Rzymowi swoją nową małżonkę. Prowadził ją na Forum Olitorium, do teatru Pompejusza, do portyków Oktawii, we wszystkie najbardziej uczęszczane miejsca.

Akte szła za nimi wszędzie: na place targowe, do świątyń, na publiczne przechadzki. Wystawny obiad był przygotowany na wzgórzach ogrodów. Stała pod drzewem przez cały czas weselnej uczty. Wracali przez Forum Cezara, gdzie Senat oczekiwał nowożeńców. Ukryta za posagiem dyktatora wysłuchiwała przemówień. Tak upłynął cały dzień i dopiero wieczorem orszak udał się ku Złotemu Pałacowi. Przez cały czas Akte nie czuła głodu, pragnienia ani znużenia, tak silne było w niej uczucie.

Do pałacu cezara Akte dostała się bez trudności. Neron, odrzucając przykład Tyberiusza, nie obawiał się ludu. Jego rozrzutność, organizowane przez niego igrzyska, widowiska, nawet jego okrucieństwa, które osiągały przeważnie dostojników lub wrogów pogańskiej religii, zjednały mu popularność wśród tego zdemoralizowanego ludu, który żył hasłem: *panem et circenses!*<sup>17</sup> Kto zadowalał żądania, mógł cieszyć się jego względami.

Akte знаła dobrze rozkład pałacu. Jej biała zasłona i suknia upodobniały ją do uczestniczek orszaku weselnego. Nikt nie zwrócił na nią uwagi, mogła więc, gdy cesarz z małżonką posilali się w triclinium, przedostać się niepostrzeżenie do małżeńskiej komnaty, gdzie odniesiono już łożo.

Ukryła się za draperiami i czekała nieruchoma, niema, wstrzymując oddech. Nie wiedziała właściwie po co tu przyszła, ale przez cały czas nawet na chwilę nie wypuściła z ręki sztyletu. Wreszcie usłyszała lekkie kroki kobiet, zbliżających się do sypialni, a po chwili otworzyły się drzwi i Sabina prowadzona przez jedną z patrycjuszek, Kolwię Kryspinellę, która zastępowała jej matkę, jak Tigellinus ojca, weszła do komnaty w weselnym stroju, ale już bez paska, bo Neron rozerwał go podczas wieczerzy. Kolwia zaczęła rozplatać jej warkocze, upięte wysoko na głowie na kształt wieży, a gdy włosy rozsypały się na ramiona, zdjęła z niej flammeum<sup>18</sup> i rozwiązała wierzchnią szatę. Sabina została tylko w spodniej tunice.

W miarę jak z rywalki zdejmowano kolejne suknie, Akte coraz bardziej nie dowierzała swym oczom, tak duże było przeobrażenie. Wreszcie Koryntianka ujrzała przed sobą Sporusa. Wyglądał tak, jak w chwili, gdy go zobaczyła po raz pierwszy, kiedy schodził z okrętu obok Lucjusza w swej krótkiej, przejrzystej tunice, z odsłoniętymi ramionami i rozpuszczonymi włosami. Sen to - czy jawa? Czy brat i siostra są jedną osobą? A może postradała zmysły?

Kolwia rozebrała zagadkową postać, skłoniła się, a gdy tamta dziękowała

---

<sup>17</sup> *panem et circenses* - chleba i igrzysk.

<sup>18</sup> Flammeum - welon ślubny.

patrycjuszce za pomoc, Akte poznała głos Sporusa, jak niedawno poznała głos Sabiny. W końcu Kolwia wyszła.

Nowo zaślubiona została sama. Przejrzała się wkoło i sądząc, że nikt jej nie widzi, opuściła ręce z wyrazem znużenia, westchnęła, z jej oczu popłynęły łzy. Potem z uczuciem głębokiej odrazy zbliżyła się do łoża. Ledwie wstąpiła na pierwszy stopień, cofnęła się i krzyknęła. Wśród zwojów purpurowej kotary spostrzegła bladą twarz Greczynki, która zorientowawszy się, że ją odkryto, wyskoczyła szybko zza zasłony. Jej rywalka była zbyt słaba, by się bronić lub uciekać, a widząc w ręku dziewczyny ostry sztylet, padła przed nią na kolana, patrząc na nią błagalnie. Po chwili iskierka nadziei pojawiła się w tym spojrzeniu.

- Czy to ty, Akte? - zapytała.

- Tak, to ja! - odparła Koryntianka. - Ale kim ty jesteś? Sabiną czy Sporusem? Mężczyzną czy kobietą?... Odpowiadaj...

- Niestety! - szepnął eunuch - Nie jestem ani jednym, ani drugim.

I zemdlał.

Akte zdumiona opuściła sztylet.

W tej chwili otworzyły się drzwi i do komnaty weszli niewolnicy, by ustawić dokoła łoża posągi bóstw małżeńskich. Spostrzegli zemdlonego Sporusa i pochyloną nad nim kobietę, obok której leżał sztylet. Domyślili się, że chciała go zabić. Ujęli Akte i wtrącili do lochów pałacu, obok których niedawno przechodziła, gdy Lucjusz przywołał ją do siebie.

Znalazła się tam razem z Pawłem i Sylasem.

- Czekałem na ciebie - rzekł do niej Paweł.

- Mój ojciec - zawołała Akte - przybyłam do Rzymu, aby cię ratować...

- I nie mogąc mi pomóc, przychodzisz dzielić ze mną śmierć?

- Nie ojciec - westchnęła zawstydzona - zapomniałam o tobie. Nie jestem godna, byś nazywał mnie swą córką. Jestem nieszczęśliwa i szalona, nie zasługuję ani na litość, ani na przebaczenie.

- Ciągle go kochasz?

- Nie, już go nie Kocham, mój ojciec. To niemożliwe, bym go jeszcze kochała. Jestem tylko obłąkana, opętana... Kto mi przywróci rozum? Nie ma takiej siły ani takich zaklęć...

- Przypomnij sobie dziecko niewolnika. Kto leczy ciało, ma także moc uzdrawiania duszy.

- Na pewno, ale dziecko niewolnika było niewinne, a ja jeszcze nie wierzę i już nie jestem niewinna.

- Jeżeli potrafisz odczuwać żal i skruchę, nie jesteś jeszcze zgubiona - zauważył apostoł.

- Nie wiem! - szepnęła z powątpiewaniem.

- Przysuń się - rzekł Paweł, siadając na wystającym z ziemi głazie - będę mówił o twoim ojcu.

Akte padła na kolana, wsparła głowę na jego ramieniu, a on przez całą noc nauczał ją. Gdy nastał ranek była już przygotowana do przyjęcia chrztu.

Prawie wszyscy więźniowie, zamknięci z Pawłem i Syłasem, byli chrześcijanami z katakumb. Znali Akte, widzieli jej cnoty, ale nie znali błędów. Przez całą noc modlili się do Boga, by zesłał na tę poganekę promień wiary. Ucieszyli się też bardzo, gdy apostoł oznajmił im, że Bogu przybyła jeszcze jedna służebnica.

Paweł nie ukrywał przed Akte, że przyjęcie wiary będzie wymagać od niej wielkich ofiar. Musi się zrzec ziemskiej miłości, a może nawet poświęcić życie. Codziennie zabierano z lochu kilku więźniów, skazanych na ukrzyżowanie lub na śmierć na arenie cyrku. Paweł uprzedził dziewczynę, że wraz z chrześcijaństwem przyjmuje zobowiązanie męczeństwa.

Wiedziała zatem, co ją czeka, czuła też, że poświęceniem życia okupi niedostateczną znajomość nowej wiary. Ceniła ją już od dawna. Przekonywała się z każdym dniem, że pogaństwo jest źródłem zła, a chrześcijaństwo szerzy dobro. Nie mogąc żyć obok Nerona, pragnęła umrzeć z Pawłem.

Apostoł nie zwlekał z udzieleniem chrztu. Towarzysze otoczyli ją kołem, ona zaś uklękła pośrodku, w smudze światła, które przedarło się przez zakratowane okienko, oświetlając wilgotną ziemię lochu. Paweł stał przy niej modląc się, a Syllas trzymał w ręku naczynie z wodą święconą i pęk zielonego bukszpanu. W tym momencie otwarły się z wielkim łoskotem drzwi i weszli żołnierze z Anicetusem na czele. Zaskoczony dziwnym widokiem modlących się więźniów stanął milczący i nieruchomy na progu.

- Czego chcesz? - zapytał Paweł.

- Przychodzę po dziewczynę - odparł Anicetus, wskazując Akte.

- Nie pójdzie z tobą - rzekł Paweł - nie masz do niej żadnego prawa.

- Ona należy do cezara - zawołał Anicetus.

- Mylisz się - zaprzeczył Paweł, który właśnie skropił święconą wodą głowę Akte i wymówił stosowne słowa - od tej chwili należy do Boga.

Akte krzyknęła i zemdląca. Zrozumiała, że Paweł powiedział prawdę i że dopełnienie obrzędu na zawsze rozdzieliło ją z Neronem.

- W takim razie zamiast niej zaprowadzę do cezara ciebie - rzekł Anicetus, dając znak żołnierzom, aby pochwycili Pawła.

- Czyń, co ci się podoba - odparł apostoł - jestem gotów na wszystko. Wiem, że nadszedł czas, bym zdał w niebie sprawę z mego posłannictwa na ziemi.

Paweł został skazany na ukrzyżowanie. Powołał się jednak na obywatelstwo rzymskie i gdy się przekonano, że jako mieszkaniec miasta Torres na Sycylii istotnie posiada ten przywilej, zmieniono mu karę krzyża na karę miecza i ścięto go na Forum.

Neron był świadkiem wykonania wyroku. Widowisko jednak nie zadowoliło ludu, ponieważ trwało za krótko, gdy tymczasem wszyscy spodziewali się widoku dłuższych męczarni. Neron, w trosce o swoją popularność, przyrzekł ludowi, że w nadchodzącą rocznicę śmierci Juliusza Cezara uraczy go walkami gladiatorów i wieloma innymi niespodziankami.

## V

Z niecierpliwością czekano na zapowiedziane igrzyska. Ze wszystkich widowisk, jakimi edylowie<sup>19</sup>, pretorowie<sup>20</sup> i cesarowie zabawiali lud, do najbardziej ulubionych należały łowy na dzikie zwierzęta i walki gladiatorów. Początkowo były one urządzone oddzielnie, ale Pompejusz połączył je i podczas swojego drugiego konsulatu, z okazji poświęcenia świątyni Wenery Zwycięskiej, urządził walkę dwudziestu dzikich słoni z Getulami, uzbrojonymi w dziryty. Wprawdzie dużo wcześniej, jak zaświadcza Tytus Liwiusz, w jednym dniu zabito w cyrku sto czterdzieści dwa słonie, ale zwierzęta te były zdobyte w bitwie z Kartagińczykami, a Rzym, wówczas przezorny i ubogi, nie chciał ich karmić ani też oddać sprzymierzeńcom. Zostały pozabijane grotami i strzałami przez widzów, siedzących w ławach amfiteatru. Osiemdziesiąt lat później, w roku 523 od założenia Rzymu, Scypion Nazika i P. Lentulus wystawili w cyrku sześćdziesiąt trzy afrykańskie pantery i już się zdawało, że Rzymianie zubożeli na tego rodzaju widowiska, gdy Segurus wprowadził nowość: napełnił amfiteatr wodą i do tego wielkiego basenu wpuścił dwadzieścia hipopotamów i trzydzieści krokodyli. Pretor Sylla poświęcił na łowy sto lwów, Pompejusz trzysta piętnaście, a Juliusz Cezar czterysta. August, który odziedziczył po Oktawianie skłonność do krwawych widowisk, kazał zabić na arenie trzy tysiące pięćset lwów, tygrysów i panter. O niejakiem P. Soewiliuszu została tylko notatka, że urządził widowisko, podczas którego zabito trzysta niedźwiedzi, tyleż samo panter i lwów, sprowadzonych z afrykańskich pustyń. Z biegiem czasów na arenach zabijano coraz więcej dzikich bestii. Tytus, w czasie jednych łowów, wystawił na zabicie aż pięć tysięcy wszelkiego rodzaju zwierząt.

Neron zaćmił jednak wszystkich przepychem i urozmaiceniem igrzysk.

---

<sup>19</sup> edylowie - niżsi urzędnicy rzymscy.

<sup>20</sup> pretorowie - wyżsi urzędnicy rzymscy.

Oprócz pieniężnych haraczów, nałożonych na podbite prowincje, płacono mu daniny z lwów, tygrysów, panter i krokodyli. Gladiatorów zastąpili jeńcy wojenni i chrześcijanie. Nie byli wprawdzie tak zręczni jak zawodowi szermierze, ale przewyższali ich odwagą graniczącą nieraz z bohaterstwem. Umieli wspaniale umierać, a tego właśnie żądał lud.

Cały Rzym zgromadził się w cyrku. Tym razem tyle było dzikich zwierząt i ludzkich ofiar, że igrzyska miały trwać całą dobę. Ponadto Neron przyrzekł zupełnie inaczej oświetlić cyrk. Teraz witano go burzliwymi oklaskami. Ukazał się w przebraniu Apolla, miał więc łuk i strzały, bowiem w przerwach zapasów pragnął popisywać się jako łucznik. Przyniesiono z lasu Albano do Rzymu kilkaset drzew, wyrwanych z korzeniami i wkopano na arenie. Siedziały na nich pawie i oswojone bażanty, a ich jaskrawe i błyszczące jak drogie kamienie pióra stanowiły dla cezara wyraźny cel. Zdarzyło się też kilkakrotnie, że Neron litował się nad jakimś rannym i karmił niedołężnego szermierza czy zwierzę niezbyt zajadle rozszarpujące ofiary i osobiście w nich godził śmiertelną strzałą lub włócznią.

Wraz z przybyciem cezara do cyrku na arenie ukazali się gladiatorzy. Ci, co mieli rozpocząć zapasy, byli własnością bogatych patrycjuszy. Ponieważ zapowiedziano, że igrzyska będą szczególnie uroczyste, kilku młodych patrycjuszy zmieszało się z gladiatorami, by przypodobać się władcy. Mówiono, że dwaj z nich znaleźli się w nędzy z powodu rozpusty, a teraz wynajęli się, jeden za dwieście pięćdziesiąt, drugi za trzysta tysięcy sestercji.

W chwili gdy Neron wchodził do cyrku, gladiatorzy znajdowali się już w szrankach, czekając na znak, a tymczasem próbowali swoich sił, jak gdyby zapasy, które mieli stoczyć, były tylko prostym ćwiczeniem w sztuce szermierczej. Rozległy się wołania: - Cezar! Cezar! - i nowy Apollo zasiadł w swej łoży, umieszczonej naprzeciw westalek. Teraz przełożeni igrzysk rozdali gladiatorom wyostrzoną broń, zastępując tępą, którą staczali próbne walki. Podnosząc swe miecze wysoko w górę, gladiatorzy przemaszerowali przed

Neronem, by się upewnił, że były dostatecznie ostre. Mógł to łatwo sprawdzić schylając się tylko, bowiem szranki były o dziesięć stóp niżej niż jego łoża.

Przedstawiono mu teraz listę szermierzy, prosząc, by wyznaczył porządek walk. Zdecydował, że retiarius i mirmillo wystąpią pierwsi; potem walczyć będą dwaj dimachaerii, wreszcie dwaj andabateas. Pierwszą turę walk miało zakończyć rzucenie dwojga chrześcijan, mężczyzny i kobiety, na pożarcie dzikim bestiom. Zebrani przyjęli oklaskami program pierwszej części widowiska, która miała trwać do południa. Zaczynały się walki. Przez drzwi z przeciwnych stron cyrku wyszli dwaj pierwsi gladiatorzy.

Byli to, zgodnie z zapowiedzią, mirmillo i retiarius. Pierwszego nazywano także secutor, ponieważ częściej zdarzało mu się ścigać, niż być ściganym. Odziany był w krótką, jasnozieloną tunikę w srebrne, poprzeczne pręgi, spiętą miedzianym pasem z ornamentacją z koralu. Jego prawą nogę, od kostki aż do kolana, ochraniał spizowy nagolennik. Stroju dopełniały koturny z niebieskiej skóry i hełm o kształcie łba żubra, ozdobiony długimi rogami. Lewe ramię osłaniała wielka, okrągła tarcza, w prawej ręce zawodnik trzymał dziryt i nabijaną ołowiem maczugę. Było to uzbrojenie Gallów.

Retiarius trzymał w prawej ręce sieć, stąd jego nazwa, a w lewej, okrytej puklerzem, czyli małą wypukłą tarczą, długi, ostry, stalowy trójzęb, osadzony na klonowym kijku. Ubrany był w tunikę z niebieskiego sukna i pozłacane, spizowe nagolenniki. Twarz miał odsłoniętą, tylko na głowie czapkę z niebieskiej wełny, którą ozdabiała złota siatka.

Przeciwnicy zaczęli się powoli okrążyć i zbliżać do siebie. Mirmillo potrząsał dzirytem, retiarius trzymał przygotowaną do rzutu sieć. W pewnym momencie, gdy wydawało mu się, że jest już dostatecznie blisko przeciwnika, skoczył naprzód i rzucił ją, zręcznie rozwijając w powietrzu. Ale zaden jego ruch nie umknął uwagi mirmillona, który odskoczył w porę, tak że sieć upadła u jego nóg, a jednocześnie cisnął swój dziryt w kierunku przeciwnika. Retiarius nie zdołał wprawdzie zasłonić się tarczą, ale schylił się błyskawicznie i pocisk,

wymierzony w pierś, zerwał tylko z jego głowy wytworną czapkę.

Teraz, choć nadal jeszcze uzbrojony w trójzab, zaczął uciekać. Swojej broni mógł bowiem użyć dopiero, gdy oplatał drugiego zawodnika siecią. Mirmillo zaczął go gonić, ale pościg utrudniała mu ciężka maczuga, a przez niewielkie otwory w hełmie nie widział zbyt wiele. To dawało retiariusowi czas na przygotowanie sieci do ponownego rzutu i osłonięcie się przed ewentualnym ciosem.

Podczas pogoni secutor podniósł swój dziryt i czapkę przeciwnika. Zatknął ją sobie za pas jako łup. Obaj byli znowu kompletnie uzbrojeni. Tym razem walkę rozpoczął mirmillo. Rzucił dzirytem celnie i z taką siłą, że broń przebiła nie tylko wierzchnią, spiżową blachę tarczy, ale i siedem spodnich warstw pokrywających ją rzemieni, raniąc zawodnika w pierś.

Widzowie, sądząc, że cios jest śmiertelny, zaczęli wołać:

- Habet! Habet!

Ale retiarius wyprostował rękę z puklerzem, w którym tkwił dziryt i pokazał, że jest tylko lekko draśnięty. Wtedy rozległy się okrzyki radości, wszyscy bowiem obawiali się, że zapasy zakończą się zbyt szybko. Gladiatorzy, którzy od razu zadawali śmiertelny cios, godząc w głowę przeciwnika, nie byli nagradzani oklaskami, choć oczywiście nie było to zabronione. Widzowie gardzili nimi jednak i usuwali ich z areny.

Teraz zaczął uciekać mirmillo.

By uderzyć maczugą, musiał zbliżyć się do przeciwnika, a było to bezpieczne tylko wtedy, gdy retiarius był rozbrojony, inaczej bowiem narażał się na to, że zostanie oplatany jego siecią. Teraz maczuga była prawie bezużyteczna.

Ucieczka także odbywała się według wszelkich prawideł i była nie lada sztuką. Jeszcze bardziej przeszkadzał mirmillowi hełm i jego przeciwnik zbliżył się już na tyle, że widzowie zaczęli głośno ostrzegać Galla i wołać, by miał się na baczności. Sam też zorientował się, że będzie zgubiony, jeśli nie pozbędzie

się niewygodnego hełmu. Odpiął więc w biegu żelazną sprzączkę, zerwał z głowy nakrycie i odrzucił daleko od siebie. Widzowie ze zdziwieniem rozpoznali w nim Festusa, młodzieńca z najszlachetniejszego rzymskiego rodu. Z jeszcze większym zainteresowaniem śledzono teraz przebieg walki.

Teraz młody patrycjusz miał przewagę w pogoni za przeciwnikiem, któremu bieg utrudniała tarcza, przebita dzirytem. Retiarius nie chciał jednak wyjąć go z tarczy i odrzucić, nie chciał bowiem oddać rozbrojonemu zawodnikowi jego oręża. Jednak zachęcony okrzykami widzów i ucieczką przeciwnika, cisnął na ziemię tarczę z grotem. I on mógł się poruszać swobodniej. Nagle mirmillo zatrzymał się, odwrócił i wznosił maczugę, kręcąc nią nad głową i przygotowując do zadania ciosu. Nim retiarius zdążył rzucić swoją sieć, maczuga, wyrzucona z wielką siłą, opisała w powietrzu łuk i ugodziła go w piersi. Zawodnik zachwiał się i upadł, oplątany zwojami własnej sieci. Wtedy Festus wyrwał z tarczy przeciwnika swój dziryt i przyłożył grot do gardła leżącego. Spojrzał teraz na trybuny, by dowiedzieć się, czy widzowie chcą śmierci zwyciężonego, czy też pozwolą mu żyć. Wszystkie ręce podniosły się do góry, ale jedne dłonie miały palce złączone, inne pokazywały odstawiony wielki palec. Nie można było odczytać jednoznacznie wyroku, rozległy się więc wołania: - Do westalek! Do westalek! - gdyż do nich zwracano się w wypadkach podobnych wątpliwości. Festus zwrócił się ku podium. Powstało dwanaście westalek: osiem z nich ukazało odstawione palce, większość więc była za śmiercią. Widząc to, retiarius sam przysunął ostrze dzirytu do swego gardła, a gdy Festus zadał mu śmiertelny cios, skonał z okrzykiem:

- Cezar jest bogiem!

Lud przyklasnął zwycięzcy i zwyciężonemu, pierwszy bowiem zabił zręcznie, drugi umarł z godnością. Festus okrążył amfiteatr, dziękując skinieniem za oklaski, a gdy opuszczał arenę jednym wyjściem, drugim wnoszono ciało jego przeciwnika.

Niewolnicy zagrabili piasek na arenie i zatarli ślady krwi. Ukazali się nowi

zawodnicy. Byli to dwaj dimachaerii.

Walczyli bez hełmów, pancerzy, tarcz i nagolenników. Każdy z nich miał dwa miecze. Ich zapasy przypominały francuskie pojedynki na sztylety z czasów Frondy. Wymagały niezwyklej zręczności i były uważane za szczyt szermierczej sztuki. Zdarzało się, że występowali sami mistrzowie. Tym razem walczył nauczyciel z uczniem. Ten ostatni tak się wyćwiczył, że poczuł się na siłach zmierzyć ze swym mistrzem. Znienawidził go za to, że źle go traktował, pragnął się zemścić, choć ukrywał to starannie. Czekał na okazję, wciąż doskonaląc swe umiejętności. Teraz nadarzyła się sposobność. Wśród ludu, tak rozmiłowanego w szermierce, zapasy te wzbudzały ogromne zainteresowanie. Obaj mieli po raz pierwszy walczyć z sobą bronią ostrą, a nie tępą. Powitano ich burzliwymi oklaskami, które umilkły dopiero na skinienie cezara. Przewodniczący igrzysk dał znak do rozpoczęcia. Obaj zawodnicy pragnęli pokonać przeciwnika, a to pragnienie było podsycane przez współzawodnictwo. To zaostrzyło ich ostrożność, chodziło bowiem nie tylko o życie, ale i o rozgłos, którym jeden z nich cieszył się już od dawna.

Starły się ich miecze. Z prędkością błyskawicy krzyżowały się w powietrzu. Obaj prawą ręką starali się dosięgnąć przeciwnika i zadać cios, lewego miecza używając jako tarczy. Kolejno atakowali i przechodzili do obrony. Najpierw uczeń natarł z taką siłą, że przeciwnik cofnął się aż pod łożę cezara. Potem nauczyciel przyparł ucznia aż do podium westalek. Po chwili obaj wrócili na środek areny. Żaden nie był jeszcze ranny, choć walczyli blisko siebie i na ich szatach widniały ślady po mieczu przeciwnika. Nagle młodszy z nich odskoczył do tyłu, a widzowie krzyknęli:

- Habet!

Krew spływała strumieniem spod jego tuniki. Nie zważając na to, z jeszcze większą zaciekłością rzucił się do walki i po dwóch starciach nauczyciel także uczuł ostrze żelaza. Tym razem żaden okrzyk nie dobiegł z ław amfiteatru. Zbyt wielkie było napięcie widzów. Po każdym zręcznie wymierzonym lub odpartym

ciosie rozlegał się tylko głuchy szmer. Świadczyło to o wielkim skupieniu publiczności. Zawodnicy walczyli z coraz większą zaciętością, miecze krzyżowały się coraz szybciej, zdawało się, że walka nie będzie rozstrzygnięta i że skończy się dopiero, gdy obaj padną z wyczerpania. Nagle nauczyciel, cofając się przed uczniem, pośliznął się i upadł. Uczeń, korzystając z tej przypadkowej przewagi, rzucił się na niego. Lecz ku wielkiemu zdziwieniu widzów, żaden z nich się nie podnosił. Wszyscy wstali, wznosząc w górę złączone dłonie i wołając:

- Wolność i życie!

Ale obaj leżeli nieruchomo. Wówczas na arenę wszedł przewodniczący igrzysk, niosąc od cezara palmy zwycięstwa i różdżki wolności. Ofiarował je umarłym. Przeciwnicy zadusili się w uścisku.

Teraz, zapewne dla urozmaicenia programu, mieli wystąpić andabatae. Te zapasy nie wymagały wielkich umiejętności, bowiem szermierze mieli głowy całkiem osłonięte hełmami. Walczyli na ślepo, kierując się tylko słuchem. A jednak wszyscy lubili tę okrutną „ślepą babkę”, w której każdy cios był niebezpieczny, bo zawodnicy, nic nie widząc, praktycznie nie mogli się bronić.

W chwili, gdy te ofiary - nie można ich bowiem uważać za prawdziwych szermierzy - wprowadzono na arenę wśród powszechnej wrzawy i wybuchów śmiechu, Anicetus zbliżył się do cezara i wręczył mu listy. Neron przeczytał je z wielkim niepokojem, a przy ostatnim twarz dziwnie mu się zmieniła. Namysłał się przez chwilę, potem wstał i szybko wyszedł, polecając, by nie przerywano widowiska. Nie było w tym niczego nadzwyczajnego. Często zdarzało się, że pilne sprawy wywoływały cesarów z igrzysk i nikt się tym nie niepokoił. Tym razem także nie zwrócono na to uwagi, a nawet przyjęto z zadowoleniem. Obecność władcy krępowała wszystkich. Teraz mogli się czuć zupełnie swobodnie i lepiej bawić.

Igrzyska trwały więc nadal. Andabatae, wprowadzeni na arenę, poruszali się niezgrabnie. Usiłowali odnaleźć się i zbliżyć do siebie jedynie za pomocą

słuchu.

Wyglądało to dość komicznie. Byli jeszcze daleko od siebie, a już ich miecze siekły zawzięcie powietrze. Widzowie, śmiejąc się, wołali:

- Naprzód! Śmiało! Na prawo! Na lewo!

Zawodnicy słuchając tych wskazówek, coraz bardziej się oddalali, aż stanęli odwróceny do siebie tyłem, nie przestając machać mieczami. Szydercze śmiechy wyprowadziły ich z błędu. Dopiero po pewnym czasie udało im się zbliżyć do siebie i rozpocząć walkę. Ich miecze skrzyżowały się, jeden z przeciwników otrzymał cios w udo, drugi w lewe ramię. Znow się rozeszli, a ponieważ długo nie mogli się odnaleźć, jeden z nich położył się na ziemi, aby podsłuchać kroki przeciwnika i zadać mu podstępny cios. Gdy usłyszał, że drugi zawodnik jest blisko, pchnął go silnie mieczem. Tamten cofnął się, ale zaczepił przy tym nogą o leżącego i sam upadł. Podniósł się jednak szybko, przyklęknął i kreśląc mieczem koła po arenie, trafił na leżącego przeciwnika. Uniósł miecz i ciął mocno z góry, trafiając akurat w to miejsce, gdzie szyja nie była osłonięta przez hełm. Ścięta głowa potoczyła się po swej żelaznej powłoce na bok, ale tułów jeszcze drgał, brocząc krwią i dopiero po chwili znieruchomiał. Pozostały przy życiu gladiator zorientował się po okrzykach, że zadał przeciwnikowi śmiertelny cios. Wstał, lecz nie wiedząc, co się stało, wciąż jeszcze się bronił. Trwało to dopóty, dopóki na arenę nie wszedł przełożony igrzysk i nie zdjął mu hełmu, mówiąc:

- Zwyciężyłeś, jesteś teraz wolny.

Potem wyprowadził go przez drzwi, zwane *sana vivaria*, ponieważ tamtędy wychodzili ocaleni szermierze, gdy trupy wynoszono przez *spoliarium*, rodzaj korytarza biegnącego pod ławami amfiteatru. Tam oczekiwali na rannych lekarze i dwaj ludzie, jeden przebrany za Merkurego, drugi za Plutona. Merkury miał obowiązek sprawdzać, czy zawodnik jest rzeczywiście martwy, a w tym celu dotykał ciało końcem rozpalonego w ogniu kaduceusza. Pluton zabijał młotem tych, których lekarze uznali za nieuleczalnych.

Zapanował teraz wielki zgiełk. Wszyscy czekali na bestiarów, czyli zapaśników walczących z dzikimi zwierzętami. Tym razem zapaśnikami mieli być chrześcijanie. Zwykle przy tych zapasach sympatia ludu była po stronie szermierzy, ale gdy w ich roli występowali znienawidzeni wyznawcy nowej wiary, widzowie brali stronę zwierząt.

Tak samo było teraz.

Tłum obiecywał sobie dużo krwawych wrażeń i czekał z niecierpliwością. Lżono niewolników, że zbyt wolno przywracali arenę do porządku. W końcu wszystko uprzątnięto i pojawiły się nowe ofiary.

Pierwsza ukazała się kobieta w białej szacie, okryta białą zasłoną. Podprowadzono ją do wkopanego pośrodku drzewa i przywiązano do niego. Jeden z niewolników zdarł z niej zasłonę i widzowie ujrzeli jej piękną, choć bladą twarz. Tłum zaszemrał. Chociaż młoda dziewczyna była chrześcijanką, jednak wzbudziła współczucie wśród tej rzadko się wzruszającej gawiedzi. Po chwili na arenie ukazał się młodzieniec. Zawsze do walki z dzikimi zwierzętami wystawiano chrześcijanina i chrześcijankę, dając pierwszemu wszelkie środki obrony. Robiono tak, by usiłując ocalić życie własne i swej towarzyszki, którą zwykle była jego siostra, żona lub matka, przedłużał zapasy. Inaczej chrześcijanie, spragnieni męczeństwa, nie starali się walczyć długo, chociaż wiedzieli, że zostaną wolni, jeżeli pokonają trzy pierwsze zwierzęta, jakie na nich wypuszczą.

Młody chrześcijanin, mimo że sprawiał wrażenie odważnego, silnego i zręcznego, również nie zamierzał walczyć z wygłodzonymi bestiami. Gdy niewolnicy podali mu miecz, dwa oszczepy i przyprowadzili numidyjskiego rumaka, on pokręcił głową, przeszedł się po arenie, spojrzał spokojnie na znieczepione tłumy, potem dał ręką znak, że nie chce konia ani broni, natomiast upadł na kolana i wpatrzony w niebo zaczął się modlić. Zawiedzeni ludzie zaczęli szemrać i grozić. Przyszli oglądać widowisko, a nie męczeństwo. Gdy groźby nie pomogły, zaczęto wołać:

- Na krzyż! Na krzyż!

Twarz młodzieńca rozjaśniła się. Wyciągnął rękę dziękując tłumom za ten wyrok męczeńskiej śmierci. W tej chwili usłyszał za sobą głębokie westchnienie.

- Wołasz mnie, Akte? - zapytał.

- Sylasie, zlituj się nade mną - szepnęła błagalnie Akte - gdy cię ujrzałam, miałam nadzieję... Jesteś mężny, silny i przywykłeś do walki ze zwierzętami. Gdybyś chciał walczyć, może byś nas ocalił...

- A męczeństwo? - przerwał Sylas.

- A cierpienie? - rzekła Akte, zwieszając głowę. - Niestety! Nie miałam szczęścia, jak ty, urodzić się w świętym mieście. Nie słuchałam słów prawdy z ust tego, dla którego mamy umierać. Jestem córką Koryntu, wychowaną w religii mych przodków. Twoja wiara jest dla mnie nowa, a wyraz męczeństwo znam zaledwie od wczoraj. Może miałabym odwagę umrzeć sama, ale nie potrafię patrzeć na twoje cierpienie... Zlituj się Sylasie...

- Dobrze, stanę do walki - rzekł Sylas - bo jestem pewny, że nie minie mnie to szczęście, którego mi dzisiaj odmawiasz.

Dał znak niewolnikom i zawołał.

- Konia, miecz i oszczepy!

Gdy tłum usłyszał rozkaz Sylasa, rozległy się gromkie brawa. Wszyscy spodziewali się ujrzeć wspaniałą walkę.

Sylas zbliżył się do konia, który jak on pochodził z Arabii. Powiedział do niego kilka słów w swoim języku, a szlachetne zwierzę zarżało. Wówczas Sylas zrzucił siodło i zdjął wędzidło, a rumak, uwolniony od tego jarzma, kilkoma podskokami okazał swą radość.

Z kolei Sylas odrzucił te części odzieży, które krępowałyby mu swobodę ruchów i owinął swoim płaszczem lewe ramię. Pozostał tylko w tunice i zawoju. Przyasał miecz, wziął do ręki oszczepy, przywołał konia, dosiadł go i okrążył drzewo, do którego była przywiązana Akte. Duma Araba zaczęła brać górę nad

pokorą chrześcijanina.

Rozwarły się wielkie drzwi pod podium i potężny byk z Korduby, podrażniony przez niewolników, wpadł rycząc na arenę. Przebiegł kilka kroków, a oślepiiony blaskiem i ogłuszony krzykami tłumów, stanął, usiłując zrozumieć, co się dzieje. Spostrzegł Sylasa, zmierzył go krwawym wzrokiem, pochylił olbrzymi łeb i zaczął ryć ziemię przednimi kopytami. Rzucono mu pod nogi wór wypchany słomą. Zwierzę podskoczyło do niego, by stratować wroga. Gdy był tym zajęty, Sylas cisnął włócznię, która utkwiała głęboko w jego łopatce. Byk wstrząsnął się, zaryczał z bólu i ze spuszczonego łbem, zostawiając na piasku ślady krwi, zwrócił się ku nowemu napastnikowi. Ten pozwolił mu się zbliżyć, potem nagle uskoczył w bok, a gdy rozpędzony zwierz mijał go, Arab zatopił w jego boku dzirynt. Byk stanął, zachwiał się, lecz po chwili odzyskał siły i natarł na jeźdźca, który szybko odjechał.

Rozpoczęła się gonitwa dokoła areny. Zwierzę widocznie słabło, biegło coraz wolniej, wreszcie padło na przednie kolana. Po chwili zerwało się, rycząc straszliwie i zaczęło rozglądać się dokoła, szukając nowej ofiary, na której mogłoby wylądować swą wściekłość. Teraz byk spostrzegł Akte. Rzucił się ku niej. Koryntianka krzyknęła. Sylas czuwał jednak nad nią. Zaraz puścił się za bykiem, dopędził go, przeskoczył z konia na jego grzbiet, chwycił lewą ręką róg, przekręcił łeb na bok, a prawą ręką zadał śmiertelny cios, wbijając mu w piersi miecz. Zwierzę zachwiał się i padło o pół włóczni od Akte, która blada, drżąca, z zamkniętymi oczyma oczekiwała śmierci, pewna, że byk strati ją i rozszarpie. Okrzyki i oklaski tłumów oznajmiły jej zwycięstwo Sylasa. Dopiero wtedy otworzyła oczy.

Na arenę weszli trzej niewolnicy. Dwaj z nich prowadzili konie, które zaprzęgli do byka, aby go wywlec ze szranków, trzeci trzymał w ręku amforę z winem i czarę, którą napełnił i podał Sylasowi. Ten zwilżył w niej usta i zażądał innej broni. Przyniesiono mu łuk, strzały i nowy oszczep, potem wszyscy spieszenie opuścili arenę, bo pod lożą cezara podniosła się krata i wspaniały lew

wkroczył majestatycznie.

Wyglądał rzeczywiście na króla zwierząt. Gdy stanął na arenie, w pełnym świetle, zaryczał tak donośnie, że wszyscy drgnęli, a wystraszony koń zarżał. Tylko Sylas, oswojony z tym potężnym rykiem, który tyle razy słyszał w swej ojczyźnie, spokojnie przygotowywał się do walki, ukryty za drzewem, wkopanym w pobliżu tego, do którego była przywiązana Akte. Stał tam przyczajony i nakładał na cięciwę najostrzejszą ze swoich strzał.

Lew, nie przeczuwając niebezpieczeństwa, chodził wolno po arenie. Zatrzymywał się, ziewał, zamiatając piasek swoim długim ogonem. Niewolnicy zaczęli go drażnić z ukrycia, rzucając w niego chorągiewkami. Ale zwierzę nadal było spokojne. Nagle świsnęła strzała wypuszczona przez Sylasa i utkwiała w łopatce króla pustyni. Lew zatrzymał się, okazując więcej zdziwienia niż bólu. Lecz gdy ból się zwiększył, wstrząsnął się, jego ślepia nabiegły krwią i zaryczał. Potem wyrwał strzałę z rany, skruszył ją w zębach, rozglądając się groźnie dokoła, że widzowie, chociaż odgradzeni od areny żelazną kratą, cofnęli się z przerażeniem. Lew najwidoczniej czegoś szukał. W tej chwili spostrzegł konia, który stał porzucony przez swego jeźdźca i drżał ze strachu. Na widok ofiary lew, wydawszy kilka krótkich, groźnych pomruków przycisnął się i potężnym skokiem zbliżył na odległość około dwudziestu kroków.

Zaczęła się pogoń. Zmierzyły się z sobą siła i szybkość, a oczy tysięcy widzów odwróciły się na chwilę od dwojga chrześcijan, śledząc ten pościg z uwagą. Drugi skok znów znacznie zbliżył lwa do konia, który chwilę stał nieruchomo, a potem nagle przeskoczył przez głowę swego wroga. Ten ścigał go w nierównych podskokach, jeżąc grzywę i porykując co chwila, na co koń odpowiadał pełnym niepokojem rżeniem. Jeszcze trzykrotnie rumak przemknął po arenie z prędkością błyskawicy, a za każdym razem lew zbliżał się do niego bez wysiłku, biegnąc już teraz niemal równolegle z nim. Wreszcie koń widząc, iż nie zdoła ująć swemu prześladowcy, wspiał się, wierzgając w powietrzu przednimi nogami. Wówczas lew zaczął zbliżać się powoli, jak zwycięzca,

pewny, że jego ofiara nie zdoła mu już ująć. Chwilami przystanął, ryknął, potrząsnął łbem, rozgrzebał pazurami piasek i znowu się zbliżał. Rumak stał chwilę jakby skamieniały, potem padł na ziemię, wierzgając rozpaczliwie. W tej chwili druga strzała utkwiała głęboko między żebrami lwa. Człowiek przychodził koniowi z pomocą.

Lew zrozumiał, że w pobliżu znajduje się wróg bardziej niebezpieczny od tego, którego pokonał samym wzrokiem, spostrzegł Sylasa, gdy ten wyjmował zza pasa trzecią strzałę i napinał cięciwę łuku. Zwierzę stało przez chwilę, jakby badając człowieka. Sylas wykorzystał to, wypuszczając nowy pocisk i raniąc nim kark zwierza. Potem wszystko rozegrało się błyskawicznie. Lew rzucił się na człowieka, ten zasłonił się oszczepem, ale tylko na moment powstrzymało to rozjuszone zwierzę. Potem człowiek i lew potoczyli się razem na ziemię. Na oczach wszystkich lew rozszarpał człowieka na strzępy.

Akte pożegnała Sylasa jękiem rozpacz. Nie miała już obrońcy. Zwierzę też było martwe. Nawet koń już nie żył, chociaż lew nawet go nie dotknął.

Wśród wrzasków i braw oszalałego tłumu niewolnicy usunęli trupa z areny.

Oczy wszystkich zwróciły się teraz ku Akte, którą śmierć Sylasa pozbawiła obrony. Dopóki chrześcijanin żył, nie traciła nadziei na ocalenie. Teraz rozumiała, że z jego śmiercią wszystko się dla niej skończyło. Pozostało jej tylko modlić się za niego i za siebie. Wprawdzie przez chwilę zaczęto jej okazywać współczucie, tłum wziął ją początkowo za Żydówkę, ale teraz poznał, że była Greczynką. Kobiety i młodzież zaczęli nawet szemrać, a niektórzy powstali, by domagać się dla niej łaski, lecz na wyższych ławach rozległy się krzyki: - Siedzieć! Siedzieć! - bo właśnie podniesiono kratę i na arenę wyszła tygrysica.

Przypadła do ziemi, rozejrzała groźnie dokoła, ale spokojnie i bez zdziwienia. Wciągnęła w nozdrza powietrze i zaczęła czołgać się do miejsca, gdzie zginął koń.

Tu wspięła się i wsparła o kratę, liżąc i gryząc pręty, o które się ocierał,

potem pomrukując cicho obwąchała żelazo, piasek i powietrze, szukając łupu, który zwęszyła. Teraz poczuła też zapach ciepłej krwi i świeżo rozszarpanego ciała, gdyż niewolnicy nie zrównali jeszcze piasku i nie uporządkowali areny. Wciąż węsząc, skierowała się ku drzewu, przy którym odbyła się walka Sylasa z lwem, pożerając po drodze strzępy rozszarpanego ciała. Zatrzymała się przy kałuży krwi i zaczęła ją chleptać, porykując z ożywieniem. Wypiła krew, znowu popatrzyła wokół roziskrzonymi ślepiami i wtedy dopiero spostrzegła Akte, która z zamkniętymi oczami czekała na śmierć.

Na widok ofiary przypadła brzuchem do ziemi i zaczęła się ku niej czołgać. Gdy była już o jakieś dziesięć kroków od niej, uniosła łeb i uważnie węszyła. Potem jednym, potężnym skokiem znalazła się tuż przy niej. Wszyscy myśleli, że Akte zostanie w mgnieniu oka rozszarpana. Tymczasem stało się coś nieoczekiwane. Tygrysica pokornie i pieszczotliwie łąsiła się do nóg dziewczyny, mrucząc przyjaźnie. Zdumiona Akte otworzyła oczy i poznała swą przyjaciółkę, tak jak Febe poznała swą panią. Była to bowiem ulubiona tygrysica Nerona.

Tłum oniemiał z podziwu. Zaczęto szeptać, że to wola bogów i ze wszystkich stron rozległy się wołania:

- Łaski! Łaski!

Po wytrzymaniu trzech prób i tak przysługiwała jej łaska. Tłum przypominał głośno to prawo, a przechodząc jak zwykle od okrucieństwa do litości, rzucał ocalonej złote łańcuchy, wstęgi, kwiaty i wieńce.

Spełniając żądanie ludu, na arenę wszedł Libikus, czarny dozorca tygrysicy i przeciął sznury, którymi Akte była przywiązana do drzewa. Ocalona dziewczyna upadła na ziemię, nie mogąc utrzymać się na nogach, tak była wyczerpana. Widząc to, niewolnik podniósł ją i poprowadził do wyjścia przeznaczonego dla zwycięskich gladiatorów. Tam oczekiwały na nią niezliczone tłumy, bo heroldowie oznajmili właśnie zawieszenie igrzysk aż do wieczora.

Na widok ocalonej, rozległy się znów oklaski i okrzyki, chciano nawet obnosić ją triumfalnie na rękach. Ona jednak prosiła, by ją zostawiono w spokoju. Zastosowano się do jej woli, dając jej wolne przejście. Samotna poszła do świątyni Diany, usiadła w przedsionku za kolumną i rozplakała się. Była teraz sama na świecie, bo ojca porzuciła z własnej woli, kochanek o niej zapomniał, a Paweł i Syłas ponieśli męczeńską śmierć.

Gdy nadeszła noc, przypomniała sobie, że jeszcze została jej wielka rodzina chrześcijan i udała się prosto do katakumb.

Wieczorem rozpoczęła się druga część widowiska w cyrku. Przybył też cesarz, zasiadł w swej łoży i zabawa odbywała się zgodnie z programem. Gdy zapadł zmrok, Neron przypomniał sobie, iż przyrzekł ludowi widowisko przy blasku pochodni. Dotrzymał słowa. Do dwunastu żelaznych słupów przywiązano dwunastu chrześcijan, owiniętych płachtami, nasączonymi smołą i siarką, i podpalono te żywe pochodnie. Przy ich blasku ukazali się na arenie nowi zapaśnicy i nowe zwierzęta...

Następnego dnia rozeszła się w Rzymie wiadomość, że listy, które cesarz odebrał podczas widowiska i które tak go zdenerwowały, oznajmiały o buncie hiszpańskich i galijskich legii pod wodzą Galby i Windeksa.

## VI

W trzy miesiące po opisywanych wypadkach pięciu jeźdźców wyjechało z Rzymu i udało się drogą Nomentańską. Jadący przodem nie miał na nogach obuwia, odziany był w niebieską tunikę, na którą narzucił wielki ciemny płaszcz, a głowę osłonił tak szczelnie, że nie można było dostrzec twarzy. Może z powodu padającego deszczu, a może po to, by go nikt nie poznał.

Deszcz zmienił się w ulewę, zerwał się silny wiatr, rozpętała burza z piorunami. Nie zwracano jednak uwagi na pogodę, bo większa burza rozpętała się na ziemi. Z ogrodów cesarza słychać było krzyki i wrzawę.

Po drogach snuły się tajemnicze gromady, a pretoriańscy żołnierze opuścili swe koszary w obrębie Rzymu i obozowali poza miastem, za bramami Salaryjską i Nomentańską, gdyż tu czuli się bezpieczniej. Była to jedna z tych nocy, podczas których dokonują się przewroty na niebie i ziemi.

Grupa jeźdźców, podążających drogą Nomentańską, wyglądała na ludzi uchodzących przed niebezpieczeństwem. Jej przywódca musiał szczególnie zasłużyć na gniew bogów i ludzi, bo gdy opuszczał Rzym, ziemia drżała w posadach. Wstrząs był bardzo silny, a objął obszar od krańca Apenin do podnóża Alp. Powtórzył się kilkakrotnie. Ziemia drżała i kołysała się, a konie tajemniczych jeźdźców potykały się co chwilę. Gdy jeźdźcy przejeżdżali przez most nad Tybrem, zauważyli, że spieniona rzeka zamiast płynąć normalnie ku morzu, zawróciła swe wody, co jak dotąd zdarzyło się tylko raz, gdy został zamordowany Juliusz Cezar. Niebawem jeźdźcy znaleźli się na wzgórzu, z którego można było objąć wzrokiem całe miasto. Stał tu cyprys, tak stary, jak Rzym. Sędziwego drzewa nie tknęły największe huragany, oszczędziły go też najburzliwsze przewroty społeczne, ale teraz strzaskał je piorun.

Przywódca grupy, mimo ostrzeżeń towarzyszy, naglił swego konia do pośpiechu. O pół mili od miasta spostrzeżono gromadę wieśniaków, którzy nie zważając na burzę, podążali do Rzymu w swoich świątecznych strojach, z czapkami wyzwoleńców na głowach. Na ich widok człowiek z zasłoniętą twarzą chciał zjechać w bok i uciekać przez pole, ale jeden z towarzyszących mu mężczyzn ujął jego konia za uzdę i zmusił go do pozostania na drodze. Gdy wieśniacy zbliżyli się, jeden z nich zapytał:

- Jedziecie z Rzymu?
  - Tak - odpowiedział jeden z mężczyzn.
  - Co tam słyhać z Miedzianobrodym?
- Człowiek w płaszczu zadrżał.
- Podobno uciekł - rzekł jego towarzysz.
  - Wiadomo dokąd?

- W stronę Neapolu. Mówią, że widziano go na drodze Appijskiej.

- Dzięki wam - rzekli wieśniacy i udali się w drogę z okrzykiem: - Niech żyje Galba! Śmierć Neronowi!

Zawtórowały im głosy obozujących za miastem pretorianów.

Pół mili dalej tajemniczy podróżni spotkali cały oddział żołnierzy.

- Coście za jedni? - zapytał jeden z nich, zagradzając im drogę włócznią.

- Stronnicy Galby, szukamy Nerona - odparł jeździec.

- Życzę wam więcej szczęścia, niż my mieliśmy - powiedział dowódca oddziału.

- Jak to?

- Powiedziano nam, że Neron ucieka tędy i gdy zobaczyliśmy człowieka pędzącego galopem, sądziliśmy, że to on.

- I co?... - zapytał drżącym głosem mężczyzna osłonięty płaszczem.

- Zabiliśmy go - odparł żołnierz - ale gdy obejrzelśmy trupa, okazało się, że to pomyłka. Życzę szczęścia i niech was Jowisz prowadzi!

Tajemniczy jeździec znów chciał pędzić galopem, lecz towarzysze znowu go powstrzymali. Jechał zatem dalej wolno. Jakies pięćset kroków dalej jego koń potknął się o trupa, leżącego na ziemi. Spłoszony, uskoczył w bok tak gwałtownie, że zasłona spadła z twarzy jeźdźcy. W tej chwili nadszedł żołnierz pretoriański, wracający z urlopu.

- Witaj cesarze! - zawołał.

Poznał Nerona w świetle błyskawicy.

Był to rzeczywiście Neron. Ten sam Neron, który jeszcze niedawno był władcą całego świata. Teraz krył się, szukał ratunku. Uciekał przed śmiercią.

Cofnijmy się nieco, by dowiedzieć się jak do tego doszło.

Gdy wchodził do cyrku, gdzie witano go okrzykami:

- Niech żyje Neron Olimpijski! Neron Herkules! Neron Apollo! Neron August! Zwycięzca całego świata! Chwała jego boskiemu głosowi! Szczęśliwi ci, którzy mogą go słuchać - przez bramę Flamińską wpadł na spienionym koniu

goniec z Galii. Minął Pole Marsowe, łuk Klaudiusza, okrążył Kapitol, wpadł do cyrku i straży czuwającej przy łożu cezara oddał listy, które przywoził z tak daleka. Właśnie po przeczytaniu tych listów Neron w pośpiechu opuścił cyrk.

Donosiły one o groźnym buncie w Galii.

W tym czasie państwo rzymskie było zagrożone na wszystkich niemal kresach. W Germanii niższej Fontejus Kapiton, w Galii Windeks, w Hiszpanii Galba, w Luzytanii Oton, w Afryce Klaudiusz Macer, w Syrii Wespazjan - wszyscy tworzyli ze swymi legionami groźny łańcuch, który na każde skinienie mógł zagrozić stolicy. Wystarczyła tylko mała iskierka, by nastąpił wybuch. Spowodował go Juliusz Windeks. Był pretorem, potomkiem znakomitego rodu z Akwitanii, człowiekiem o dzielnym sercu i mądrej głowie. Pierwszy pojął, że nadszedł już czas upadku rodu cesarów. Szukał człowieka, który mógłby liczyć na powszechną sympatię. Z drugiej strony Pirenejów rządził Sulpicjusz Galba, okryty sławą licznych zwycięstw w Afryce i Germanii. Od dawna wyrocznie przepowiadały mu władzę. Windeks wysłał do niego potajemnie listy, żądając, by wystąpił otwarcie jako kandydat do władzy i ofiarując mu pomoc stu tysięcy Gallów.

Strachliwy i chwiejny Galba nie zgodził się na to. Spalił listy, by nie zostawić żadnego śladu, ale pamiętał o propozycji.

Windeks rozumiał, że Galba chce mieć większe gwarancje. Nie przyjął bowiem propozycji, ale też nie zdradził się z niczym. Przygotował więc wszystko dokładnie i napisał po raz drugi.

Gdy z rozkazu Nerona Galba przybył do Hiszpanii, starał się zaskarbić sobie poparcie. Nikt nie mógł powiedzieć, że upoważnia prokuratorów do gwałtów, natomiast powszechnie wiedziano, że starał się ograniczyć ich nadużycia i głośno współczuł pokrzywdzonym. Wszyscy z jego otoczenia znali dokładnie jego zamiary, ale on sam nie zwierzał się z nich nigdy. Gdy odebrał listy Windeksa, zaprosił przyjaciół na wspólną ucztę, podczas której oznajmił im o wrzeniu w Galii i odczytał powtórne wezwanie Windeksa, nie czyniąc żadnych

uwag, prosząc tylko przyjaciół o radę. Zdumienie ogarnęło wszystkich. Zapanowało milczenie. Dopiero po dłuższej chwili Venius, energiczniejszy od innych, wstał i patrząc Galbie w oczy rzekł:

- Według mnie, nie ma się nad czym namyślać. Są tylko dwa wyjścia: albo przyjąć propozycję Windeksa, zawrzeć z nim sojusz i tym samym wystąpić przeciw Neronowi, albo oskarżyć go przed cezarem i wypowiedzieć mu wojnę. Drugiego wyjścia nie uważałbym jednak za słuszne. Czy można bowiem potępiać Windeksa za to, że chce, by Rzymianie mieli tak dobrego władcę jak ty?

Galba rzekł wymijająco:

- W piątym dniu przyszłego miesiąca mam wyzwolić w Nowej Kartaginie kilku niewolników. Jeżeli nic wam nie przeszkodzi, przybądźcie tam.

Wszyscy oświadczyli, że stawiają się z pewnością i zaraz rozgłosili, iż rozstrzygną się tam losy państwa rzymskiego.

W oznaczonym dniu zgromadzili się w Nowej Kartaginie wszyscy najznamienitsi obywatele Hiszpanii i jednomyślnie okrzyknęli Galbę cezarem.

## VII

Takie wiadomości zawierały listy, które doręczono Neronowi w cyrku. Dowiedział się z nich również o tym, że Windeks nazywał go nędznym śpiewakiem i to dotknęło go najbardziej.

Nie mogąc wybaczyć mu tej zniewagi, zażądał od Senatu surowej kary dla Windeksa. Potem jakby zapomniał o groźnym położeniu i bawił się dalej. Tymczasem bunt w Hiszpanii i Galii rozszerzał się coraz bardziej.

Galba zebrał z wyborowych żołnierzy gwardię przyboczną i utworzył rodzaj Senatu. Spośród wszystkich wodzów, prefektów i pretorów tylko jeden nie przyłączył się do buntu, lecz nie z powodu sympatii do Nerona, ale dlatego, że Windeks był cudzoziemcem, Galbę zaś uważał za człowieka chwiejnego umysłu

i słabego charakteru i nie chciał, by Rzym ucierpiał na tej zmianie. Osobą tą był Wirginiusz. Jego legie pozostały wierne Neronowi. Poprowadził je do walki ze zbuntowanymi Gallami, pragnąc - jak mówił - ocalić państwo od hańby poddania się nieprawowitej władzy.

Gallowie dotrzyмали swych zobowiązań. Wodzowie trzech najliczniejszych ludów: Sekwańczyków, Eduensów i Awernijczyków zgromadzili się wokół Windeksa. Później przyłączyli do nich Wiedeńczycy. Wirginiusz dowodził legiami Germanii, posiłkowymi wojskami Belgów i jazdą Batawów. Z tymi siłami stanął pod miastem Bezanson, które było po stronie Galby i zaczął je oblegać. Ale zdążono zrobić zaledwie pierwsze przekopy, gdy ukazały się zastępy Windeksa.

Gallowie zbliżali się powoli do oczekujących na nich Rzymian i gdy byli już od nich na odległość trzech pocisków, zatrzymali się, by uformować szyk bojowy. Wówczas Windeks wezwał Wirginiusza na poufną rozmowę. Na polu rozdzielającym wojska ustawiono namiot, do niego udali się obaj wodzowie, a ich straż zaciągnęły wokół warte.

Rozmowa odbyła się w cztery oczy. Windeks zwierzył się ze swych zamiarów, a gdy Wirginiusz przekonał się, że tamten działał na rzecz Galby, zawarł z nim sojusz. Postanowili udać się razem na Rzym i właśnie mieli o tym oznajmić wojskom, gdy na prawym skrzydle armii rozległa się wrzawa. Z Bezanson wyszedł zbrojny oddział z zamiarem połączenia się z Gallami. Żołnierze Wirginiusza, sądząc, że tamci chcą na nich uderzyć, ruszyli do walki, pragnąc uprzeczyć napad.

To było przyczyną owej wrzawy, którą usłyszeli wodzowie. Każdy z nich rzucił się do swych szeregów zaklinając żołnierzy, by się zatrzymali, lecz zagłuszyły ich krzyki Gallów, którzy podnieśli swoje puklerze. Uznano to za oznakę wrogości, a nieporozumienie wywołało straszliwe skutki. Obie strony, bez wodzów, bez szyku, powodowane starą nienawiścią zwyciężonych do zwycięzców, rzuciły się na siebie zaciekle. Rozpoczęła się rzeź. W krótkim

czasie padło dwadzieścia tysięcy Gallów i szesnaście tysięcy Germanów i Batawów. Wreszcie Gallowie wycofali się. Następnego dnia znaleziono w namiocie zwłoki Windeksa, który widząc, że jego szlachetne nadzieje rozwiewają się jak dym, sam pozbawił się życia. Żołnierze Wirginiusza, którzy znaleźli ciało, zażądali nagrody twierdząc, że to oni zabili wodza nieprzyjaciół. Nagrodę otrzymali, ale pokłócili się przy jej podziale.

Wtedy jeden z nich, uważając się za pokrzywdzonego, wyjawił prawdę.

Także w Hiszpanii zaszły pomyślne dla Nerona wypadki. Jeden z legionów sprzysiął się przeciwko Galbie i gdy ten udawał się do kąpieli, uderzył na niego w wąskiej uliczce. Galba prawie cudem uniknął śmierci. Ponieważ jednocześnie dowiedział się o klęsce Gallów i śmierci Windeksa, zwątpił w powodzenie sprawy, uznał wszystko za stracone i czując się zagrożonym, ukrył w warownym Klunium. Jednak wkrótce pomyślne wróżby przywróciły mu nadzieję. Było ich wiele. Gdy schronił się do Klunium, polecił wzmocnić jego mury. Wtedy jeden z żołnierzy wykopał z ziemi kosztowny, starożytny pierścień z wizerunkiem bogini zwycięstwa. Ta wróżba znacznie uspokoiła Galbę. Gdy udał się tego dnia na spoczynek, zobaczył we śnie posąg Fortuny, który wznosił tej bogini w swej willi w Fondi. Bogini oznajmiła mu, że już zbyt długo oczekuje na jego przybycie i jeżeli niezwłocznie do niej nie pospieszy, obdarzy innego swymi względami. Willa Fondi znajdowała się przy drodze do Rzymu. Następnie zaraz po przebudzeniu się odebrał wiadomość, że do Dertozy, miasta położonego nad Ebrem, zawinął okręt pełen broni, ale nie było na nim sternika i majtków. Te i inne wróżby utwierdziły go w przekonaniu, że bogowie sprzyjają jego planom.

Neron lekceważył te wypadki. Bunt nawet go ucieszył, dawał bowiem powód do nałożenia na ludność nowych podatków tytułem kary. Zadowolił się więc posłaniem Senatowi odezwy Windeksa, domagając się dla niego surowej kary, zwłaszcza za to, że śmiał nazwać go nędznym śpiewakiem. Potem wezwał do siebie najszlachetniejszych obywateli Rzymu, a gdy ci przybyli, sądząc, że

chodzi o sprawy wagi państwowej, cesarz przedstawił im nowo wynalezione organy wodne, tłumaczył dokładnie ich działanie i budowę, nadmieniając przy tym złośliwie:

- Pokazałbym to wszystko publicznie w teatrze, gdyby Windeks na to pozwolił.

Dopiero, gdy otrzymał nowe listy z wiadomością, że wojsko Gallów liczy już sto tysięcy ludzi, zaczął myśleć o przygotowaniach do wojny. Wydawał najdziwniejsze rozporządzenia. Kazał sprowadzić do teatru i do swego pałacu wozy i ułożyć na nich instrumenty muzyczne. Następnie powołał pod broń ludność miejską, a gdy nikt się nie stawił, polecił wolnym obywatelom dostarczyć pewną liczbę niewolników. Sam nawet odwiedzał ich domy, wybierając ludzi najmłodszych i najsilniejszych, nie wyłączając dworskich rządców i sekretarzy. Potem zgromadził czterysta najpiękniejszych ladacznic, kazał im ostrzyć włosy, uzbroił je w topory i amazońskie tarcze, i przeznaczył do straży przy swojej osobie. Wracając pewnego dnia z uczyty powiedział oczekującym na niego obywatelom, że nie ma powodu do obaw, bo gdy tylko ukaże się Gallom i do nich przemówi uznają się za zwyciężonych, a wtedy on zanuci hymn triumfu, który właśnie układa.

Po kilku dniach przybył z Galii nowy goniec, tym razem z dobrymi wieściami. Donosił o zwycięskiej walce rzymskich legii z Gallami i o śmierci Windeksa. Uradowany Neron biegał jak szalony po komnatach i ogrodach pałacu, kazał zorganizować nowe igrzyska i widowiska, zapowiedział też, że sam będzie śpiewać w teatrze wieczorem i zaprosił gości na wielką ucztę.

Rzeczywiście wieczorem udał się do teatru, ale po drodze zauważył, że w mieście dzieje się coś dziwnego. Jeden z jego posągów był nakryty worem. W takie wory zaszywano wówczas ojco- i matkobójców, wraz z małpą, kotem i żmiją, i topiono w Tybrze. Nieco dalej spostrzegł na kolumnie napis: „Neron śpiewał tak wiele, że obudził koguty<sup>21</sup>”. Jeszcze dalej usłyszał, że jakiś

---

<sup>21</sup> Galli - koguty.

patrycjusz grozi i złorzeczy swoim niewolnikom, a gdy posłał sługę, by dowiedział się, o co chodzi, odpowiedziano mu:

- Zawiedli jego zaufanie i dlatego domaga się, by go ktoś pomścił.

Widowisko rozpoczęło się sztuką, w której grał aktor Eatus. Jego rola zaczynała się od słów:

- Pozdrowienie memu ojcu, pozdrowienie mej matce.

Gdy to mówił, zwrócił się do Nerona i uczynił gest picia i pływania, co przyjęto wielkimi brawami, rozumiano bowiem, że aktor przypomina morderstwo Klaudiusza i Agrypiny. Neron śmiał się i klaskał z innymi, czując, że gdyby okazał urazę, przyznałby się tym samym do zbrodni.

Gdy przyszła kolej na jego występ i opuścił łożę, by przygotować się do wyjścia na scenę, wśród widzów rozeszła się wiadomość, że uschły laury Liwii i pozdychały wszystkie jej kury.

Wywarło to wielkie wrażenie. Trzeba bowiem wiedzieć, że gdy Liwia Druzilla, małżonka cezara Oktawiana, siedziała pewnego dnia przed swoją willą w Wejach, nadleciał orzeł i upuścił na jej kolana białą kurę. Ptak nie był ranny i wcale się nie bał. Zdziwiona Liwia obejrzała kurę i spostrzegła, że trzyma ona w dziobie gałązkę lauru. Wróżbici poczytali to za znak bogów i polecili Liwii, aby zasadziła laur i hodowała kurę, bowiem dopóki żyć będą rozmnożone z tej kury ptaki i rozwinięte z gałązki drzewa, dopóty będzie istnieć jej ród i sprawować najwyższą władzę. Liwia usłuchała. Z gałęzi lauru wyrósł cały gaj, a kura tak się rozmnożyła, że miejscowość nad Tybrem, o dziesięć mil od Rzymu, otrzymała nazwę od Gallinas, czyli kurzej. Nagłe uschnięcie gaju laurowego i wyginięcie potomstwa kury Liwii wzięto za przepowiednię upadku Nerona i jego rodu.

Złowroga wiadomość bardzo zdenerwowała Nerona, mimo to ukazał się na scenie. Tu czekał go nowy omen. Choć swoją rolę poprzedził pokorną przemową do widzów, w której zapewniał ich, że dołoży wszelkich starań, by zasłużyć na względy, nie zdołał wywołać żywszego zainteresowania. Słuchano go obojętnie, w głębokim milczeniu, nie zachęcając oklaskami. On, zawsze

pewny siebie, teraz drżał i jąkał się. Dopiero gdy wypowiedział wiersz: „Małżonka moja, mój ojciec i moja matka, wszyscy pragną mojej śmierci.” zerwały się huczne brawa, a ich znaczenie było oczywiste. Zrozumiał je i Neron. Szybko opuścił scenę, ale na schodach zaplątał się w swoją powłóczystą szatę, upadł i zranił w policzek. Podniesiono go nieprzytomnego, ocucono i przeniesiono do pałacu.

Tam zamknął się w swej sypialni, trzęsąc się ze strachu i gniewu. Gdy się nieco uspokoił, wziął do rąk tabliczki i skreślił na nich kilka strasznych projektów, którym brakło tylko jego podpisu, by stały się rozkazami. Zamierzał zezwolić żołnierstwu na zrabowanie Gallów, zaprosić senatorów na ucztę i wszystkich wytruć, podpalić Rzym z wszystkich stron i jednocześnie wypuścić dzikie zwierzęta, by zgładzić ze szczętem cały ten niewdzięczny lud, który żądał jego śmierci... Po chwili odsunął tabliczki i rzucił się na łożo. Ale sen nie przyniósł mu ukojenia.

Śniło mu się, że jest wśród nocy na wzburzonym morzu, a ktoś wydziera mu z rąk ster okrętu, którym kieruje. Potem przeniósł się nagle do teatru Pompejusza, gdzie czternaście posągów wyobrażających narody podległe Rzymowi, dłuta Koponiusza, zeszło ze swych podstaw i gdy jeden z nich zagradzał mu drogę, inne otaczały wciąż ciasniejszym kołem, aż zaczął się dusić w tym marmurowym uścisku. Z trudem wyrwał się z objęć posągów i biegł przez Pole Marsowe blady, zdyszany, nie mogąc wydobyć z siebie głosu. Gdy mijał mauzoleum Augusta, rozwarły się drzwi grobowca i z głębi usłyszał trzykrotne wołanie. W tej chwili ocknął się, cały roztrzęsiony i zlany potem. Zawołał ludzi, rozpytywał co słychać w mieście, a gdy go zapewniono, że panuje zupełny spokój, kazał sprowadzić Sporusa i z nim spędził resztę nocy.

Z nadejściem dnia znikły nocne majaki, ale nie mógł się uspokoić. Kazał przywołać gońca, który przywiózł wiadomości o śmierci Windeksa. Był to jeździec batawski, świadek walki stoczonej pod Bezanson. Kazał sobie kilka razy powtarzać szczegóły tej bitwy, a przede wszystkim opowiadać o śmierci

Windeksa, i uspokoił się dopiero, gdy żołnierz przysiągł na Jowisza, że na własne oczy widział trupa przygotowanego do grobu. Wówczas cesarz kazał mu wyliczyć sto tysięcy sestercji i darował własny pierścień.

Nadeszła pora obiadu. Goście cesarza zgromadzili się w Palatynie. Przed ucztą zaprowadzono ich, według zwyczaju, do łaźni, a gdy wychodzili z kąpieli, niewolnicy przynieśli każdemu białą togę i wieniec z kwiatów. Neron czekał na nich w triclinium, także ubrany na biało, z wieńcem na głowie. Położono się na łóżkach przy dźwięku rozkosznej muzyki.

Obiad był urządzony z całym przepychem uczt rzymskich. Przy nogach każdego biesiadnika leżał niewolnik, gotów na każde skinienie. Przy oddzielnym stole jadł parazyta, rodzaj błazna, a w głębi sali, na wzniesieniu, wschodnie tancerki z nieporównanym wdziękiem i lekkością odtwarzały swawolne gonytwy Zefira i Flory.

W miarę spełniania czar biesiada się ożywiła, stawała się też bardziej rozwiązła. Tancerki zastąpili kuglarze, wreszcie sam Neron ujął lirę i zaczął śpiewać strofy wyszydzające Windeksa, wykonując przy tym nieprzystojne gesty. Biesiadnicy przyklaskiwali mu z zapalem. Wtedy zjawił się nowy posłaniec z listami z Hiszpanii, w których donoszono o wyniesieniu Galby na godność cesarza.

Neron nie wierzył oczom, raz po raz odczytywał listy, to błędąc, to czerwieniejąc. Nagle porwał dwie wspaniałe wazy, które bardzo cenił i nazywał homerowskimi, ponieważ były ozdobione motywami z „Iliady”, rzucił je na ziemię, aż się rozprysły na drobne kawałki, potem upadł na łoże, poszarpał na sobie odzież i tłukąc głową o krawędź stołu wołał, że spotyka go niesłychane nieszczęście, bo czy znaną jest rzeczą, by cesarz tracił władzę za życia... Na te wrzaski przybiegła jego mamka Auclage, objęła go rękami jak dziecko i starała się go uspokoić. Ale słowa pociechy drażniły go tylko i wkrótce wybuchnął niepoohamowanym gniewem. Kazał sobie podać trzcinę i papirus, po czym skreślił rozkazy do wodza pretorianów. Podpisał je i zaczął szukać pierścienia,

by odcisnąć nim swój znak, zapominając, że klejnot ten darował gońcowi z Galii. Nie mogąc znaleźć pierścienia, zażądał innego od Sporusa, który podał mu swój własny. Neron nie obejrzał klejnotu, tylko od razu przycisnął go do wosku. Gdy rzucił okiem na odcisk, zadrżał, spostrzegł bowiem, że pieczęć wyobrażała zejście Prozerpiny do piekieł. Była to nowa przepowiednia, w tej chwili straszliwa. Czy posądzając Sporusa, że podał mu taki pierścień umyślnie, czy też w przystępie szału, dość, że gdy jego ulubieniec zbliżył się, by spytać o przyczynę nagłego gniewu, Neron, nie zwracając uwagi na licznych gości, uderzył go pięścią w twarz tak silnie, że chłopiec zalał się krwią i upadł nieprzytomny.

Potem Neron zerwał się z łoża i nie żegnając z nikim, udał do swojej komnaty, każąc wezwać Lokustę.

## VIII

Tym razem cesarz odwoływał się do tajemniczej sztuki starej przyjaciółki myśląc o sobie. Spędzili razem całą noc i Lokusta w jego obecności przyrządziła subtelną truciznę. Neron umieścił ją w złotej puszcze, którą ukrył w drewnianej szkatule z tak zmyślnym zamknięciem, że tylko on i Sporus umieli je otworzyć.

Tymczasem wiadomość o planach Galby błyskawicznie dotarła do wszystkich prowincji państwa. Nie była to groźba odległa w czasie i niepewna, ale precyzyjnie obmyślony i realizowany zamysł patrycjusza, którego ród był od wieków znany i poważany w Rzymie. Galba był wnukiem Kwintusa Katulusa Kapitolina, obywatela wsławionego w dziejach ojczyzny ogromnymi zasługami, sam też cieszył się ogólną sympatią i popularnością.

Sympatia do niego rosła w miarę, jak mnożyły się powody niechęci do Nerona. Cesarz, zajęty igrzyskami i orgiami, zapomniał o tym, że jako prefekt Annony powinien wydać rozkaz, by z portu wypłynęły okręty, mające przywieźć z Sycylii i Aleksandrii zboże. Przypomniawszy sobie o tym wtedy, gdy

okrety powinny być już z powrotem. Opóźnienie to spowodowało w ciągu kilku dni nagły wzrost cen zboża i głód. Ilekroć jakiś okręt zbliżał się do portu Ostii, mieszkańcy Rzymu wylęgali na brzeg Tybru. Następnego dnia po tym, jak rozeszły się nowiny o obwołaniu Galby cezarem, zgłodniałe i zniechęcone tłumy podążały do Forum, gdy ujrzano z daleka okręt, płynący rzeką do miasta. Natychmiast wszyscy rzucili się do portu. Gdy się okazało, że statek nie poprzedza okrętów, wiozących zboże, lecz przywozi z Aleksandrii piasek do wysypywania aren cyrkowych, zaczęto głośno wyrażać swoje niezadowolenie.

Wśród rozgoryczonego tłumu znajdował się wyzwolieniec Galby, Icelus. Wychwalał głośno swego pana, gdy jakiś młodzieniec wręczył mu ukradkiem tabliczki, na których Neron kreślił ubiegłej nocy niedoszłe rozkazy spalenia po raz drugi Rzymu za to, że nie chciał przyklaskiwać jego aktorskim popisom i wypuszczenia drapieżnych zwierząt, by ludzie nie mogli ugasić ognia. Icelus przeczytał głośno otrzymane pismo, ale podobna zemsta wydawała się wszystkim tak ohydna i szalona, że nikt nie chciał wierzyć, a nawet zaczęto krzyżeć, że to potwarz. Wtedy Nimphidus Sabinus wziął z rąk wyzwolenca tabliczkę, obejrzał ją dokładnie i oświadczył, że poznaje nie tylko pismo Nerona, lecz i jemu tylko właściwy sposób mazania, przekreślenia i dopisywania. Takiemu świadectwu nie można było zaprzeczyć, bo Nimphidus Sabinus, jako prefekt pretoriatu, często widział własnoręczne pisma Nerona.

W tej chwili ujrzano senatorów podążających spieszenie do Kapitolu, dokąd wezwał ich przewodniczący Senatu. W tajemniczych okolicznościach dostał on tabliczkę z pismem Nerona, wyjawiającą zamiar wytrucia wszystkich senatorów.

Cezar z wysokości palatyńskiego tarasu przyglądał się przez jakiś czas wzburzonym tłumom, potem zszedł do ogrodów Serwiliusza i posłał wyzwolenca Faona do naczelnika pretorianów. Ale posłaniec Galby dotarł tam prędzej. Nimphidus Sabinus przyrzekł w imieniu nowego cezara siedem tysięcy pięćset drachm dla każdego członka rzymskiej załogi, a dla każdego żołnierza

wojsk znajdujących się w prowincjach po tysiąc dwieście pięćdziesiąt drachm. Naczelnik pretorianów odpowiedział więc Faonowi, że tylko za taką samą sumę może dać pierwszeństwo Neronowi. Faon powtórzył to Neronowi, ale żądana suma była duża, a skarb państwa pusty. Cezar nie posiadał nawet dwudziestej części tej kwoty. Nie stracił jednak nadziei. Zbliżała się noc, mógł więc pod osłoną ciemności udać się do swych starych przyjaciół i przy ich pomocy zgromadzić potrzebne pieniądze.

Wyszedł z ogrodów Serwiliusza ubrany jak człowiek z gminu. Na próżno jednak chodził od domu do domu. Serca i drzwi były przed nim zamknięte. Wtedy zrozumiał, że nie ma chwili do stracenia. Nie wrócił już do ogrodów Serwiliusza, tylko skierował się ku Palatynowi, by zabrać złoto i kilka kosztownych klejnotów. Okrążył fontannę Jowisza i świątynię Westy, przekradł się chyłkiem w cieniu pałaców Tyberiusza i Kaliguli do swych ogrodów, stamtąd wszedł do Złotego Pałacu i tajnymi przejściami dotarł do swoich komnat. Stał na progu i osłupiał...

Podczas jego nieobecności strażnicy Palatynu zabrali wszystko, co tylko wpadło im pod rękę: atalickie kołdry, srebrne naczynia, najkosztowniejsze sprzęty. Pobiegł do szkatułki, w której schował truciznę, ale złotej puszki już tam nie było. Rzucił się na ziemię, prosząc rozpaczliwie o ratunek.

Przybiegły trzy osoby: Sporus, Epafroditus, jego sekretarz, i Faon, jego wyzwolenc. Wyczytał z ich twarzy, że nie ma nadziei, rozkazał więc Epafroditusowi przywołać gladiatora Spikulusa, lub kogokolwiek innego, aby go zabił. Sporusa i Faona, którzy przy nim zostali, prosił, by zanucili mu hymn rozpaczy, śpiewany zwykle na pogrzebach przez najmowane do płaczu kobiety. Jeszcze nie skończyli śpiewać, gdy wrócił Epafroditus. Ani Spikulus, ani nikt inny nie chciał przyjść. Wówczas Neron opuścił ręce, wołając:

- Niestety!... Nie mam więc ani przyjaciół, ani wrogów!

Potem chciał biec do Tybru, by się utopić. Powstrzymał go Faon, ofiarowując mu swój wiejski dom, położony o cztery mile od Rzymu, między

drogami Salaryjską i Nomentańską. Neron zgodził się. Przygotowano pięć koni. Cezar zostawił Faona w Palatynie, sam zaś dosiadł rumaka, okrył twarz zasłoną i w towarzystwie Sporusa, który nie odstępował go ani na krok, wyjechał na drogę Nomentańską, gdzie jak pamiętamy został rozpoznany przez żołnierza.

Grupka jeźdźców dotarła wreszcie do willi Faona. Wioska leżała ukryta za Świętą Górą, mogła więc służyć za schronienie Neronowi, przynajmniej do czasu, dopóki nie zdecyduje się na samobójstwo. Epafroditus, który znał drogę, zboczył na pole. Neron udał się za nim, dwaj inni wyzwoleńcy i Sporus tworzyli tylną straż. Po chwili usłyszeli na drodze jakiś hałas. Neron i Epafroditus odjechali w bok, a Sporus i dwaj wyzwoleńcy okrążali górę. Tam spotkali patrol, wysłany pod wodzą centuriona w pościg za cezarem. Zostali zatrzymani, lecz nie znaleziono między nimi Nerona i pozwolono im udać się w dalszą drogę.

Tymczasem Neron i Epafroditus musieli zsiąść z koni, gdyż dolina zarzucona była odłamami skał i bryłami ziemi, wyrwanymi podczas trzęsienia. Ciernie i chwasty pokaleczyły do krwi gołe nogi Nerona i podarły jego płaszcz. W końcu ujrzeli jakiś mur, za którym ujadął pies. Idąc wzdłuż muru dotarli do jaskini, z której wydobywano piasek. Wejście do niej było niskie i ciasne. Przerażony Neron położył się na brzuchu i wpełznął do środka. Epafroditus szepnął mu, że obejdzie mur dokoła, zakradnie się do willi i dowie, czy mogą się tam bezpiecznie schronić.

Gdy Neron został sam w jaskini, ogarnął go strach. Zdawało mu się, że jest już w grobie, którego drzwi zamknięto na zawsze. Wyszedł więc. Zobaczył kałużę. Miał tak wielkie pragnienie, że nie mógł się powstrzymać, by choć nie zwilżyć ust. Dowlókł się do kałuży, zaczerpnął dłonią wody i połknął chciwie. Spojrzał w niebo i rzekł z wyrzutem:

- Taki jest ostatni napój Nerona!

Przez pewien czas siedział w błocie, zamyślony i ponury, gdy nagle usłyszał głos, wołający go po imieniu. Zadrżał ze strachu. Odwrócił się i spostrzegł

Epafroditusa z pochodnią w ręku. Sekretarz dotrzymał słowa. Dostał się przez główne drzwi do willi i wskazał wyzwolęcom miejsce, gdzie był cesarz. Wspólnymi siłami przebili stary i skruszały mur, by tą drogą móc dostać się do jaskini. Neron tak się śpieszył, że zostawił płaszcz nad brzegiem kałuży. Wrócił do jaskini, a z niej przeszedł do małej izdebki niewolnika oświetlonej małą glinianą lampą. W izbie znajdował się barłóg ze szmat i stara opończa do przykrycia.

Usiadł na barłogu i oparł się plecami o ścianę. Spragniony i głodny, poprosił o jedzenie i picie. Przyniesiono mu kęs czerstwego chleba i czarę z wodą. Spojrzał na chleb i odrzucił go ze wstrętem. Wodę uznał za zbyt zimną, prosił więc, by ją ogrzano. Znowu został sam. Wsparł głowę na kolanach i siedział nieruchomo. Otworzyły się drzwi. Sądził, że przynoszą mu wodę, ale gdy uniósł głowę, ujrzał Sporusa z listem w ręku.

Na bladej twarzy eunucha, zwykle znużonej i smutnej, malowała się tak okrutna, dzika radość, że Neron wpatrywał się ze zdumieniem. Sporus podał mu list. Cezarz domyślił się od razu, że wiadomość nie będzie dla niego pomyślna. Zapytał:

- Od kogo mi to przynosisz?

- Od Faona.

Neron zbladł, po chwili zagadnął:

- Znasz treść pisma?

- Senat uznał cię za zdrajcę, kazał odnaleźć i przyprowadzić na plac kaźni...

- Mnie, na plac kaźni! - zawołał Neron i aż przykląkł - Na plac kaźni mnie!

Klaudiusza cezara!

- Nie jesteś już Klaudiuszem cezarem - odparł zimno Sporus - jesteś Domitius Ahenobarbus, uznany za zdrajcę i skazany na śmierć!...

- Zdrajca... na śmierć... - zawołał Neron, zrywając się na nogi. - Ale mogę jeszcze uciekać; mam jeszcze czas do ucieczki, mogę schronić się w lesie Larycji, na bagnach Minturnijskich. Stamtąd dostanę się na jakiś okręt, ukryję

się na Sycylii lub w Egipcie...

- Uciekać! - powtórzył Sporus dziwnym tonem. - Uciekać? Którędy?

- Tędy! - zawołał Neron, rzucając się ku otworowi, przez który dostał się z jaskini - Mogę wyjść tędy, skoro wszedłem tą drogą.

- Wszedłeś, to prawda, ale zaraz potem zawalono otwór jaskini i choć jesteś bardzo silny, wątpię, czy zdołasz odepchnąć skałę, którą zamknięto otwór.

- Na Jowisza, to prawda! - jęknął Neron, na próżno wyteżając wszystkie swe siły. - Kto to zrobił? Kto przytoczył tę skałę?

- Ja i wyzwoleńcy - odparł Sporus.

- Dlaczego? Dlaczego zamknąłeś mnie jak Kakusa w pieczarze?

- Żebyś umarł w niej, jak on! - odparł Sporus z nienawiścią w głosie.

- Umrzeć! Umrzeć! - jęczał Neron, bijąc się pięściami po głowie. - Czy cały świat chce mojej śmierci? Czy już wszyscy mnie opuścili?

- Tak - potwierdził Sporus - cały świat chce, byś umarł, ale nie wszyscy cię opuścili. Przecież ja tu jestem i chcę z tobą umrzeć.

- Tak, tak - mruknął Neron i zwałił się na barłóg - tak, to wierność.

- Mylisz się ceszarze - Sporus skrzyżował ręce na piersiach i patrzył przenikliwie na Nerona - to nie wierność, to zemsta.

- Zemsta! - zawołał Neron zdumiony. - Zemsta! A co ja ci zrobiłem, Sporusie?...

- Co mi zrobiłeś? - powtórzył Sporus. Zbliżył się, gorzko roześmiał, a potem zaczął gwałtownie mówić: - Z dziecka, które dopiero zaczęło żyć, uczyniłeś najbardziej nieszczęśliwą istotę, która nie miała do niczego prawa, którą pozbawiłeś wszystkich radości świata... Widziałem przed sobą wszystkie pokusy życia, wszystko, co się nazywa szczęściem, patrzyłem na to jak Tantal na owoce i wodę, nie mogąc dosięgnąć. Nie dość tego. Gdybym mógł cierpieć i płakać w milczeniu i samotności, może bym ci jeszcze przebaczył. Ale musiałem, jak możni tego świata, przywdziewać purpurę, uśmiechać się, jak ci, którzy byli szczęśliwi, żyć między prawdziwymi ludźmi, a byłem tylko cieniem,

marą!

- Czego chciałeś? - spytał Neron z lękiem. - Dzieliłem z tobą moje bogactwa, rozkosze i potęgę. Byłeś świadkiem wszystkich moich triumfów i, jak ja, miałeś pochlebców i dworzan. A kiedy nie wiedziałem, co dać ci jeszcze, obdarzyłem cię moim imieniem...

- Właśnie za to cię nienawidzę, Neronie! Gdybyś kazał mnie otruć, jak Brytannika, zamordować, jak Agrypinę, otworzyć sobie żyły, jak Senece - mógłbym ci, w godzinie twej śmierci, przebaczyć... Ale nie uważałeś mnie ani za mężczyznę, ani za kobietę. Obchodziłeś się ze mną, jak z zabawką, z którą można uczynić wszystko, co się chce, jakbym był marmurowym posągami, ślepym, niemym, bez serca i czucia. Łaski, o których mówisz, były tylko upokorzeniami. Im bardziej mnie poniżałeś, tym wyżej wynosiłeś nad innymi, a oni tym lepiej widzieli moją hańbę. To jeszcze nie wszystko. Kiedy przedwczoraj podałem ci swój pierścień, ty, zamiast zabić mnie, żeby wszyscy uwierzyli, że zasłużyłem na śmiertelny cios, ty uderzyłeś mnie pięścią, jak służalca, jak niewolnika czy psa!

- Tak, tak - rzekł Neron - rzeczywiście, popełniłem błąd. Przebacz mi, mój dobry Sporusie...

- A jednak - mówił dalej Sporus - ta biedna istota bez imienia, nazwiska, przyjaciół i serca, skoro nie mogła czynić dobrze, mogła ci przynajmniej szkodzić. Mogła się zakraść nocą do twojej komnaty, zabrać tabliczki, skazujące na śmierć Senat i lud, i rozrzucić je na Forum i Kapitolu, po to, byś ani od Senatu, ani od ludu nie mógł spodziewać się przebaczenia. Mogła również ukryć puszkę z trucizną Lokusty i oddać bezbronnego w ręce tych, którzy cię szukają, by cię zabić.

- Mylisz się! - zawołał Neron, wyciągając ukryty pod tuniką sztylet. - Mylisz się! Zostaje mi jeszcze to ostrze.

- Tak, ale nie masz odwagi użyć go ani przeciw sobie, ani przeciw innym.

- W każdym razie, jestem tu tak dobrze ukryty, że mnie nie znajdą - rzekł

Neron.

- Może istotnie nikt by cię tu nie znalazł, gdybym przed chwilą nie spotkał centuriona i nie powiedział mu, gdzie jesteś. On już tu jest... słyszysz... to jego kroki!

- Nie będę na niego czekał - powiedział Neron, przykładając ostrze sztyletu do serca - uderzę... i skończę z sobą...

- Nie odważysz się - powtórzył Sporus.

- A jednak - mruzczał Neron po grecku, szukając ostrzem sztyletu miejsca właściwego do zadania ciosu, choć ręka mu drżała - jednak nie godzi się, by Neron nie umiał umrzeć... O świecie... jak wielkiego tracisz we mnie artystę...

Nagle urwał w pół zdania, bo usłyszał dobiegający od drzwi nowy hałas. Zamarł na chwilę, a potem zacytował wiersz Homera:

„Już słyszę tętent szybkonożnych rumaków...”

W tej chwili wpadł do izby Epafroditus.

Neron nie omylił się - przybyła pogoń.

Nie było ani chwili do stracenia, jeżeli chciał uniknąć hańbiącej śmierci. Odprowadził Epafroditusa na stronę, kazał mu przysiąc na Styks, że nie wyda jego głowy nikomu, raczej spali go całego, potem znowu wyciągnął sztylet i oparł ostrze na swej szyi.

Pogoń zbliżała się coraz bardziej. Wtedy Epafroditus chwycił rękę Nerona uzbrojoną w sztylet i pchnął tak, że żelazo utkwiło w szyi aż po rękojeść. Wybiegł ze Sporussem z izby, zamykając za sobą drzwi.

Neron krzyknął przeraźliwie, wyrwał z rany sztylet i odrzucił daleko od siebie, upadł na jedno kolano, potem na drugie, wsparł się lewą ręką o ziemię, prawą usiłując zatamować krew, która bluzgała mu przez palce. Przerażony rozejrzał się po raz ostatni wokół, a widząc, że jest sam, padł na ziemię z jękiem.

W tej chwili w drzwiach ukazał się centurion. Spostrzegł leżącego nieruchomo Nerona, rzucił się do niego i połą płaszczą usiłował zatrzymać

płynącą z rany krew. Lecz Neron, ostatkiem sił, odepchnął go od siebie, spojrział na niego groźnie i skonał.

Wieczorem przybyła do domku jakaś kobieta, poważna, blada i smutna, choć młoda i piękna. Powiernik Galby, Icelus, który do czasu przybycia swego pana wydawał w Rzymie rozkazy, pozwolił jej oddać ostatnią posługę Neronowi. Rozebrała zmarłego, obmyła krew, owinęła ciało białym płaszczem, obszytym złotem, który jej podarował, gdy widzieli się ostatni raz, potem przewiozła zwłoki zakrytym wozem do Rzymu i tam złożyła je w grobowcu Domicjana, wśród ogrodów. Przez cały dzień czuwała przy zwłokach, a gdy nadszedł wieczór, wstała i poszła do katakumb.

Epafroditusa i Sporusa znaleziono nieżywych. Leżeli obok siebie, a pomiędzy nimi stała opróżniona złota puszka. Trucizna, którą Lokusta przygotowała dla Nerona, wystarczyła dla nich obu.

\* \* \*

Tak w trzydziestym drugim roku życia, w rocznicę dnia, w którym kazał zamordować Oktawię, umarł Neron. Ponieważ zginął w ustronnym miejscu, niemal bez świadków i równie tajemniczo został pochowany, długo lud rzymski wątpił w jego śmierć. Utrzymywano, że dostał się do Ostii, a stamtąd uciekł na okręcie do Syrii i oczekiwano z dnia na dzień na jego powrót. Przez piętnaście lat nieznana ręka kładła kwiaty na jego grobie. Przez długie lata wystawiano na mównicach jego podobizny i czytano jego proklamacje, jakby ciągle żył i miał wrócić na zgubę swych nieprzyjaciół. Jeszcze w dwadzieścia pięć lat po jego śmierci - według opowieści Swetoniusza - zjawił się u wojowniczych Partów jakiś człowiek, który podawał się za Nerona, i długo wierzono, że nim jest.

Legenda przeszła do chrześcijan. Święty Hieronim, opierając się na kilku słowach świętego Pawła, przedstawił Nerona jako Antychrysta, a przynajmniej jako jego poprzednika. Sulpicjusz Sewerus twierdzi, że święty Marcin

przepowiedział w swych dialogach, iż przed końcem świata Neron ukaże się na Zachodzie, gdzie przywróci cześć bałwanów, a Antychryst na Wschodzie, gdzie odbuduje kościół i miasto Jeruzalem, które ma być stolicą jego państwa. Potem Antychryst ogłosi się Mesjaszem, wyda wojnę Neronowi i pozbawi go życia i władzy. Wreszcie święty Augustyn zapewnia, że za jego życia, to jest na początku V wieku, utrzymywano jeszcze, że Neron wcale nie umarł, ale ukrywa się w niedostępnym miejscu, skąd ma powrócić z całą swą siłą i okrucieństwem, by odzyskać straconą władzę.

Do dziś spośród wszystkich cesarów, z których każdy przyczynił się do wzbogacenia zbioru pomników Rzymu, Neron cieszy się największą popularnością. Istnieje dom Nerona, łaźnia Nerona, wieża Nerona. W Bauli pewien winiarz pokazywał mi willę Nerona.

Pośrodku zatoki, koło Bai żeglarze zatrzymali się i pokazali mi miejsce, gdzie miała zatonać przygotowana przez Nerona dla Agrypiny trirema. Gdy wracałem do Rzymu drogą Nomentańską, wieśniak pokazywał mi miejsce, przez które przejeżdżał Neron w drodze do Serpentary. Wśród zwalisk i kamieni, rozrzuconych po tej wspaniałej dolinie, pokazał mi ruiny domu, w którym zabił się Neron. Gdy jechałem z Florencji, woźnica wskazał mi jakieś gruzy, leżące z prawej strony sklepienia de la Storta w Rzymie i powiedział:

- To grobowiec Nerona.

Niech teraz ktoś wytłumaczy mi, dlaczego właśnie tu zapomniano o Tytusie i Marku Aureliuszu.

Neron-tyran, Neron-okrutnik, Neron-morderca, rozpustnik, szatan wcielony, żyje wciąż w pamięci ludu - a czcigodne imiona Tytusa i Marka Aureliusza są zapomniane.

Czym to wytłumaczyć?

KONIEC

# Spis treści

I Część

II Część